Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 19 (1415) XXVIII 11 MAJA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

Stańczyk optymista

Z WOJCIECHEM MŁYNARSKIM, rozmawia JOLANTA WROŃSKA

W przyćmionych światłach sali klubowej, wysoki facet idzie w stronę niewielkiej scenki. Jest spięty, skupiony, jak przed egzaminem. Witają go brawa, jakich nie serwuje się „Wielkiej Gwieździe", otoczonej nabożnym podziwem i murem chłodnego dystansu. Tak — wita się dawno nie widzianego przyjaciela.

Gospodarze mają na przywitanie prezent-niespodziankę. Stara piosenkę, nagrana w tej salce przed dwudziestu laty.

Gdy w życiu chandrę będę mieć,
Lub gdy się wplączę w jaką biedę,
Mam taki jeden adres: Łódź, Piotrkowska 77.
Z adresów tylu, które znam,
Z Zakopanego po Kołobrzeg
Zapamiętałem ten — bo tam,
Po prostu było mi tam dobrze.
Nie myśl, że spotka cię tam coś,
Co wywoła twój specjalny podziw,
Przyjmują cię normalnie dość
W tym klubie swym, studenci z Łodzi.
Lecz łatwiej wiatr przeciwny znieść,
Co nieraz tobą zakołebie,
Kiedy usłyszysz: Stary! Cześć!
I kiedy wiesz, że to do ciebie...

Jest wzruszony, że pamiętali, że przechowali tę piosenkę. Rozluźnia się, czuje chyba, że wypełniona sala będzie słuchać uważnie i serdecznie.

W *Klubie Studentów ZSP „77"*, zaczyna się recital Wojciecha *Młynarskiego*. Facet z ruchliwą twarzą, w białym kołnierzyku, czarnym swetrze, w towarzystwie Tadeusza Suchockiego przy pianinie, znów, jak od dwudziestu z górą lat opowiada o zwyczajnych ludziach, zwyczajnym życiu i zwyczajnych sprawach. Na sali przeważa młódź, której Młynarski mógłby być ojcem, jest gromadka tych, dla których jest on symbolem ich własnej młodości i tych, co się na jego piosenkach wychowali.

NUMER JEDEN — TO TEN PAN,

co robótki robi podle. Drugi ten — co za złe ma, że ci w życiu się powiodło... Słyszał pan to? Parę razy dekretowano już, że Młynarski się skończył...

— Jeśli ktoś tak sądzi — jego sprawa. Rad bym jednak wysłuchać konkretnych argumentów.

— Mało pana widać w telewizorze, nie słychać w radio, nie ma płyt, kaset...

— Dwa moje godzinne recitale są nagrane dla telewizji. W 1981 r. w krakowskim studio nagrałem kolejny recital z cyklu „SZAJBA" — leży sobie do dziś cichutko na półce. Przed trzema miesiącami — kolejne nagranie w Krakowie — „SZAJBA" numer 6 — też cisza.

W radio leży kupka moich nagranych piosenek — to i po co mam nagrywać nowe, żeby też leżały? Firma „WIFON" w 1980 roku zarejestrowała materiał na moją nową płytę, pt. „UKŁADANKA" — płyty na rynku nie ma. A mam już nowy repertuar, który można byłoby ułożyć w dwupłytowy album. Nie mam w tym względzie żadnych propozycji.

Żeby było jasne — utyskiwań, narzekań i biadolenia nie będzie. Ja jestem człowiek z usposobieniem konstruktywnym i nieustająco optymistycznym, choć w stopniu umiarkowanym. No pewnie, że trudno o wesołutki entuzjazm, ale „...róbmy swoje..."

Zresztą — te moje „brak na wizji i fonii" wynikają — jak sądzę — i z innych powodów. Do reklamy, organizacji koncertów itp. trzeba by mieć fachowego impresaria — a takiego nigdy nie miałem. Po drugie — chyba sam charakter gatunku, który uprawiam, wyznacza także zasięg odbioru. Ja nie jestem kapelą rockową, z całym sztafażem technicznych, wizualnych i decybelowych utensyliów. Ja pasuję do klubów, niezbyt dużych sal i śpiewam do wyraźnie adresowanego odbiorcy.

— To z czego pan żyje? Z tych recitali po klubach?

— Też. Głównie — z pisania piosenek na zamówienie. Mogę, po dwudziestu latach praktyki, powiedzieć, że nauczyłem się trochę pisać piosenki pewnego gatunku. Taką tradycyjną piosenkę estradową, wymagającą interpretacji, dostarczam różnym wykonawcom. M.in. Edycie Geppert Alicji Majewskiej, dla Andrzeja Zauchy i innych. I to „chodzi" w radio czy telewizji. Kiedyś napisałem cykl piosenek, które złożyły się na płytę Haliny Kunickiej „Dwanaście godzin z życia kobiety". Staram się dostarczać uczciwej, solidnie wykonanej produkcji, czasem włączę jakąś piosenkę do własnego repertuaru. Da się tym zarobić na życie i utrzymać rodzinę.

Przede wszystkim jednak, co także ma wpływ na intensywność moich publicznych występów, pochłania mój czas pasja największa — duża forma muzyczna. Teatr muzyczny, musical, opera, sceniczna baśń muzyczna, wodewil z aktualnymi kupletami. Słowem, duża opowieść o nas, tutaj, teraz. Chciałbym kiedyś zrobić wielki musical w amerykańskim stylu. Nie chodzi mi o „rozmiar" widowiska, lecz o klasę, o perfekcjonizm. Żeby pierwszorzędny aparat wykonawczy zdolny był przekazać widzowi sugestywny obraz, opowiadający o sprawach zawsze, dla każdego istotnych.

— Piosenka jednak jest „szybsza" w docieraniu do słuchacza, może być zwartym komunikatem, aktualnym komentarzem do życia, depeszą — jak mawiano o pańskich piosenkach.

— Wcale nie zrezygnowałem z piosenki funkcjonującej samodzielnie, przecież nadal śpiewam swe recitale. Jednak duża forma muzyczna daje mi możność pełniejszej

10

Foto: Grzegorz Gałasiński

„M" dla córeczki...

EDWARD BRYL

Według danych z Urzędu Miasta 15 tysięcy rodzin w aglomeracji łódzkiej żyje w warunkach urągających człowieczeństwu, w zawilgoconych suterenach, piwnicach, na wiatrem podszytych strychach, bez elementarnych wygód. Im mieszkania należą się w pierwszej kolejności, natychmiast, niektórym jakiekolwiek!

W wiekowych kamienicach Śródmieścia, Polesia, Bałut, Widzewa, Górnej, w lokalach o najniższym standardzie, pozbawieni szans na poprawę pozostali najstarsi mieszkańcy. Do końca życia, póki pozwolą siły i zdrowie będą dźwigali wodę, węgiel, za potrzebą schodzić do podwórkowego WC... W ośmiuset tysięcznym mieście tylko sześćdziesiąt procent obywateli posiada łazienki. Głód mieszkań stał się prawie że powszechny. Własne „M" zaliczane jest do dóbr najwyższych!

27 lutego 1984 roku do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi wpłynęła notatka służbowa, mówiąca o łamaniu przepisów prawa spółdzielczego przy przydzielaniu mieszkań. Została spisana 6 lutego tegoż roku przez starszego Inspektora Wydziału Kontroli i Instruktażu Urzędu Miasta Łodzi, dotyczyła lokalu spółdzielczego typu M-5 przyznanego córce dyrektora Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew".

„Jolancie L. przydzielono lokal składający się z trzech pokoi plus kuchnia. Uprawnieni do zajmowania mieszkania są mąż Sławomir i dwu i pół letnia córka Ewelina. Jest to mieszkanie z odzysku. Zajmujący je Roman K. zmarł we wrześniu 1983 roku. W niecały miesiąc później (18.10.83) klucze przekazano do SM „Zarzew".

A już 2 listopada 1983 r. córka prezesa gospodarowała w nowym mieszkaniu. W tym konkretnym przypadku należałoby podziwiać ogromną, niespotykaną operatywność spółdzielni, albowiem w ciągu dwóch tygodni przeprowadzono kapitalny remont. Założono wszystkie nowe urządzenia sanitarne, przełożono parkiet, założono wykładzinę PCV, wymieniono troje drzwi, dokonano regulacji stolarki okiennej i w końcu wymalowano cały lokal.

Renowacja mieszkania odbyła się oczywiście na koszt spółdzielni „Zarzew".

Jeszcze ciekawszym jest fakt, iż córka prezesa na swoje wymarzone „M" nie musiała wcale wyczekiwać latami jak przeciętny obywatel.

13 czerwca 1980 roku dziewiętnastoletnia Jolanta (jeszcze P.) dopłaciła 26.500 złotych na swoją uczniowską książeczkę mieszkaniową. Złożyła również wniosek o przydział uaktualniony o dopisanie męża Sławomira L. i córki Ewe-

7

Każda dalsza godzina walki zwiększała tylko cierpienie

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Żyjemy w powojennym świecie, od czterdziestu lat w pokoju. Tak przynajmniej jest u nas, w Europie. Spełniane jest jedno z kardynalnych praw człowieka — prawo do życia w pokoju. To są fakty. Ich geneza to lata czterdzieste XX stulecia — od tragedii światowej pożogi po wspólne decyzje zwycięskich mocarstw uczestniczących w walce z faszyzmem; po ówczesne akta prawa międzynarodowego, które pod wieloma względami określiły oblicze dzisiejszego, powojennego świata.

DRUGI DZIEŃ MAJA

Drugi dzień maja 1945 roku w Berlinie wstawał szary i chłodny. *„Od świtu dowódcy wysuniętych jednostek meldowali, że żołnierze niemieccy formują się w kolumny. O godzinie szóstej linię frontu przekroczył dowódca obrony Berlina i oddał się do niewoli"* — relacjonuje Włodzimierz T. Kowalski („Wielka koalicja. 1941—1945").

Była nadzieja na bezwarunkową kapitalucję, szansa na pokój. Zgody Niemców na bezwarunkową kapitulację miasta oczekiwano od kilku dni. Jednakże działania wojenne wciąż trwały, przeciągały się. Goebbels nalegał na rokowania ze zwycięzcami, zaś generał Czujkow, powtarzał stronie niemieckiej (zgodnie z przyjętą taktyką koalicji antyhitlerowskiej): *„Żadnych rokowań, z wyjątkiem bezwarunkowej kapitulacji. Tylko bezwarunkowa kapitulacja wobec wszystkich sojuszników".*

Tymczasem niedobitkom hitlerowskiego establishmentu marzyła się zgoda radziecka na utworzenie pospiesznie nowego rządu niemieckiego bez Hitlera i długotrwałe rokowania. Odpowiedź z Moskwy była jednoznaczna i konsekwentna: *„Nie może być mowy o żadnych rokowaniach i warunkach, w grę wchodzi tylko bezwarunkowa kapitulacja Berlina albo kapitulacja ogólna".*

W przypadku upartej, niemądrej odmowy Niemców, szturm miał zostać wznowiony.

Hitlerowcy nie wytrzymali kolejnej, nowej nawałnicy ogniowej wojsk radzieckich. Na nic zdała się zwłoka. W tej sytuacji o godzinie 0.40 dowództwo obrony Berlina nadało radiogram. Proszono w nim o wstrzymanie ognia i powiadamiano, iż strona niemiecka wysyła parlamentariuszy na most poczdamski. Generał Weidling, dowódca obrony stolicy Trzeciej Rzeszy, podjął tę decyzję samodzielnie.

Wśród żyjących nie było już Führera i Goebbelsa, a Borman zniknął bez śladu. Teraz już wszystko poszło prędko. W jakiś czas potem radio i głośniki skierowane na pozycje niemieckie ogłosiły rozkaz gen. Weidlinga:

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy dokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1336. P-2.

Przegląd prasy

Czterdziesta rocznica zakończenia w Europie drugiej wojny światowej, zwycięstwa sprzymierzonych nad faszyzmem rodzi liczne wspomnienia. Już sam fakt, że od zakończenia wojny mija 40 lat jest wielce znaczący. Po pierwszej wojnie światowej pokój trwał tylko 20 lat. Po drugiej — dwukrotnie dłużej. Można powiedzieć, że wysiłki Wielkiej Trójki zmierzające do zachowania pokoju przez możliwie najdłuższe lata, jeśli nie na zawsze, przyniosły pozytywny rezultat. Ale oni stworzyli podwaliny, na których mogła opierać się pokojowa polityka Związku Radzieckiego, na których w ogóle może opierać się wszelka walka o pokój. Dziś, gdy atakuje się te podwaliny, gdy różne siły marzą o tym i dążą do tego, aby poprzez wojnę zmienić układ sił na świecie, warto o tym pamiętać. Po 40 latach ludzie jakby zapomnieli, jak straszna była tamta wojna i nie potrafią sobie wyobrazić, jak straszna może być każda następna. Dlatego dobrze jest przypominać, ile ofiar i siły było potrzeba, aby 9 maja 1945 roku przedstawiciele Trzeciej Rzeszy zmuszeni byli do podpisania bezwarunkowej kapitulacji.

Zbigniew Domino napisał nowelę filmową o mało znanym epizodzie z czasów drugiej wojny światowej, o udziale 1 samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, dowodzonego przez ppłk. W. Sokołowskiego, w obronie stacji kolejowej pod Kijowem, w Darnicy podczas nalotu 50 niemieckich bombowców. Fragmenty tej noweli drukuje „ŻYCIE LITERACKIE" w podwójnym numerze 18/19 (z 5—12 maja 1985 roku) pod tytułem:

„POLACY BRONILI TAKŻE KIJOWA"

Nalot ten miał miejsce w nocy z 7 na 8 kwietnia 1944 roku. Most kolejowy pod Darnicą — dziś Darnica jest przedmieściem Kijowa — miał ważne strategiczne znaczenie. W Darnicy zatrzymywały się transporty wojskowe idące na zachód. Tu czekały swej kolejki, aby przejechać most. 7 kwietnia 1944 roku — w przedzień święta Wielkiejnocy — nad Darnicą pojawił się zwiadowczy samolot niemiecki. Radziecka obrona stacji spodziewała się nalotu. Do obrony stacji włączono polską artylerię przeciwlotniczą, która wprawdzie stała na wagonach w oczekiwaniu przejazdu przez most nad Dnieprem, ale była przygotowana do walki z samolotami. Dysponowała ona dwoma bateriami (1 i 3), które posiadały 4 działa 85 mm i 4 działa 37 mm oraz plutonem karabinów maszynowych przeciwlotniczych 12,7 mm. Nalot trwał od północy do świtu. Artyleria radziecka i polska strąciły 5 samolotów niemieckich. Bombowcom udało się kilkakrotnie trafić w pociąg. Poległo 49 żołnierzy, 68 zostało rannych, rozbito 3 działa.

„Potrzaskany, pokiereszowany transport — opisuje tę noc w noweli filmowej Zbigniew Domino. — *Palą się wagony, rozbite platformy, Ale transport żyje, dywizjon walczy. Strzelają działa, terkoczą karabiny maszynowe. Widać jak od celnego trafienia spada kolejny „Ju-88"."*

Nadszedł ranek 8 kwietnia 1944 roku.

„Podłużna, usypana z żółtego piasku, wielka, kilkunastometrowej długości — zbiorowa mogiła. Na środku mogiły — wysoki brzozowy krzyż. Na krzyżu — przybita tablica ze świeżych desek. Na tej tablicy wypalone czarnym śladem nazwiska poległych żołnierzy. I napis: „Wieczna chwała polskim żołnierzom przeciwlotnikom bohatersko poległym w nocy z 7 na 8 kwietnia 1944 roku w obronie Kijowa i Darnicy. Polegli wierni zawołaniu — „Za wolność Waszą i naszą"."

Ten sam numer „Życia Literackiego" ale inny teren wojny i inny czas. Też kwiecień, ale druga jego połowa i 1945 rok. Druga wojna światowa dobiega końca. Trwają jednak jeszcze walki. Hitlerowskie Niemcy bronią się. Właśnie w tym czasie na froncie włoskim rozgrywa się

WIELKA BITWA O BOLONIĘ

w której walczyły również oddziały 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych. Bitwę tę opisuje Olgierd Terlecki.

„Ruch w kierunku Budrio, przesunięty w toku bitwy na oś drogi numer 9, czyli wprost na Bolonię, wykonały oddziały polskie. Zupełnie jak w bajce Polakom przypaść miało sforsowanie po drodze siedmiu rzek: Senio, Santerno, Sellustro, Gaiano, Idice, Savena."

Natarcie w kierunku na Bolonię rozpoczęło się 9 kwietnia 1945 roku. W składzie 8 armii brytyjskiej były też oddziały 2 Korpusu. Bitwa trwała do 21 kwietnia 1945 roku. Rozbito doborowe niemieckie dywizje, w tym dywizje spadochronowe.

„Rankiem owego fatalnego dla Niemców dnia 21 kwietnia idący w przedniej straży Grupy Rud 9 batalion karpacki przeszedł wąską strużkę Savenу, rozbił na przedmieściu jakiś zapóźniony oddział niemiecki i wkroczył do Bolonii wśród niebywałego entuzjazmu jej mieszkańców... O ósmej weszły do miasta pierwsze oddziały amerykańskie, wjechały czołgi Krechowiaków..."

Ale tu mogę opowiedzieć rzecz zabawną. Oto Bohdan Tymieniecki w książce *„Na imię jej było Lily"* opisuje, jak już 20 kwietnia 1945 roku pod wieczór przyszedł do niego Henryk Jedwab, podporucznik kompanii polskich komandosów z następującym zaproszeniem:

— *„Kolego Tymieniecki, zapraszam pana na dinner do „Papagallo".*

— *Jakie „Papagallo"?*

— *To pan nie słyszał? „Papagallo" w Bolonii, najlepsza restauracja w Europie.*

— *W Bolonii?*

— *Ano byłem w Bolonii. Niemcy wyszli przed wieczorem. Na mieście tłumy, że trudno się wyrwać. No co, jedziemy?"*

Nie pojechali, gdyż dowódca nakazał pełną gotowość i wydał rozkaz na dzień następny: *„Bolonia za wszelką cenę"*. Rozkaz ten wywołał powszechną wesołość. Polacy wkroczyli do Bolonii 21 kwietnia 1945 roku rano. Marszałek polny Alexander wyraził im wysokie uznanie za udział w walkach nie tylko o Bolonię. 2 maja 1945 roku w Casercie pod Neapolem skapitulowała Grupa Armii „C". We Włoszech skończyła się wojna.

Dość wspomnień. Czasy mamy raczej niełatwe. Różnych zmartwień nam nie brakuje. Ale niemal wszystkim największe zmartwienia przysparza

BIAŁA NIEWOLNICA ISAURA

Co otworzę jakiś tygodnik, to zaraz czytam, że komuś brazylijski serial się podoba, a ktoś inny psy na nim wiesza. Widać potrzebna nam taka dyskusja, bo przynosi odprężenie. W sporze o Isaurę można nawymyślać przeciwnikom, ile tylko wlezie, a to — jak wiadomo — sprzyja rozładowywaniu stresów. Nawet Kisiel w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" włączył się do sporu o Isaurę (nr 13 z 5 maja 1985 roku).

Kisiel oczywiście jest przeciw. Ale nie przeciw *„Niewolnicy Isaurze"*, ale przeciw tym, którym się ten serial nie podoba. Kisiel pisze, iż w „Polityce" znalazł dziwny tekst pod tytułem *„Precz z niewolnictwem!"*. Okazało się, że chodzi o serial *„Niewolnica Isaura"*, bo *„to podobno straszny kicz i tandeta, do tego okropnie głupie i źle zrobione, a tu ludzie chcą toto oglądać i nawet — o zgrozo — po raz drugi"*. Kisiel to przeczytał i aż złapał się za głowę ze zgrozy: *„więc taki ja jestem głupi?! I taka bezdennie głupia jest cała polska publika, z którą ja co tydzień solidarnie wgapiam się w ekranik, łykam łzy wciągając je do nosa i z utęsknieniem oczekuję następnego wtorku... Mój Boże, mój Boże, więc i tego już nawet nie wolno?!"*

Kisiel jest wytrawnym graczem i dobrze wie, jaki chwyt w tej dyskusji zastosować. Więc powiada że słychać, iż *„rozważa się wycofanie szeregu sentymentalnych historii"*: jak choćby „Tristana i Izoldę", „Damę Kameliową", „Love story". Kisiel udaje, że nie rozumie różnicy, nabiera czytelników na prosty chwyt wytrawnego felietonisty. Proszę, oto „Polityka" i inne różne takie ciemne grupy spiskują przeciw światowej literaturze, bo im się nie podoba *„Niewolnica Isaura"*. A już Rzymianie przestrzegali, aby o gustach nie dyskutować! Bo mogą wyjść z tego różne nieprzewidziane głupoty...

Innych argumentów w walce o dobre imię *„Niewolnicy Isaury"* chwycił się Jan Piasecki w „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 18 z 5 maja 1985 roku). Jego zdaniem

WSZYSTKIEMU WINNI SĄ KRYTYCY I INTELIGENCI

Bo krytycy przestali być już komukolwiek potrzebni, gdyż ludzie sami wymieniają między sobą opinie o sztuce i tymi opiniami kierują się w kontakcie ze sztuką. W tej sytuacji krytyk *„nie ma innego wyjścia jak tylko bić, rezać i wdeptywać kolejną swoją niewolnicę w ziemię, aż pokaże się krew i może ktoś o słabszych nerwach zacznie polemizować uzasadniając tym sens istnienia krytyki"*. Krytykowi w tej samotnej walce z *„Niewolnicą Isaurą"* sekunduje inteligent, który *„wiele ambicji umysłowych lokuje w sztuce tolerując w niej z tego powodu wyłącznie uczucia wyrażane w sposób ambitny i pokomplikowany"*. Tak więc inteligent musi być przeciw *„Niewolnicy Isaurze"*, bo pokazuje ona miłość w prosty i nieskomplikowany sposób.

A Kisiel też inteligent i można powiedzieć krytyk, a jemu Isaura podoba się i nie wstydzi się przyznać publicznie, że ogląda. Więc, jak to jest z tą tezą o krytykach i inteligentach? Ale Jan Piasecki i to przewidział. Otóż *„Niewolnica Isaura"* podoba się prostym ludziom, do których i siebie zalicza. Z tego wniosek, że Kisiel też jest prostym człowiekiem. Ale Zdzisław Pietrasik w „POLITYCE" (nr 18 z 4 maja 1985 roku) w artykule *„Kwestia gustu"* obala takie rozumowanie: *„jak się okazało, losami biednej niewolnicy solidarnie przejmują się przedstawiciele rozmaitych klas i warstw społecznych"*. Ba! Naukowcy zakończyli w któryś wtorek wcześniej konferencję, aby być przed telewizorem o godzinie 20.15. A czytelnik „Polityki" zadał pryncypialne pytanie: *„jakim prawem ktoś ma za nas decydować, co nam ma się podobać, a co nie?!"*. I słusznie. Już dawno odkryto, że jednemu podoba się córka, a drugiemu... żona, cudza zresztą, bo matka tej córki. Jedni lubią chude, a inni takie „przy kości", inni jeszcze tylko... chłopców. Tej dziedziny życia nikt nie proponuje uregulować ustawowo, że na przykład od jutra wszystkim mają się podobać małe czarne lub wysokie blondynki z dużymi... niebieskimi oczyma.

Toteż Zdzisław Pietrasik nie dyskutuje o gustach, ale rozważa o kiczu. Wśród tych rozważań Zdzisław Pietrasik pisze: *„Wysoka" sztuka jest z reguły trudno dostępna, trzeba się do niej wspinać, sztuka kiczowata gwarantuje przystępność formy i czytelność treści znanej wszystkim"*. To stwierdzenie wśród wielu innych, nie pozbawionych racji może wprowadzić poważne nieporozumienia. Sugeruje ono bowiem, że sztuka nie może operować prostymi i jasnymi formami, że sztuka musi uciekać się do wydumań, zawijasów itepe. Inaczej jest tylko kicz. Jest to poważne uproszczenie, które wyrwało się Z. Pietrasikowi w ferworze publicystycznych uogólnień, a ponieważ wyrwało się słowem może wrócić wróblem. Trzeba więc powiedzieć, że to nie jest prawda. Wielka sztuka, trwająca wieki była i jest prosta i czytelna, ale jest wielka poprzez talent twórcy i myśl, która jest jasna dla wszystkich do dziś. Myśl decyduje o wielkości sztuki czy o kiczu. Myśl! Kicz jest jej pozbawiony. Ot i wszystko!

LUCJAN BOGUSZ

Antoni Szram Laureatem Nagrody „Odgłosów"

KOMUNIKAT jury nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury

Jury nagrody tygodnika „Odgłosy" w składzie: przewodniczący: Lucjusz Włodkowski — „Odgłosy", członkowie: Bogusław Balicki — Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, Jerzy Bauer — Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, Henryk Hartenberg — Związek Literatów Polskich, Eugeniusz Iwanicki — „Odgłosy", Andrzej Kempa — Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Andrzej Mikołajczyk — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, Jerzy Panasewicz — Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, i Zdzisław Szymor — Wydział Kultury i Sztuki UMŁ — rozpatrzyło 15 zgłoszonych kandydatur do nagrody.

W głosowaniu tajnym wymaganą większością głosów przyznało nagrodę za rok 1984 ANTONIEMU SZRAMOWI — dyrektorowi Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Działalność Antoniego Szrama — w ocenie jury — w 1984 roku nie sprowadzała się tylko do kierowania powierzoną mu placówką muzealną. Był on organizatorem i inspiratorem wielu ważnych inicjatyw wnoszących nowe, cenne wartości do rozwoju kultury.

Minął tydzień

MIMO PADAJĄCEGO ŚNIEGU I DESZCZU

1 maja 1985 roku ludzie pracy tłumnie wylegli na place i ulice, aby zamanifestować swoją obecność na pierwszomajowym święcie. Była to manifestacja woli szybkiego wychodzenia z kryzysu, poparcia dla starań rządu i partii politycznych. Była to też manifestacja woli życia w pokoju. Wiele haseł wypisanych na transparentach mówiło o konieczności obrony pokoju. Polsce, jak i innym krajom i narodom, potrzebny jest pokój. Przedłużenie ważności Układu Warszawskiego na dalsze 20 lat stanowi gwarancję — mimo nasilającego się wyścigu zbrojeń — utrzymania równowagi sił militarnych na świecie, a przez to i utrzymania pokoju.

Najdłużej pochód pierwszomajowy trwał w Warszawie. Wielu manifestantów, którzy powrócili zmoczeni i przemarznięci z pochodów w swoich miastach, z zazdrością patrzyło na pochód warszawski pokazywany w telewizji, gdzie ludzie szli pod chmurnym niebem — czasami nawet pokazywało się słońce — ale bez żadnych opadów.

W kilku miastach podjęto próby organizowania kontrpochodów pierwszomajowych. Usiłowania opozycji nie wzbudziły większego zainteresowania. W kilku przypadkach interweniowała milicja.

W CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNYM

witamy dalszych lokatorów. Do gmachu przy ulicy Henryka Sienkiewicza 3/5, gdzie już od 19 stycznia 1985 roku mieści się redakcja „Odgłosów", w drugiej połowie kwietnia wprowadziły się: redakcja **„Karuzeli"**, łódzki oddział **Krajowej Agencji Wydawniczej** oraz redakcja **„Expressu Ilustrowanego"**. W lipcu do gmachu przy ulicy H. Sienkiewicza 3/5 wprowadza się Łódzkie Wydawnictwo Prasowe.

Witamy nowych lokatorów w centrum prasowo-telewizyjnym jako najstarsi jego mieszkańcy i do niedawna jedyni. Miło nam, że wielu kolegów przeniosło się do nowych, lepszych warunków pracy. Wprawdzie dla niektórych był to tak wielki wstrząs, że przez tydzień nie potrafili zmienić adresu w stopce redakcyjnej, ale sądzimy, że przyzwyczają się i tak jak my będą mówili o nowych warunkach pracy z najwyższym uznaniem.

W starym budynku przy ulicy Piotrkowskiej 96 pozostają jeszcze redakcje „Głosu Robotniczego" i „Dziennika Łódzkiego", oraz oddziały łódzkie PAP, „Trybuny Ludu", a także mieścić się tam będzie łódzki oddział „Rzeczypospolitej". Redakcje te będą mogły przenieść się do gmachu przy ul. H. Sienkiewicza 3/5 dopiero po opuszczeniu bocznego skrzydła przez łódzki „Otex".

Centrum prasowo-telewizyjne pomyślane jest nie tylko jako miejsce pracy łódzkich redakcji pism i ośrodka telewizyjnego, ale ma stać się miejscem wielu cennych inicjatyw kulturalnych. Powinno stać się miejscem inicjatyw wychodzących do innych środowisk, miejscem spotkań ludzi kultury, dyskusji, a nawet artystycznych eksperymentów. Żeby tak się mogło stać wszystkie redakcje muszą znaleźć się w tym centrum. Zapadła już decyzja w sprawie zwolnienia skrzydła zajmowanego przez „Otex". Odwleka się jej wykonanie. Rosną nowe trudności. Muszą one być pokonane. Właśnie w dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy władze Łodzi powinny ostatecznie rozwiązać sprawę centrum prasowo-telewizyjnego. Dziennikarze redakcji którzy pozostają w zrujnowanym gmachu przy ulicy Piotrkowskiej muszą otrzymać konkretne zapewnienie, jak długo będą tam pozostawać. Jak długo będziemy czekali, aż powstaną pełne warunki dla ukazania kulturotwórczej roli centrum. Na moment ten nie będziemy wprawdzie czekali z założonymi rękoma, ale mamy przecież świadomość, że można byłoby zrobić więcej.

„W DYMACH CZARNYCH BUDZI SIĘ ŁÓDŹ"

— to tytuł nowego, cennego wydawnictwa, które ukazało się nakładem łódzkiej oficyny. Są to opracowania **„Z dziejów łódzkiego ruchu robotniczego 1882—1946"**. O narodzinach klasy robotniczej w Łodzi napisała **Alina Barszczewska-Krupa**, o walce w latach 1893—1918 — **Paweł Samuś**, o dziejach ruchu robotniczego w okresie między wojnami — **Barbara Wachowska**, lata okupacji przedstawili **Tadeusz Czapliński** i **Ryszard Nazarewicz**, a dzieje ruchu robotniczego przed zjednoczeniem — **Stefan Banasiak**.

Publikacja Wydawnictwa Łódzkiego jest niebywale potrzebna i wzbudzi duże zainteresowanie nie tylko specjalistów. Nakład: 1000 egzemplarzy.

A. B. SEKATOR

Maj, czerwiec 1905 roku w Łodzi (2)

7. W CZAS NIEPOKOJU

ważne były symbole. Przy ich pomocy można było powiedzieć niekiedy więcej niż wprost posługując się tylko słowami. I ludzie chętnie z możliwości symbolu korzystali. Irena Tuwim w *„Łódzkich porach roku"* wspomina taką scenę. Było to przed świętami Bożego Narodzenia. Wybrali się w trójkę — ona, Julian i Matka — na ulicę Piotrkowską. I zatrzymali się przed wystawą kawiarni Salwy.

„Na niewielkim podium pokrytym białym aksamitem, który miał imitować całun śniegu, stał wazon pełen pąsowych róż. Na tle aksamitu leżały rozsypane, niby to nieumyślnie, szkarłatne płatki, a obok zwykły, kuchenny nóż. Kontrast był tak brutalny, tak uderzający, że nic nie mówiąc spojrzeliśmy najpierw po sobie, a potem na Matkę.

— To symbol rewolucji — powiedziała Matka".

Czerwień była symbolem rewolucji. Czerwień — to krew. Krew ludu uciskanego, który teraz zerwał się, aby skruszyć swoje kajdany. Symboliczne znaczenie czerwieni miało ścisły związek z *„Czerwonym sztandarem":*

A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew.

Julian Tuwim świadomie wykorzystał ten motyw w *„Rozdziale dziecinnej „Farbenlehre"* w *„Kwiatach polskich":*

Popatrz na usta tej dziewczyny,
Podręcznej z magazynu mód:
A kolor ich niebieskosiny,
Bo smutno, trudno, chłód i głód.

I jeszcze:

W tryby maszyny rozpętanej
Robotnik rzuca resztki sił.
A kolor jego ołowiany,
Bo na nim ołowiany pył.

I wreszcie:

Za barykadą — tłum stłoczony,
A nad nią, w górę podniesiony,
Sztandar-wyzwanie, sztandar-gniew;
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew.

Nad manifestującymi robotnikami powiewały czerwone sztandary. Na grobach poległych składano czerwone kwiaty. Robotnicy na manifestacje przychodzili z czerwonymi kokardami. Na przykład 30 marca 1905 roku do fabryki I. K. Poznańskiego (dziś ZPB im. J. Marchlewskiego) przyszło blisko trzy tysiące robotnic wszystkie z czerwonymi kokardami przy sukniach. Sprawiało to szokujące wrażenie. Podobnie na pogrzebie Wł. Grzegorzewskiego wszyscy mieli przypięte czerwone kokardy. Noszono w tym czasie czerwone krawaty. Kobiety nosiły czerwone kwiaty we włosach. W czasie manifestacji kto miał, to wyciągał czerwoną chustę i przyczepiał ją do kija lub laski. Ta powszechna obecność czerwieni działała prowokująco i niepokojąco na policję. Na początku czerwca 1905 roku żydowskie dzieci na ulicy Wschodniej bawiły się w manifestację. Jeden z chłopców niósł czerwoną chustę na kiju. Przechodzący policjant nie namyślając się strzelił do chłopca i go zabił.

8. BOLESŁAW CZERWIŃSKI W 1881 ROKU

napisał we Lwowie pieśń, którą zatytułował *„Czerwony sztandar":*

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!

Dalej więc, dalej więc,
Wznieśmy śpiew.
Nasz sztandar płynie ponad trony,
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Wolności rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew.

Choć stare łotry, nocy dzieci,
Nawiązać chcą starganą nić,
Co złe, to w gruzy się rozleci,
Co dobre, wiecznie będzie żyć!

Dalej więc, dalej więc...
Porządek stary już się wali,
Żywotem dla nas jego zgon,
Będziemy wspólnie pracowali
I wspólny będzie pracy plon!

Dalej więc, dalej więc...
Hej, razem bracia do szeregu!
Z jednaką myślą, z dłonią w dłoń!
Któż zdoła strumień wstrzymać w biegu,
Czy jest na świecie taka broń?

Dalej więc, dalej więc...
Precz z tyranami, precz z zdziercami!
Niech zginie stary, podły świat!
My nowe życie stworzym sami
I nowy zaprowadzim ład!

W słowach tej pieśni zawarty był manifest robotniczych dążeń, pragnień i ich program postępowania. Pieśń tę zakazywano, zwalczano ją, karano tych, którzy ją śpiewali, a nawet — do czego powrócę — napisano kontrpieśń: *„Biały sztandar".*

Bolesław Czerwiński urodził się 3 kwietnia 1851 roku we Lwowie, gdzie spędził całe swoje krótkie życie. Umarł w wieku 37 lat. Chory, prześladowany, gnębiony. Nad jego trumną gromadnie zebrani przyjaciele i towarzysze odśpiewali zakazaną już pieśń *„Czerwony sztandar"*, za co wielu z nich pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Od 1878 roku poeta trwale związał się z socjalizmem. Pisał proklamacje, redagował socjalistyczne gazetki, opracowywał programy. Ale największą popularność zyskał jako autor *„Czerwonego sztandaru"*, chociaż robotnicy polscy śpiewając tę pieśń na manifestacjach, zebraniach, spotkaniach, nie wiedzieli kto jest jej autorem. To była ich pieśń, tak jak pieśnią ludu są pieśni śpiewane na uroczystościach, weselach, po pracy lub przy pracy. I dziś mało kto pamięta, że autorem *„Czerwonego sztandaru"* był młody lwowski poeta — Bolesław Czerwiński. Postać jego przypomnieli — jak i dzieje pieśni — Daria i Tomasz Nałęczowie w niedawno wydanej książce pt. *„...zemsty grom, ludu gniew".*

9. DO POLSKI PRZYWĘDROWAŁA NAJPIERW MELODIA

Była to melodia szwajcarskiego *„Marsza strzelców fryburskich".* W 1877 roku w Brnie w szóstą rocznicę Komuny Paryskiej, były komunard Paweł Brousse napisał pieśń pt. *„Le drapeau rouge".* Była to pieśń o sztandarze zabarwionym krwią paryskich komunardów. Pieśń ta dotarła nad Wisłę z francuskimi słowami i tak ją początkowo śpiewano. Francuski tekst przepisywano ręcznie i rozpowszechniano. Próbowano też przekładać go na język polski. Daria i Tomasz Nałęczowie wspominają, iż w aktach krakowskiego procesu socjalistów z 1880 roku znajduje się taki polski przekład zatytułowany *„Komunarka"* obok francuskiego oryginału. Refren tej pieśni tak brzmiał:

Oto on! Oto on! Patrzcie!
On faluje, powiewa, burzy się,
Swe marszczące się płótno gotuje do boju.
Poważcie się go tknąć!
Nasz najmilszy czerwony sztandar,
Czerwony krwią robotników.

„Na bakier czapki, do góry wąsy"

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Bolesław Czerwiński nie przełożył francuskiego tekstu. W dziesiątą rocznicę Komuny Paryskiej napisał tekst oryginalny, zainspirowany jedynie francuskim pierwowzorem. I tekst ten zdobył wielką popularność. Stał się hymnem rewolucji robotniczej, hymnem ludzi walczących z wyzyskiem i uciskiem narodowym. Drukiem ukazał się *„Czerwony sztandar"* w Genewie, w 1882 roku w zbiorze polskiej poezji socjalistycznej pt. *„Czegóż chcą".* Pieśń szybko zdobyła popularność najpierw w Galicji, a później w innych rejonach Polski. Śpiewano ją w Łodzi w maju i czerwcu 1905 roku.

„Czerwony sztandar" w sposób prosty i sugestywny prezentował program socjalizmu. Nie mogło się to podobać jego przeciwnikom. W odpowiedzi na *„Czerwony sztandar"* w 1907 roku Wiktor Gomulicki napisał *„Biały sztandar".* Jest to dokładna replika na *„Czerwony sztandar".*

Ludzkości żeńce plon bogaty,
Znosimy z trudem w cudzy bróg.
Lecz przyjdzie dla nas dzień zapłaty:
Płatnikiem wówczas będzie Bóg!
Dalej więc, dalej więc wznieśmy śpiew
Z sztandaru swego pełni chwały —
Obcy mu zemsty szał, grzeszny gniew,
Miłości zrodził go siew —
A kolor jego śnieżno biały,
Bo go nie plami bliźnich krew.
Nic nie upadla bardziej duszy,
Niż nienawiści wstrętny jad...
Co złe, dłoń Boża sama skruszy,
Co dobre, uczci Bóg i świat.
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew
Gmach samolubstwa już się wali,
Zburzyła go Chrystusa moc,
Gdy będziem z Bogiem pracowali,
Pierzchnie przed słońcem fałszu moc.
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew...

I choć pieśń ta posługiwała się tą samą melodią, choć powstała w okresie odpływu fali rewolucyjnej i nasilania się kontrrewolucji i terroru carskiej policji, to przecież nie była w sile zdystansować *„Czerwonego sztandaru".* Dziś jest tylko historycznym dokumentem walki ideologicznej z roku 1907.

10. HISTORIA LUBI PŁATAĆ FIGLE

I coś takiego przydarzyło się Alojzemu Felińskiemu, który w 1816 roku napisał pieśń pt. *„Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego"*, która to pieśń pomyślana była jako wiernopoddańczy hymn na cześć cara Aleksandra I. Z czasem nabrała zupełnie innego charakteru.

28 października 1904 roku generał major W. A. Czerkasow w raporcie do generał gubernatora warszawskiego M. Czertkowa o przebiegu w Łodzi demonstracji przeciw poborowi do wojska napisał:

„23 października o godz. 12 min. 45 po południu, kiedy po zakończeniu mszy ludzie wychodzili z kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, znajdującego się na Starym Rynku, tłum nieprawomyślnych osób w liczbie mniej więcej 150, wzniósłszy na cmentarzu kościelnym czerwony sztandar z napisanymi na nim białymi literami: „Niech żyje Polska" i innymi jakimiś literami ruszył od kościoła placem koło kancelarii parafialnej i zaczął śpiewać pieśń rewolucyjną: „Boże, coś Polskę".".

Jest to ni mniej ni więcej tylko tenże Hymn Alojzego Felińskiego z 1816 roku napisany ku chwale cara Aleksandra I.

Tenże sam generał major W. A. Czerkasow w raporcie z 23 maja 1905 roku znów doniósł swoim zwierzchnościom, że *„w m. Łodzi modlący się po kościołach prawie codziennie śpiewają hymn rewolucyjny „Boże, coś Polskę".*

Ta nadzwyczajna popularność hymnu Alojzego Felińskiego spowodowała, że usiłowano w późniejszym czasie nadać jej charakter Hymnu Polski, a *„Jeszcze Polska nie zginęła"* miała być tylko Mazurkiem Dąbrowskiego. Usiłowania te na nic się zdały.

Pieśń odgrywała w tamtych czasach ogromną rolę. Docenił to nawet endecki *„Rozwój"*, który w 1907 roku pisał:

Wjeżdża szybko pociąg, jest już tuż —
sza, ona wzniecić potrafi entuzjazm, uniesienie, szał. Nic silniej nie przemówi do duszy".

Ale potrzeba talentu poety, umiejętności wczucia się w ludzkie marzenia, dążenia, tęsknoty, aby stworzyć taką pieśń, którą ludzie zaakceptują, uznają ją za swoją, będą gotowi iść w bój z tą pieśnią na ustach. Taką pieśnią był *„Czerwony sztandar".*

11. TOCZYŁA SIĘ TEŻ WALKA NA PIEŚNI

W latach 1905—1907 partie polityczne i robotnicze wydawały liczne broszurki z pieśniami i poezją dla robotników. Liczne piosenki przepisywano w kajetach, na luźnych kartkach, wydawano ulotki z pieśniami i poezją. Władysław Lech Karwacki w książce pt. *„Łódź w latach rewolucji 1905—1907"* wymienia 12 zbiorów wydanych przez partie robotnicze, a także 7 wydanych przez narodowców.

Endecy na przykład podśpiewywali złośliwie pepeesowcom.

Na barykady idą dwa dziady
Bojowcy stoją — dziadów się boją.

Na co im pepeesowcy odpowiadali:

Hej, bracia sokoły,
Pracujcie jak woły,
Pracujcie jak byki,
Bo zamkną fabryki.

Pieśnią reagowano na różne wydarzenia.

Jest też „wolność związków",
A więc wielokrotnie
Już zawiązywali
U nas „czarną sotnię".

Tak, jak Wiktor Gomulicki na melodię *„Czerwonego sztandaru"* napisał słowa *„Białego sztandaru"*, tak dopisano inne słowa do *„Boże, coś Polskę".*

Nie wracaj, Boże! Polski — jaką była
Gdzie robotnicy żyli jak zwierzęta,
Gdzie tylko szlachta z klerem w zbytku żyła,
A lud włościański niósł niewoli pęta.

Pieśnią reagowano na różne wydarzenia. Gdy w październiku 1905 roku car wydał manifest zapowiadający reformy, ulica zareagowała pieśnią.

Car ispugałsia, wydał manifest:
Miortwych na swobodu, żywych pod areszt.

Śpiewano też.

Takie to wolności
Manifestem dali:
Sołdat łamie kości,
Kozuń przez łeb wali.

Śpiewano też pieśni o bojowcach, którzy ochraniali manifestacje, wykonywali wyroki, dokonywali zamachów, napadali na ambulanse z pieniędzmi.

Stacja Skierniewice, a przystanek Rogów,
Wjeżdża szybko pociąg, jest już tuż —
Pocztowy zamknięty, pełno wszędzie wrogów
A na stacji żandarm, anioł — stróż!
A wtem bomba eksploduje: bach! bach! bach!
Wagon w drzazgi rozsypuje: trach! trach! trach!

O bojowcach też śpiewano:

Nie masz to wiary, jak w naszym znaku!
Na bakier czapki, do góry wąsy —
Śmiech i kajdanów brzęk na Pawiaku —
Na szafot idziem jak gdyby w pląsy!
Lecz gdy w bój staniem — to nie na żarty:
Każdy swój browning do ręki bierze —
Walcząc z policją w boju otwartym
Nie ustępujem starym żołnierzom.

12. GDY NA JULIUSZA KUNITZERA URZĄDZONO ZAMACH

pieśń uliczna dokładnie to opisała.

W mieście Łodzi rozeszła się nowina.
Była sobota coś piąta godzina,
Powracał do domu, starym zwyczajem,
Kunitzer, Tamfani, jadąc tramwajem.

30 września 1905 roku o godzinie 19,38 łódzki policmajster Harion Chrzanowski depeszował do Piotrkowa Trybunalskiego:

„O godzinie 6 wieczorem na rogu Piotrkowskiej i Nawrot kilku strzałami zabity został w tramwaju fabrykant Kunitzer. Policja aresztowała zabójców".

Z tyłu, na platformie dwaj bojowcy stali
I każdy pojedynczo z brauninga walił.
„Lud cię prosił daremnie, prosił ze łzami,
A tyś mu się, łotrze, odpłacił kozakami
Z pracy, z warsztatu na łeb wyrzucałeś,
Za długoletnią pracę tak się wywdzięczyłeś.
Kończysz dziś swe życie — masz więc pozdrowienia
Od twych robotników wpakowanych do więzienia".

W sądzie A. Szulc, który był jednym z zabójców Juliusza Kunitzera powiedział:

— Tak! — ja zabiłem Juliusza Kunitzera, gdyż nie mogłem znieść, że przez tego człowieka setki robotników cierpi nędzę...

Sąd skazał go na 15 lat katorgi. Skazany przyjął ten wyrok wznosząc rewolucyjne okrzyki.

Ale to już było po wydarzeniach majowo-czerwcowych w Łodzi.

Każda dalsza godzina walki zwiększała tylko cierpienie

ze str. 1

„30 kwietnia Führer popełnił samobójstwo i w ten sposób pozostawił nas, którzy przysięgaliśmy mu wierność, samych. Na rozkaz Führera, my, wojsko niemieckie, byliśmy zobowiązani jeszcze walczyć o Berlin mimo wyczerpania się wszystkich zapasów wojennych i mimo że ogólna sytuacja czyni nasz dalszy opór bezsensownym.

Rozkazuję natychmiast zaprzestać oporu".

Według autorów „Historii Wielkiej Wojny Narodowej", rozkaz ten zawierał jeszcze dodatkowe sformułowania: *„Każda dalsza godzina walki zwiększa cierpienia ludności Berlina i naszych rannych. Każdy, kto polegnie w walce o Berlin, będzie ofiarą daremną"...*

OFIAR DAREMNYCH NIE BRAKOWAŁO

Milkły powoli strzały, kapitulacja w Berlinie nabierała powszechnego charakteru. Do końca dnia całe miasto było w rękach radzieckich. *„Cały Berlin jest w pyle* — pisał pisarz Wsiewołod Wiszniewski, akredytowany przy sztabie Czujkowa. — *Wszędzie czerwony pył. Sunie sznur naszych samochodów, wozów... sygnały, okrzyki... Na północy za Reichstagiem likwidują jakichś ukrywających się w domach żołnierzy niemieckich... Odległe wystrzały armatnie, od czasu do czasu — serie karabinów maszynowych... Totalna klęska niemiecka — rezultat ostatniego szturmu".*

Ulicami, pośród ruin pełzły nie kończące się, długie kolumny jeńców. Ze zwalisk gruzu, z piwnic wychodzili wynędzniali mieszkańcy, których jedyną teraz szansą była łyżka strawy i kromka chleba z kuchni polowej zwycięzców.

Były jeszcze także ofiary daremne. Gdzieniegdzie bowiem w zwaliskach ruin terkotały karabiny. Jeden z takich wypadków relacjonował na łamach „Prawdy" 5 maja 1964 roku L. Kołobow, były dowódca plutonu:

„(...) Terkotały karabiny maszynowe i pistolety maszynowe. I nagle w chwili jakiejś przerwy, na skrzyżowanie wybiegła kobieta z dzieckiem na ręku. Nie zdołała przejść dziesięciu kroków, gdy rozległa się seria z pistoletu maszynowego. Kobieta upadła na samym środku skrzyżowania.

Oniemieliśmy. Kobieta nie poruszała się, ale rozległ się głośny płacz dwu- trzyletniego dziecka. Podczołgał się do mnie Sasza Mierzojew — dowódca działonu znajdującego się najbliżej tego miejsca, w którym leżała zabita kobieta.

— Pozwólcie, towarzyszu dowódco, pójść po dziecko.

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Skrzyżowanie przestrzeliwane było wzdłuż i wszerz...

Gdy tylko Sasza wyskoczył z ukrycia, faszyści otworzyli ogień... Mierzojew upadł. Ale towarzysze wyciągnęli go i zanieśli do piwnicy. I znów zwrócił się do mnie jakiś piechur z taką samą prośbą.

Niemcy wzmogli ogień. Piechur zatknął poły płaszcza za pas i kilka sekund rozglądał się. Później wyskoczył zza działa i rzucił się do przodu. Biegł zygzakami, nisko pochylając się. Dotarł do zabitej kobiety, chwycił na ręce dziecko i rzucił się z powrotem.

To było wprost niepojęte. Hitlerowcy strzelali do biegnącego żołnierza z pistoletów maszynowych (...) Ciężko dysząc żołnierz dopadł bramy naszego domu".

Były ulice, zaułki gdzie grupy niedobitków trwały na swoich pozycjach, broniły się wyjątkowo zaciekle desperacko. Była to już jednak agonia Berlina i Trzeciej Rzeszy. Marszałek Rokossowski pisze:

„Jak śmiertelnie ranna bestia odgryza się w ślepej wściekłości, tak hitlerowcy w tych dniach walczyli aż do ostatka. Pozostała im jeszcze jedna, jedyna nadzieja — doczekać nadejścia Anglików i Amerykanów, ażeby oddać się im do niewoli, byle tylko nie wojskom radzieckim. Na nic więcej, najwidoczniej, już nie mogli liczyć i dlatego walczyli z zaciekłością skazańców".

W czasie trwania operacji berlińskiej wojska radzieckie i żołnierze Wojska Polskiego rozbili jedno z największych niemieckich ugrupowań, pokonali 70 dywizji piechoty, 12 pancernych i 7 zmotoryzowanych. Wzięli do niewoli 480 tys. żołnierzy niemieckich. Zdobyto ponad 1500 czołgów i dział pancernych oraz 4,5 tys. samolotów.

3 maja czołówka 3 korpusu pancernego wojsk radzieckich nawiązała, na południowy zachód od Wismaru, łączność z wojskami 2 armii brytyjskiej. Na całym terytorium Rzeszy zaciskały się kolejne, pancerne pierścienie zwycięzców.

LOS NIEMIEC

Losy Niemiec i Niemców, zgodnie z logiką wojny, leżały w rękach zwycięzców. Jeszcze na długo przed upadkiem Berlina Stalin, Roosevelt i Churchill, stali zgodnie na stanowisku, iż Niemcy należało pozbawić wszelkich możliwości i pretekstów do jakichkolwiek manewrów politycznych czy wykrętów. Niemcy musiały kapitulować bezwarunkowo.

Różnice poglądów poczęły się ujawniać dopiero w kwestii rozstrzygnięć o powojennej państwowości niemieckiej. Pomysłów i projektów było wiele.

W Teheranie Roosevelt i Churchill byli za *„rozczłonkowaniem Niemiec"*. Amerykański projekt zakładał utworzenie po wojnie pięć *„samodzielnych części Niemiec"*. Churchill szczególnie upierał się za oddzieleniem od Niemiec Bawarii i innych południowych landów. Stalin konkludował sceptycznie: *„Nie podoba mi się plan nowych ugrupowań państw"*. Podawał również w wątpliwość teorię angielskiego premiera jakoby Niemcy południowi mieli być lepsi od Prusaków, wobec tego należało ich traktować łagodniej.

W Jałcie, Stalin w drugim dniu obrad, postawił sprawę przyszłości Niemiec. Roosevelt stał w dalszym ciągu na stanowisku konieczności rozczłonkowania Niemiec. Na ile części, tego jeszcze nie potrafił definitywnie sprecyzować. Churchill sugerował podział Niemiec na trzy państwa: Prusy, reszta Niemiec zachodnich oraz państwo niemieckie na południu (Bawaria, Austria) ze stolicą w Wiedniu. Sądził jednakże, że ostatecznej decyzji „Wielka Trójka" nie była wówczas w stanie podjąć.

Później brytyjski premier stał na stanowisku maksymalnego osłabienia Niemiec poprzez politykę przesunięć terytorialnych. Mimo takiego poglądu, kiedy przyszło do konkretów, szczególnie zaś w kwestii ustalenia przebiegu granicy polsko-niemieckiej, upierał się długo przy wersji przebiegu naszej granicy zachodniej wzdłuż Odry i Nysy Kłodzkiej.

Przykładów przewrotności Churchilla można znaleźć więcej. W liście „Do Armii Czerwonej i narodu rosyjskiego" z okazji Dnia Zwycięstwa pisał Churchill 9 maja 1945 roku:

„Pragniemy, żebyśmy po wszystkich ofiarach i cierpieniach w tej ponurej wojnie, przez którą przeszliśmy wspólnie, mogli obecnie, połączeni wierną przyjaźnią i wzajemnymi sympatiami, kroczyć dalej pod jasnym słońcem zwycięskiego świata".

Mimo to kierownictwo radzieckie wiedziało na przykład, że jeszcze na początku 1945 roku podczas ofensywy wojsk radzieckich w Niemczech tenże Churchill polecił marszałkowi polnemu Montgomery'emu, dowódcy wojsk brytyjskich i kanadyjskich na froncie:

„Należy starannie zbierać i magazynować niemiecką broń, żeby ją było łatwiej ponownie rozdać niemieckim żołnierzom, z którymi musielibyśmy współdziałać, gdyby radziecka ofensywa trwała nadal" (W. Niekrasow, „U źródeł bezpieczeństwa europejskiego").

Ogólnie można stwierdzić, iż w latach 1941—1945 było kilka planów, koncepcji losów Niemiec po wojnie. Sprowadzały się one do: idei rozczłonkowania Niemiec, przesunięć terytorialnych bądź wręcz — rozbioru Niemiec (np. projekt Th. N. Kanfmanna, według którego Polska miała przejąć terytorium aż po Łabę, reszta zaś miała być podzielona między Holandię, Belgię, Francję i Czechosłowację).

Stalin odnosił się bardzo sceptycznie do wszystkich tego rodzaju pomysłów twierdząc, iż *„nic nie powstrzyma niekontrolowanych Niemców przed ponownym dążeniem do zjednoczenia. Trzeba więc przede wszystkim — mówił — zapewnić skuteczne środki do zahamowania tych tendencji"*. W przemówieniu, wygłoszonym 9 maja 1945 roku do narodu radzieckiego Józef Stalin nawiązał m.in. do dyskutowanego jeszcze w Jałcie planu rozbioru Niemiec. Stwierdził wówczas, iż nie jest celem Związku Radzieckiego *„rozbicie jedności państwowej Niemiec ani też zniszczenie narodu niemieckiego"*, a jedynie stworzenie takich warunków w powojennej Europie, aby już nigdy niemiecki militaryzm nie mógł zagrozić innym narodom.

Decyzję w sprawie podziału Niemiec na strefy okupacyjne powzięła Europejska Komisja Doradcza (EKD) 12 września 1944 roku wraz z późniejszymi uzupełnieniami. Ostatecznie jednak o losach Niemiec miały zdecydować nie polityczne przetargi, ale przebieg decydujących operacji wojskowych, rozmiar klęski Trzeciej Rzeszy, udział w zwycięstwie partnerów Wielkiej Koalicji. Rząd ZSRR uważał decyzję o *„rozczłonkowaniu Niemiec"* nie jako wiążący plan działania, ale jako możliwość wywarcia nacisku na Niemcy w celu ich unieszkodliwienia, na wypadek gdyby inne środki okazały się niewystarczające. Los Niemiec determinowany był nie tylko wnioskami z dyskusji toczonych w ramach EKD, ale także naporem bieżących wydarzeń.

ZWYCIĘSTWO

W pierwszych dniach maja 1945 roku wojna wciąż trwała. Równocześnie dochodziło do podpisywania lokalnych aktów kapitulacji. Było to na rękę Dönitzowi, pełniącemu od 1 maja po południu funkcję głowy państwa. Celem jego politycznych zabiegów było poróżnienie Narodów Zjednoczonych. Twierdził jawnie i niedwuznacznie: *„Zmuszony jestem walczyć przeciwko Anglikom i Amerykanom o tyle, o ile przeszkadzają oni mojej walce z bolszewikami"*. Nie miał przy tym wątpliwości, co do tego, iż mocarstwa zachodnie odrzucą każdą ofertę separatystycznego pokoju, jeśli nie będzie ona obejmować jednocześnie wschodu. W metodzie rozwiązań częściowych, kapitulacji lokalnych, upatrywał Dönitz szansę poróżnienia Anglików i Amerykanów z Rosjanami. Był to więc plan kapitulacji *„na raty"*. Była to metoda, którą Dönitzowi pozwalałaby uwierzyć w wykluczenie konieczności zawarcia ogólnego układu w sprawie kapitulacji Trzeciej Rzeszy.

„Było dla nas zupełnie jasne — pisał potem Eisenhower — *że Niemcy grają na zwłokę, aby przeprowadzić za nasze linie możliwie jak największą liczbę żołnierzy niemieckich. Kazałem generałowi Smithowi, który prowadził rokowania z Niemcami poinformować Jodla, że jeżeli natychmiast nie zaprzestaną wszelkich wybiegów i nie przestaną opóźniać spraw, zamknę cały front aliancki i nie pozwolę, by uciekinierzy przekraczali nasze linie. Nie ścierpię już żadnej zwłoki".*

Stanowisko Anglików było bardziej elastyczne, a ton wypowiedzi mniej stanowczy.

Wojna wciąż jeszcze trwała. Od kilku tygodni Niemcy bronili się w przekształconym w twierdzę Wrocławiu. W przededniu kapitulacji wojska 6 armii radzieckiej były już tylko 1300 metrów od rynku. Dopiero 6 maja o godzinie 18 dowódca niemieckiego garnizonu poddał stolicę Dolnego Śląska wraz z czterdziestotysięczną załogą.

W tym samym dniu wybuchło powstanie w Pradze. Od 6 maja po południu do 8 maja trwało natarcie wojsk radzieckich na stolicę Czechosłowacji. Równocześnie 7 maja rozpoczęło się natarcie wojsk sojuszniczych (radzieckich, polskich, rumuńskich i czechosłowackich) na grupę armii „Środek", dowodzonej przez feldmarszałka Schörnera i część wojsk grupy armii „Ostmark", którą dowodził generał L. Rendulic. W godzinę po podpisaniu kapitulacji w Reims, Dönitz depeszował do obu tych hitlerowskich dowódców: *„Jak najprędzej wycofać z frontu wschodniego wszystko, co tylko można. W razie konieczności — przedrzeć się wśród walk przez linie radzieckie"*.

Plan Dönitza i zamiar grupy armii „Środek" nie powiodły się. 8 maja wojska radzieckie przy współudziale 2 armii WP wyzwoliły Drezno. W walkach prowadzonych w dniach 10—11 maja wojska radzieckie wzięły do niewoli główne siły niemieckiego zgrupowania. 11 maja armia radziecka zajęła linię: Chemnitz, Karlowe Wary, Pilzno, gdzie nastąpiło spotkanie z wojskami amerykańskimi.

Operacja berlińska i praska były ostatnimi działaniami militarnymi II wojny światowej w Europie.

Było decyzją sprawiedliwą i zgodną z logiką, iż na miejsce podpisania aktu bezwarunkowej kapitulacji Trzeciej Rzeszy wybrano Berlin. Właśnie tu militaryzm niemiecki powinien był uznać swą pełną klęskę, bankructwo wszystkich doktryn oraz załamanie się planów zdobycia panowania nad światem.

W południowo-wschodniej części Berlina, w dzielnicy Karlshorst, w gmachu szkoły saperów w dniu 8 maja 1945 roku odbyła się ceremonia podpisania aktu bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. O północy na salę udekorowaną flagami państwowymi ZSRR, USA, Wielkiej Brytanii i Francji, weszli przedstawiciele Naczelnego Dowództwa wojsk sojuszniczych, a następnie delegacja niemiecka na czele z szefem dowództwa Wehrmachtu W. Keitlem.

Wiadomość o kapitulacji została ogłoszona w Moskwie po ceremonii berlińskiej 9 maja 1945 roku o godzinie 2,00 czasu moskiewskiego. Tymczasem od dziesięciu już godzin w stolicach Europy Zachodniej tłumy świętowały dzień zwycięstwa. Było to konsekwencją nie tyle zwłoki radzieckiej, ile wcześniejszego fetowania sukcesu przez zachodnich aliantów, logika kapitulacji w Reims. W. T. Kowalski daje do tego faktu następujący komentarz:

„Takie były konsekwencje jednostronnych decyzji Anglii i Ameryki, takie były początki separatystycznej polityki mocarstw zachodnich w kwestii niemieckiej.

Zwycięstwo było wspólne, ale świętowano je oddzielnie".

Z „Wielkiej Trójki" żył wówczas Stalin i Churchill. Miejsce zmarłego 12 kwietnia Roosevelta, zajął na fotelu prezydenckim USA Harry Truman, który zrazu oświadczył ludziom ze swojego otoczenia: *„Rosjanie zostaną wkrótce postawieni na swoje miejsce i wówczas Stany Zjednoczone przejmą kierownictwo nad poruszaniem się świata drogą, którą odtąd powinien kroczyć".*

TRAGICZNE DOŚWIADCZENIA

Doświadczenia II wojny światowej, jej nauki, pozostają w świadomości narodów. Żałować jedynie można, że byli — już wówczas w Dzień Zwycięstwa — i są politycy, którzy tę wiedzę-przestrogę usiłują bagatelizować. Mimo to można sądzić, iż tym właśnie naukom narody Europy pod wieloma względami zawdzięczają swoją obecną możliwość zapobiegania wybuchowi nowego światowego konfliktu.

Żyjemy w powojennym świecie. Czterdzieści lat temu wygasły na naszym kontynencie ognie pożogi. Nad zniszczeniem i śmiercią wzięły górę pokój i nadzieja. Jednakże wkrótce potem od czasów Dullesa, Hellsteina i Adenauera tliła się groźba rozpalenia ponownie ognisk śmierci, powiewało raz po raz przez Europę swądem rewanżyzmu i niemieckiego militaryzmu. O tym także nie można zapomnieć.

Żyjemy w powojennym świecie, w Europie od czterdziestu lat w pokoju... Uczyńmy rzeczywistością te słowa Bertranda Russela: *„Powinniśmy uczynić nasz świat możliwie jak najlepszym, chociażby rezultat nie odpowiadał w pełni naszym życzeniom, marzeniom (...) Dobrze urządzony świat potrzebuje wiedzy, dobroci i odwagi".*

Dodajmy jedynie: ufajmy, że przyszłość, którą nasza cywilizacja może stworzyć, pozostawi daleko za sobą wszystko to, co złego narody Europy i świata doświadczyły w przeszłości.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Prokurator nie tylko oskarża

Rozmowa z dr JACKIEM RZĄDKOWSKIM, zastępcą Prokuratora Wojewódzkiego w Łodzi

— W społeczeństwie funkcjonuje utarta opinia, że praca prokuratury i prokuratorów polega na ściganiu, a przed sądem domaganiu się surowych wyroków dla oskarżonych. Czy nie jest to zawężanie waszych uprawnień i działań?

— Oczywiście. Gdybym wzorem sondy radiowej bądź telewizyjnej zapytał kilku przypadkowych przechodniów na ulicy czym zajmuje się prokurator, to przypuszczalnie część z nich wymieniłaby funkcję ścigania tzn., że prokurator prowadzi postępowanie przygotowawcze, ma prawo stosowania aresztu. Część osób może wymieniłaby funkcję oskarżycielską. Natomiast stosunkowo niewielka grupa potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, na czym polega bardzo istotna funkcja prokuratora zwana prokuratorską kontrolą przestrzegania prawa. Jest to zapis wynikający zarówno z Konstytucji jak i z Ustawy o Prokuraturze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Te między innymi przepisy prokuratorowi, jako właściwie jedynemu organowi w państwie, dają pewne określone uprawnienia służące mu do wykonywania funkcji tego właśnie strażnika praworządności.

— Na czym konkretnie ta funkcja polega?

— Przede wszystkim prokurator zgodnie z Ustawą o Prokuraturze ma prawo kontroli pod kątem zgodności z prawem praktycznie wszystkich działów gospodarki narodowej i administracji. Prokurator ma prawo dokonywania kontroli bądź też zwracania się do odpowiednich organów o przeprowadzenie kontroli tego czy innego działu. Prokurator ma prawo wnoszenia sprzeciwów od decyzji administracyjnych już prawomocnych, powtarzam już prawomocnych, kiedy obywatel nie może się odwoływać, bowiem został już wyczerpany tok instancji. Ale prokurator może wnieść sprzeciw domagając się uchylenia decyzji jeśli uzna, że jest ona niezgodna z prawem. Prokurator ma również prawo kierowania wystąpień do różnych organów, w których domaga się usunięcia stanu niezgodnego z prawem, o ile to oczywiście leży w granicach kompetencji organu, który podjął taką czy inną decyzję.

Prokuratura, trzeba to powiedzieć, w tym zakresie działa bardzo szerokim frontem. Podstawowe pytanie, jakie mi zazwyczaj zadają na spotkaniach słuchacze, brzmi: skąd prokuratura dowiaduje się o tym, że tu czy tam naruszono prawo?

Otóż jest kilka źródeł informacji. Podstawowe to takie, że zwracają się do nas obywatele sygnalizując konkretne, dotyczące ich osobiście sprawy, w których ich zdaniem zapadła decyzja lub rozstrzygnięcie niezgodne z prawem. Wówczas prokurator bada sprawę i zależnie od ustaleń podejmuje odpowiednie czynności prawne. Czasem taka indywidualna sprawa, pozornie mało istotna i nieważna, jest dla prokuratora sygnałem, że tego rodzaju uchybienie może mieć szerszy zasięg. Stąd też ten temat może stać się terenem kontroli prokuratorskiej, obejmującej pewną sferę życia publicznego w mieście, gminie czy województwie, a bywa, że Prokurator Generalny zleca badanie określonego zagadnienia w skali kraju.

My, w warunkach łódzkiej prokuratury, w ubiegłym roku dokonaliśmy 91 tego rodzaju kontroli problemowych w bardzo różnym zakresie. Powiem, że w wielu przypadkach oprócz sygnałów, jakie docierają do nas w pismach obywateli, mamy sygnały także z prasy. Przypomnę, że prowadziliśmy postępowanie na podstawie artykułów zawartych w „Odgłosach", jak na przykład sprawa lekarza z Leśmierza. Dalej: wsłuchujemy się w głosy na zebraniach, na spotkaniach z ludźmi.

— Czy mógłby Pan powiedzieć, czego dotyczyły te kontrole?

— Istotnym działem, będącym często obiektem krytyki społecznej i prasowej jest niepełne stosowanie ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałanie alkoholizmowi. Zwłaszcza podnosi się, że niektóre przepisy tej ustawy są jak dotąd martwą literą prawa bądź są one stosowane w ograniczonym zakresie. Chcieliśmy sprawdzić kwestię zasadności kierowanych wniosków o ukaranie do kolegiów do spraw wykroczeń oraz prawidłowość prowadzenia postępowania. Okazało się, że są liczne przypadki opóźnionego kierowania wniosków, nieprawidłowego ich formułowania. Dotyczyło to w głównej mierze wniosków sporządzanych przez zakłady pracy. Tych wniosków było stosunkowo niewiele. W niektórych przypadkach były one rzadkością, choć skądinąd wiadomo, że fakty picia alkoholu na terenach zakładów pracy nie są znowu tak rzadkie. To, co nas zaniepokoiło, to fakt, że podstawowa część wniosków o ukaranie pochodziła od organów MO, one wykrywały i one sygnalizowały to w formie wniosków do kolegiów do spraw wykroczeń. Minimalna zaś ilość wniosków pochodziła od zakładów pracy, które widocznie uważały, że nie należy kierować takich wniosków, bo a nuż się pracownik pogniewa lub obrazi, albo i odejdzie z pracy, a w sytuacji, kiedy są trudności z zatrudnieniem nawet pijany pracownik jest lepszy niżby go nie było wcale. Prokuratura nie może się z tym zgodzić. Pracownik, który pije alkohol w czasie pracy musi być za to odpowiednio ukarany. Tu nie może być żadnej pobłażliwości.

— Wypijając sto gram wódki żaden Polak nie jest pijany...

— Jeśli chodzi o ustawę o wychowaniu w trzeźwości, sam fakt picia alkoholu bez stwierdzenia stanu nietrzeźwości jest już traktowany jako wykroczenie. Inaczej: jeśli pan podniesie do ust w czasie pracy kieliszek wódki lub piwa i pan przełknie jeden łyczek — to mimo że do stanu nietrzeźwości jest jeszcze daleko — zostało spełnione jednak wymaganie przewidziane ustawą: spożywał pan alkohol w czasie pracy! I za to pan powinien stanąć przed kolegium do spraw wykroczeń. Natomiast osoba z kierownictwa odpowiedzialna za trzeźwość, która by to widziała, a nie nadałaby sprawie odpowiedniego biegu, będzie za to odpowiadała karnie przed sądem. I za to grozi tej osobie kara pozbawienia wolności do lat dwóch albo kara grzywny.

Mówię tu jedynie przykładowo, bowiem stan nietrzeźwości w niektórych zawodach grozi szczególnym niebezpieczeństwem, np. kierowcy, motorniczowie w tramwajach, maszyniści kolejowi, dróżnicy itp., w związku z czym podlegają oni surowszej odpowiedzialności karnej na mocy innych przepisów.

Po raz jeszcze: prokuratura bada, mając sygnały, że orzecznictwo kolegiów w tych sprawach nie zawsze jest dostatecznie rygorystyczne. Stwierdziliśmy, że niektóre orzeczenia są zbyt łagodne i wtedy prokurator wnosi sprzeciw, mimo iż orzeczenie jest prawomocne. Prokurator może domagać się wymierzenia jeszcze surowszej kary dla osoby, która określone wykroczenie popełniła.

Jest to oczywiście działanie w interesie społecznym, choć konkretny skazany obywatel będzie niezadowolony. Bo przecież na wniosek prokuratora jego kara może być skorygowana w górę, a często w przypadku uniewinnienia przez kolegium — może spowodować skazanie.

My, prokuratorzy, dotykamy się bardzo różnych dziedzin życia. Może zdziwi pana fakt, że na przykład prokuratorzy badali sprawy jakości!

— Rzeczywiście, co prokuratura ma do jakości, do produkcji jakichś bubli, do towarów złych gatunkowo?

— Obowiązująca ustawa o jakości przewiduje odpowiednie sankcje karne za dopuszczenie do obrotu przedmiotów złych jakościowo. Okazuje się, że takich spraw w Polsce praktycznie nie ma, chociaż wszyscy narzekamy, że jakość niektórych wyrobów jest fatalna. Przepisy przewidują odpowiedzialność dla osoby, która dopuszcza na rynek, wprowadza do obrotu przedmioty, które bądź są jakościowo złe, niezgodne z normami, bądź nie nadają się do celów, do których są produkowane.

W wyniku naszej kontroli okazało się, że w zasadzie takich spraw do sądów nikt nie kieruje, czyli mówiąc dokładniej, spraw takich nie ma.

— Natomiast w środkach masowego przekazu coraz to mamy przykłady brakoróbstwa. Producenci bubli tłumaczą się z reguły okolicznościami obiektywnymi i przyrzekają poprawę. I na tym sprawa się kończy. Czyżby prokurator był władny zmusić ludzi do rzetelniejszej pracy?

— Już wyjaśniam. Kodeks pracy przewiduje określone sankcje pracownicze za produkcję złej jakości. Jest generalna zasada: za produkcję złej jakości pracownik nie powinien otrzymać zapłaty. Okazuje się jednak, że te sankcje ekonomiczne są w niektórych zakładach bardzo łagodne, a pracownicy produkujący buble odczuwają to w sposób minimalny. Jest to niestosowanie prawa, na które przedsiębiorstwom kontrolowanym zwracaliśmy uwagę. Tak więc prokurator kieruje wystąpienie domagając się stosowania przepisów w oparciu o ustalenia organów kontroli jakości, które to wystąpienia wskazują, że dane przedsiębiorstwo ma tyle a tyle zwrotu towarów, z powodu złej jakości z handlu, a mimo to nikomu w tym przedsiębiorstwie włos z głowy nie spadł, nikt nie został ukarany. Nie mówiąc już o tym, że kierownik kontroli jakości, który dopuścił skierowanie produktu o złej jakości na rynek nie odpowiada za to karnie, bądź karnie administracyjnie, chociaż winien taką odpowiedzialność ponieść.

— Kiedy tak pana słucham, odnoszę wrażenie, że prokuratura swoją działalnością obejmuje wszystkie dziedziny życia.

— Właśnie tak. Wszystko, co jest prawem podlega kontroli prokuratora, a te usprawnienia w projekcie nowej ustawy zostały jeszcze bardziej rozszerzone niż było to dotąd. Czyli mówiąc inaczej: możemy kontrolować wszystkie działy gospodarki narodowej.

— A czy czasem nie interesowała się prokuratura działalnością wszelkiego rodzaju punktów usługowych, które mają szyld, ale nigdy nie są otwarte?

— Owszem, badaliśmy w szeregu dzielnic i gmin przestrzeganie prawa, jeśli chodzi o wydawanie zezwoleń na prowadzenie działalności handlowej, usługowej i rzemieślniczej. Prokuratura wniosła szereg sprzeciwów w tych sprawach, gdyż okazało się, że są przypadki wydawania zezwoleń na prowadzenie działalności rzemieślniczej, mimo zastrzeżeń straży pożarnej, która uważała, że w tym lokalu nie może być prowadzona taka działalność lub mimo sprzeciwu inspekcji sanitarnej. Nie był też w pełni przestrzegany obowiązek udokumentowania uprawnień do korzystania z lokalu, co jest warunkiem wydania zezwolenia.

— Czy może pan zilustrować to przykładami z Łodzi?

— Proszę bardzo. W jednej z dzielnic wydano zezwolenie rzemieślnikowi na naprawę i konserwację aparatów telefonicznych, mimo że ordynacja łączności przewiduje, iż uprawnienia do tego typu świadczeń mają jedynie urzędy telekomunikacji.

Albo: wydano zezwolenie rzemieślnikowi z Łodzi — wydał o ile dobrze pamiętam, Urząd Gminny w Zgierzu — na prowadzenie na terenie tejże gminy remontu i konserwacji dźwigów osobowych. Otóż rzecz polega na tym, iż na terenie gminy Zgierz nie ma ani jednego dźwigu osobowego! Aby było jeszcze śmieszniej — wydano to zezwolenie dla Jedlicza.

Albo: pewien obywatel naszego miasta otrzymał zezwolenie na solenie śledzi. Niby, że będzie śledzie przywozić z Wybrzeża, a solić w Łodzi. Za to będzie pobierać wyższe ceny. Okazało się, że śledzi sprzedał parę ton, a soli kupił zaledwie parę kilogramów. Bo on po prostu przywoził te śledzie z Wybrzeża już posolone!

Albo: wiadomo, że w Łodzi występuje deficyt siły roboczej w przemyśle lekkim. Natomiast urzędy dzielnicowe są zasypywane podaniami o zezwolenie na prowadzenie konfekcji i bieliźniarstwa. A przecież wiadomo, że nie ma ani tkanin, ani nici, a krawcowe są potrzebne w przemyśle.

To są tylko nieliczne przykłady niewłaściwej pracy urzędów.

— Wiem, że prokuratura zajmuje się ochroną zdrowia obywateli. Czyżby służba zdrowia nie mogła sobie z tym poradzić?

— Nie chcemy wyręczać służby zdrowia. Ale często w szeregu zakładów badamy zabezpieczenie trucizn. Chodzi zwłaszcza o cyjanek potasu używany do produkcji, zwłaszcza w procesach związanych z obróbką metali. Otóż, w jednym z zakładów rzemieślniczych stwierdziliśmy, że cyjanek potasu w beczce jest trzymany w pomieszczeniu, w którym pracownicy spożywali śniadania.

Inny przykład: parę lat temu były nagminne włamania do aptek, skąd zabierano narkotyki, które są przecież także truciznami. Był to w Łodzi poważny problem, gdyż wchodziły tu w grę także apteki szpitalne. W wyniku kilkuletnich kontroli i starań prokuratury, a przy tym zrozumienia całej sprawy przez Zarząd Aptek, wprowadzono rygory sprzedawania i zabezpieczania tych leków w sposób specjalny. Dziś praktycznie nie ma włamań do aptek.

— Jakimi jeszcze innymi dziedzinami zajmujecie się?

— Podstawowe nasze tworzywo, które badamy w ramach przestrzegania prawa to są sprawy lokalowe. Do prokuratury wpływa wiele pism dotyczących różnego rodzaju uchybień w stosowaniu uprawa lokalowego. Najwięcej jest skarg na pustostany. Ludzie nie zrozumieli bowiem intencji Prezydenta Miasta Łodzi, który wszem i wobec zakomunikował, że lokale niezamieszkane będą zasiedlane. Ale chodziło tu o osoby uprawnione do zasiedlenia, a nie o osoby, które takie pustostany odkryją. W tych ostatnich przypadkach zapadały decyzje odmowne, co wywoływało protesty i skargi.

Są jednak sprawy, które załatwiamy pozytywnie, uważając, iż pewne rozstrzygnięcia są co najmniej wątpliwe. Poddajemy więc je pod rozwagę administracji, aby przydział lokalu rozważono ponownie. My, jako prokuratura, nie możemy wkraczać w sprawy uznaniowe. Bowiem każdy organ lokalowy, czy każdy urząd administracyjny, ma pewne granice uznaniowe: może dać mieszkanie obywatelowi A lub obywatelowi B. To nie jest sprawa prokuratorska. My możemy badać te przypadki, w których występuje niezgodność z prawem.

W tym roku bierzemy „na warsztat" sprawę tzw. szybkiego otrzymania mieszkania. Polega to na tym, że ktoś mieszkał z osobą, która zmarła w jednym mieszkaniu, i teraz pragnie to mieszkanie zatrzymać dla siebie. Chodzi tu o stosunek najmu po osobie zmarłej. Oczywiście, że osoba, która zamieszkiwała ze zmarłą może wystąpić o przyznanie jej lokalu, jeżeli jest bliską krewną zmarłej i zamieszkiwała z nią przed śmiercią. Otóż wśród tego rodzaju spraw są takie, gdzie osoby wskutek fałszywych zeznań świadków otrzymują mieszkania po zmarłych, choć nie mają do tego prawa. W takich sprawach, jeśli uznamy, że sądowi przedstawiono fałszywe dowody, na podstawie których zapadł wyrok prawomocny, będziemy występować do Prokuratora Generalnego o nadzwyczajną rewizję.

— Jakich jeszcze praw i uprawnień obywatela chroni prokuratura?

— Do prokuratury może zgłosić się każdy obywatel ze swoją sprawą i uzyskać albo poradę prawną bezpłatną, albo informację. Muszę powiedzieć, że osobiście mam częste kontakty z obywatelami i przez lata zdobyłem w tym zakresie spore doświadczenie. Otóż w mojej ocenie świadomość prawna społeczeństwa jest dość niska. Ludzie zgłaszają się ze sprawami, które mają zaszłości sięgające nieraz kilkunastu lat, a które to sprawy zostały tak zagmatwane, że dzisiaj bardzo trudno jest je rozwikłać. Ludzie mają różne problemy, a prawo administracyjne jest bardzo złożone. Są pewne terminy, wymagania i warunki, których niespełnienie powoduje określoną krzywdę dla obywatela. Stąd też czasami, o ile taka potrzeba istnieje, trzeba zapytać się prokuratora, jak postąpić w tej czy innej sprawie. Sam spotykam się z wieloma ludźmi, którym kiedyś nie wytłumaczono, jak mają postąpić, a dziś ja, jako prokurator, już nie mogę im pomóc, gdyż doszło do tak nieodwracalnych zmian, że niczego nie można już zmienić.

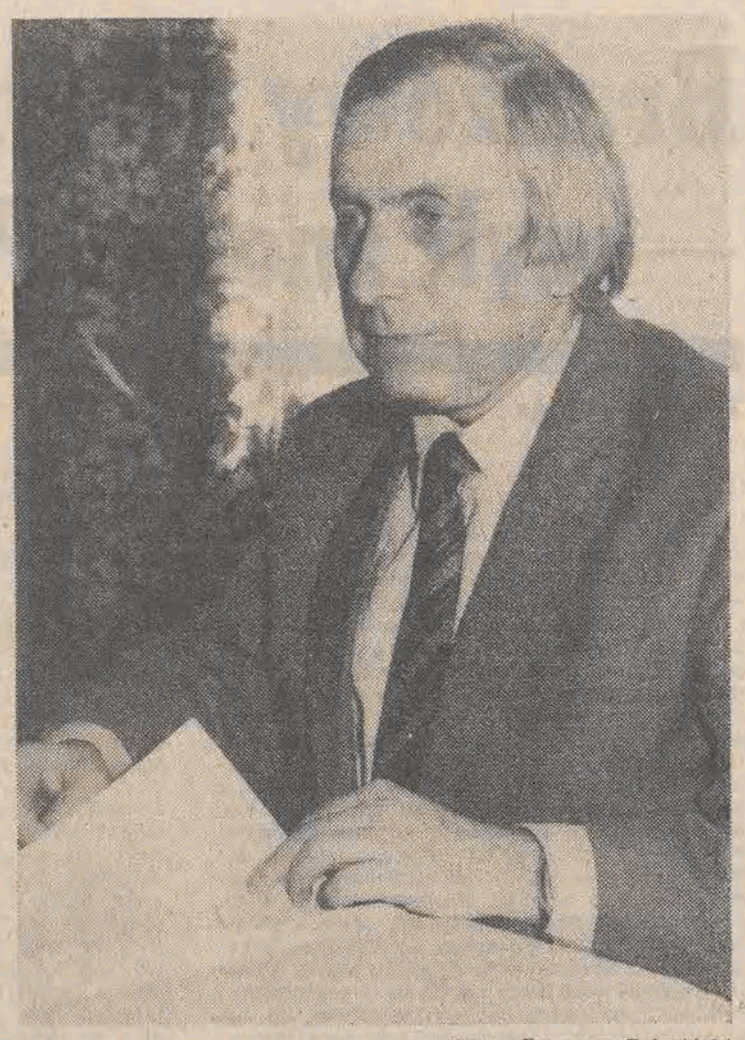

Foto: Grzegorz Galasiński

— Człowiek dochodząc swoich praw idzie do adwokata, a nie do prokuratury...

— To prawda. Ale nie wszyscy adwokaci specjalizują się w prawie administracyjnym. Oni są specami w prawie karnym lub cywilnym, rodzinnym. Mogę powiedzieć, że niewielu adwokatów specjalizuje się w dziedzinie prawa podatkowego. Natomiast nasi prokuratorzy jakże często bronią spraw obywateli przed Naczelnym Sądem Administracyjnym, który rozpatruje odwołania od decyzji, jakie zapadły w naszym województwie. Braliśmy udział w ponad stu takich sprawach i muszę stwierdzić, iż w pewnej części te orzeczenia były uchylane, przekazywane do ponownego rozpatrzenia.

W roku ubiegłym prokuratura sporządziła w trybie kontroli przestrzegania prawa, ponad 250 wystąpień, kierując je do różnych organów i instytucji. Sygnalizowaliśmy im o naruszeniu prawa. W 96 proc. spotkaliśmy się ze zrozumieniem adresatów. Ale prokuratura nie poprzestaje na tym i w pewnej części instytucji i zakładów zarządzamy rekontrole.

Mówimy ciągle o prawie administracyjnym, a przecież bierzemy udział także w postępowaniu cywilnym przed sądem. Są bowiem sytuacje, w których prokurator jest jedynym organem, który może obywatelowi pomóc. Chodzi mi tu o sprawy o zaprzeczenie ojcostwa. Zdarza się, że w czasie trwania związku małżeńskiego, często formalnego, kobieta urodzi dziecko, którego ojcem biologicznym jest inny mężczyzna niż mąż matki tego dziecka. Czasem jest to wtedy, gdy strony mieszkają osobno, czasem mąż przebywa w zakładzie karnym, wyjechał za granicę itp. A tu rodzi się dziecko. Przepisy Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego mówią, że matka lub ojciec dziecka może wystąpić do sądu o zaprzeczenie ojcostwa w ciągu sześciu miesięcy od dnia urodzenia się dziecka, bądź od dnia dowiedzenia się, że dziecko się urodziło. Po upływie owych sześciu miesięcy, jedynym organem, który może wnieść do sądu pozew o zaprzeczenie ojcostwa jest prokurator. Osoba ubiegająca się o zaprzeczenie ojcostwa musi wykazać tzw. oczywiste niepodobieństwo pochodzenia dziecka od danego ojca, czasem od danej matki. Do tego celu służą badania grupowe krwi, które w niektórych przypadkach wykluczają ojcostwo. Dalej idą zeznania świadków, itp.

Prokurator bierze także udział z urzędu w sprawach o ubezwłasnowolnienie. To bardzo ważny dział spraw i jest ich sporo. Dotyczą z reguły osób w podeszłym wieku i osób chorych psychicznie.

Mamy także swój udział w sprawach o unieważnienie małżeństwa. Przecież po paru latach może się nagle okazać, iż w trakcie zawierania małżeństwa jedna ze stron była chora psychicznie.

Ponadto prokuratorzy uczestniczą w sprawach o uznanie za ważny na terenie kraju wyrok sądu zagranicznego. Otóż, by wyrok sądu zagranicznego decydujący o rozwodzie miał moc obowiązującą w Polsce, musi być uznany przez sąd polski. I żeby nikomu nie stała się krzywda, prokuratorzy uczestniczą w postępowaniu prowadzącym do tego, czy taki wyrok uznać czy go nie uznać.

Wielkim działem w pracy prokuratury jest ochrona gospodarki uspołecznionej i domaganie się by szkody wyrządzone przestępstwem były wyrównane.

— Nie bardzo rozumiem: bronicie zakładów pracy przed nieuczciwością pracowników tam zatrudnionych, czy tak?

— Otóż to. Np. osoba w stanie nietrzeźwości odniosła obrażenia. A więc choruje i pobiera zasiłek z ZUS. W takich przypadkach domagamy się, by taka osoba zwróciła pobrany nieprawnie zasiłek, bo z jakiej racji skarb państwa ma ponosić konsekwencje finansowe czyjegoś pijaństwa. Albo powiedzmy, ktoś zostanie pobity, to my przeciwko sprawcy tego czynu wytaczamy powództwo, by sprawca zapłacił równowartość zasiłku chorobowego jaki ZUS wypłacił owemu pobitemu.

Mamy też sporo spraw o zwrot tzw. niegodziwego zysku, czyli nienależnego świadczenia.

— Co to jest owo nienależne świadczenie? Takie sformułowanie nic mi nie mówi.

— Już wyjaśniam. Jest melina, gdzie sprzedaje się wódkę. Pół litra kosztuje 550 zł, tu bierze się za nie od 800 do 1.000 zł. Osoby przychodzące do meliny mają świadomość, że kupują wódkę z nielegalnego źródła. Osoba sprzedająca wie, że tego nie wolno robić. Jeśli taki wypadek zostanie ujawniony, to niezależnie od kary, my domagamy się zwrotu niegodziwego świadczenia w postaci równowartości tejże wódki. Domagamy się nie tylko różnicy pomiędzy ceną detaliczną a ceną spekulacyjną ale i owych 550 zł za pół litra.

To samo dotyczy osób handlujących dewizami, paserów nabywających mienie pochodzące z kradzieży, łapówkarzy itp. Z tego tytułu, w wyniku powództw prokuratorów, sądy zasądziły w roku 1984 kwotę ponad 7 milionów złotych, a nadto na żądanie prokuratora wpłacono dobrowolnie dalsze 500 tys. złotych.

Nie sposób wymienić tu wszystkich działań prokuratora, bowiem są one wielostronne i bardzo szerokie. Na to byłoby potrzeba kilku artykułów w „Odgłosach".

— Wobec tego dziękuję a w przyszłości ponownie porozmawiamy na temat ochrony obywatela i kontroli przestrzegania prawa.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Branżowy festyn — czyli znowu Poznań

ROMAN KUBIAK

Zapachniało wiosną, słoneczko przygrzało solidnie, ruszył wycieczkowy sezon. Na pierwszy ogień poszła stolica Wielkopolski, bo tam wiadomo Targi Poznańskie — spotkania na międzynarodowym szczeblu. Po zimowym bezruchu zatankowały fabryczne autokary, szefowie podpisali delegacje i w drogę. Jedźcie Kowalski do tego Poznania, oglądnijcie co tam nowego u Japońców, u Niemców, obliczcie ile lat jesteśmy za Murzynami. Połaźcie sobie, dotknijcie tego i owego, żebyście potem nie gadali, żeśmy są w epoce łupanego kamienia i nijak z niej sami nie wyleziemy. Zapamiętajcie Kowalski do czego są które guziczki w maszynach, bo jak za parę lat przyślą nam, nie daj Boże, takie ustrojstwo, to ktoś powinien wiedzieć jak toto włączyć. Przywieźcie parę kolorowych książeczek z obrazkami — znaczy się prospektów, to je położymy w bibliotece i będziemy na bieżąco w technicznej myśli. Tylko pamiętajcie Kowalski: żadnych pertraktacji, żadnych zamówień, bo wiecie dobrze, że nie mamy funduszy, a za złotówki to nam kapitaliści nie sprzedadzą. Aha, jakby tam w celach reklamowych, bezpłatnie ma się rozumieć, dawali jakiś wałek albo uszczelkę, to bierzcie ile się da! No, wracajcie zdrowi.

Jedzie Kowalski na delegację, wbija się w odświętny garnitur, bordowy krawat i ciut przyciasne buty, rychtuje obowiązkowy neseser z tektury (koniecznie czarny), żegna się z połowicą i dziateczkami, którym obiecuje przywieźć kolorowy znaczek na szpilce i foliową torbę z kaczorem Donaldem. Kanapek na drogę zabiera sporo, puszki rybne, turystyczny niezbędnik i grzałkę, bo dieta służbowa cieniutka, a przecież nie zawsze trafi się na bar mleczny. Hotele dla krajowców luksusem nie grzeszą, przeto ręcznik zabrać trzeba, a i mydło własne rzecz przydatna. Dobry pryncypał wydeleguje zakładowy samochód, wtedy człek ubranka nie wygniecie i po pańsku zamelduje się w międzynarodowym towarzystwie. A jeśli nie, to trzeba tłuc się koleją, stojąc na jednej nodze w korytarzu dwójki.

W Poznaniu od razu widać, że targi wchodzą w sezon, bo co drugi tubylec paraduje z kolorową reklamówką firmy akuratnie zgłoszonej w wystawowym katalogu. Ludność obcą, czyli tzw. targowych gości niedewizowych, zidentyfikować łatwo (nie tylko po delegacyjnych ubrankach), albowiem poruszają się szybciej, tak żeby obskoczyć i targi, i uspołecznione placówki handlowe, w których można zdobyć całkiem niezłe buty, zagraniczne czekolady bez kartek, krem Nivea oraz doskonałe piwo Lech.

Trzon publiki stanowią postacie o obliczach dozgonnych referentów, ale nie tylko. Frekwencję robi także młodzież szkół technicznych zapędzona tu w celach dydaktycznych. Ci drudzy posłusznie wchodzą na tereny wystawowe, lecz urwawszy się spod belfrowskiej opieki, czmychają w miasto, bo to co każą im oglądać, do tego o czym ich uczą, ma się mniej więcej tak jak Discovery do dorożki. Spielberga to oni wolą podziwiać w kinie, tam przynajmniej wiadomo, że cały ten kolorowy bajer to bujda na resorach. Science fiction — po prostu.

Za to przez wysokie płoty przełażą wagarujące smyki, żeby załapać się na lśniące prospekty, nalepki, a jak dopisze szczęście, nawet na puszkę po duńskim piwie, o zgrozo, wyrzuconą na śmietnik. Pięć dych za bilet wstępu stanowczo nie przystaje do ich kieszeni, więc kombinują inaczej. Sędziwi portierzy nie są dobrymi partnerami do sprintów...

Pięć metrów za bramą, tam gdzie zaczyna się teren MTP, czeka nie lada atrakcja: kiosk pełen rarytasów, które drogą kupna można nabyć w każdej ilości za walutę krajową. Są oryginalne szampony, papierosy Caro, baterie płaskie oraz uwaga! dwa rodzaje pasty do zębów znanej już tylko z archiwalnych kronik. Teraz wiadomo na pewno, że jest się na prestiżowej imprezie.

23 kwietnia 1985 roku otwarto w Poznaniu dwie ekspozycje: „Poligrafia" — Międzynarodową Ekspozycję Maszyn Poligraficznych i „Taropak" — Międzynarodowy Salon Techniki Pakowania i Magazynowania. Obie wystawy organizowane są co dwa lata i była to siódma ich edycja. Patronat nad „Poligrafią" sprawował minister kultury i sztuki, ponieważ rządowy program unowocześniania bazy technicznej polskiej poligrafii, pracującej niemal w stu procentach na importowanych urządzeniach drukarskich i papierniczych, przewiduje wzrost wymiany międzynarodowej.

Jako gospodarze imprezy daliśmy przykład oszczędzania, drukując skromniutki katalog — na nie najlepszym papierze zresztą. Podejmowali'y gości z branży obciążeni kryzysowym balastem ledwie trzydziestu kilogramów papieru rocznie na tzw. statystyczną głowę oraz mniej niż dziesięcioma książkami na tąż. Taktowne milczenie spowiło temat papieru gazetowego, ostatnich cięć w jego przydziałach i rozsypujących się maszyn papierniczych. Za to nasi goście bynajmniej nie żałowali sobie: dzień w dzień, wyłącznie w celach pokazowych, przepuszczali przez eksponowane maszyny wcale niemałe pakiety przywiezionego z domu papieru. A wszystko sprowadzało się do efektu w postaci plakatu z pieskiem, ściennego kalendarza czy sloganu reklamowego w siedmiu kolorach. Doszło nawet do tego, że Szwajcarzy uruchomili sprytne urządzenie do... niszczenia papieru, tnące arkusze na drobniutkie spaghetti. Zgroza!

Stoiska wystawców zachodnich były raczej miniaturowe i ograniczały się do prezentacji drobnych urządzeń peryferyjnych oraz małej poligrafii. Japończycy poszli jeszcze dalej, bowiem znana firma Fuji pofatygowała się wywiesić do wglądu tylko kilka opakowań materiałów światłoczułych. W nieoficjalnych rozmowach handlowcy stwierdzali, że aby nie wypaść z rynku trzeba meldować się na każdych targach, lecz aktualna ich oferta koresponduje ze skromną zawartością naszych portfeli. Czyli krótko mówiąc, biznes dobrze wie, że dewizami jeszcze nie pachniemy.

Dominowały zatem maszyny, sprzęt oraz materiały do składu drukarskiego i kopiowania, a także urządzenia przygotowujące matryce do typografii, druku offsetowego i sitodruku. Większe maszyny drukarskie, krajarki i urządzenia introligatorskie pokazali Czesi i Niemcy z NRD. Kilka firm uruchomiło maleńkie aparaty do tłoczenia i wykrawania samoprzylepnych etykiet. Aparat zachodnioniemieckiej firmy Baier „wypluwał" tysiące nalepek, na których obrazek przedstawia pięciu facetów tarzających się ze śmiechu wokół telefonicznej słuchawki. Polskojęzyczny komentarz wyjaśnia: „Hej! ktoś pyta o termin dostawy". Jak nas widzą, tak nas piszą...

W towarzystwie mikroelektroniki i techniki laserowej rozlokowali się nasi producenci z branży poligraficznej. Tu wszystkich chyba zauroczyły „przeciwpancerne" stalowe regały zecerskie i toporne pulpity.

Trochę na uboczu, choć w tym samym dziewiątym pawilonie MTP, otwarto Międzynarodowy Salon Techniki Pakowania i Magazynowania. Był to pokaz praktyczny jak trwale i estetycznie zarazem pakować niemal wszystko: od cukierków po ogromne skrzynie. Co z tego, skoro urządzeniami interesowali się prawie wyłącznie zaciekawieni widzowie. Przedstawiciel pewnej renomowanej firmy skomentował to następująco: „Wy nie martwicie się jak opakować, żeby dobrze sprzedać. Wy ciągle martwicie się o to, żeby zapełnić półki towarem — nawet bez opakowań. Jak dotąd nikt nie zainteresował się współpracą z nami. Chyba wyjedziemy stąd bez kontraktów".

Delegowanych Kowalskich nie ma prawa nic zaskoczyć, nic olśnić, albowiem są oni specjalistami z branży, którym wszelkie nowinki techniczne nie obce. Zresztą o czym tu gadać z wyelegantowanymi Austriakami i Niemcami, skoro tamci potrafią tylko zachwalać swoje towary, nachalnie przeskakując do tematu forsa — wymienialna niestety. Tłumaczek też jak na lekarstwo, a na migi trochę nie pasuje. Natomiast znajomków z branży spotyka się co parę kroków — tych ze szkoły lub z poprzedniej pracy. Przy herbatce i piwku w targowym barze można powspominać stare dobre czasy. Tłoczno tu i gwarno, czego nie da się powiedzieć o ekspozycyjnej hali, gdzie znudzeni kierownicy stoisk od czasu do czasu rzucają pod drzwi kantorków jakieś reklamowe bibeloty, z dumą obserwując jak widzowie rozchwytują ów firmowy podarek. U nich nie do pomyślenia...

Ambitni drukarze ze stolicy usiłują przekonać tęgiego Niemca o dwustronnej korzyści płynącej z dokładnego przetestowania jego wyrobów w naszym zakładzie, na co tamten pyta: za ile? Za darmo — w celach prestiżowych, ma się rozumieć! Biznesmen znacząco uśmiecha się, ale skąpiradło z niego okropne, bo nie chce podarować nawet głupiego wałka z gumy.

Prywatna inicjatywa już wkręciła się do kantorka wytwórcy aparatów drukujących nalepki. Strony porozumiewają się w oparciu o liczby wypisywane na kartce papieru. Stanęło na dwunastu tysiącach marek.

Poznańska telewizja drażni swych widzów kręcąc reportaż z pracy agregatu pakującego apetyczne słodkości.

Wokół koparek zebrał się tłumek panów w granatowych garniturach. Producent zezwala uruchomić maszynę, więc każdy chce wykonać odbitkę jakiegoś ważnego dokumentu. Niestety kartek na mięso nie udaje się powielić. Banknotów również...

Czy nasze lecznictwo da się zreformować?

Żeby było z sercem i skutecznie

Bardzo popularne są dowcipy zaczynające się od słów: — Przychodzi baba do lekarza... Nikt nie opowiada jakoś dowcipów o tym, jak to lekarz przyszedł do baby. Lekarze bowiem na ogół bardzo niechętnie chodzą zarówno do baby, jak i do chłopa. W śródmieściu Łodzi 13 procent ankietowanych osób wyznało, że odmówiono im domowej wizyty, 21,4 procent — że nie dostali się do lekarza, bo lekarz miał już komplet pacjentów. Ankietowani powszechnie narzekali, że stwierdzają u przyjmujących ich lekarzy brak serdeczności, sumienności i doświadczenia. Chorzy ludzie chcą bowiem, żeby lekarz przyjmował ich z sercem, i żeby leczenie było skuteczne.

1.

Czy dane zebrane w śródmieściu Łodzi mogą być reprezentatywne dla całej Łodzi? Bez wątpienia tak. Śródmieście jest wprawdzie najmniejszą dzielnicą Łodzi, ale za to najgęściej zaludnioną. Jest tutaj przeszło 15 tysięcy mieszkańców na kilometr kwadratowy. W śródmieściu znajduje się 78 placówek służby zdrowia, w tym 2 szpitale, 5 przychodni rejonowych, 3 specjalistyczne, 3 przychodnie międzyzakładowe i 4 duże przychodnie zakładowe. Są tu też spółdzielnie lekarskie. W śródmieściu jest dużo urzędów, przedsiębiorstw i placówek kulturalnych. Jest to też dzielnica ludzi starszych. Według danych z 1983 roku był tu najniższy przyrost naturalny liczony na tysiąc mieszkańców, który wynosił 0,4 i najwyższa liczba zgonów — 16,8. Oblicza się, że przeszło 20 procent mieszkańców śródmieścia jest już w wieku poprodukcyjnym.

2.

Ankietę, o której tu mowa, przeprowadziła Dzielnicowa Rada PRON. Wzbogacono ją też wnioskami z dyskusji toczonych w czasie kampanii wyborczej do rad narodowych. Nie miały one może naukowego charakteru, takiego jak mają ankiety przeprowadzane przez zawodowych socjologów, ale jest rzeczą niewątpliwą, że wypowiadający się przedstawili taki obraz pracy służby zdrowia, jaki wynika z ich doświadczeń, z bezpośrednich kontaktów z lekarzami.

W ankiecie wzięło udział przeszło tysiąc osób. Reprezentowali oni różne środowiska i zawody. Przeprowadzono ją pod koniec 1984 roku i na początku 1985 roku. Jej wyniki są więc — można powiedzieć — najbardziej aktualne.

3.

Jak mieszkańcy śródmieścia Łodzi widzą pracę służby zdrowia?

Najostrzej oceniają podstawową opiekę lekarską. Uważają, że w tej dziedzinie służby zdrowia brakuje dobrze przygotowanych lekarzy. W razie choroby lekarza nie ma go kto zastąpić. Lekarze są przeciążeni pracą. Niepunktualni, trudno dostępni. Nie interesują się swoją pracą. Wypełniają tylko obowiązki. Na wizytę do specjalisty trzeba niekiedy czekać kilka, czasami kilkanaście dni. Wszystko to powoduje, że leczenie zamiast przynosić choremu spodziewaną ulgę, staje się dodatkową uciążliwością.

Jak temu zaradzić?

Biorący udział w ankiecie postulowali, aby wprowadzić wolny wybór lekarza. Było już w Łodzi coś takiego. Nazwano to eksperymentem. Eksperyment ten dał nawet dobre wyniki. I na tym się skończyło. Teraz tłumaczy się nam, że nie ma pieniędzy na wprowadzenie tego eksperymentu na trwałe w życie. To po co robić takie eksperymenty?

W różnych krajach jest „lekarz domowy". Czy może być u nas? Może. Więc znów robimy eksperyment. Dano kiedyś w Łodzi kilku lekarzom mieszkania, aby pełnili funkcję „lekarza domowego". W gazetach o tym pisano. I co? I nic. Skończyło się jak z każdym eksperymentem. Najpierw dużo szumu, poźniej kompletna cisza. Ponoć lekarze ci wzięli mieszkania i przestali interesować się swoimi obowiązkami „domowych lekarzy".

Jeśli ktoś się nie wywiązuje z umowy, to musi ponieść określone tego konsekwencje. Ale u nas nawet dozorców, przepraszam, gospodarzy domów, nie można wykwaterować, gdy rzucą swoje zaszczytne obowiązki. To też pewnie eksperyment.

4.

Uczestniczyłam niedawno w posiedzeniu zespołu problemowego do spraw reformy służby zdrowia. W czasie długiej dyskusji padła propozycja, aby radykalnie zreformować podstawową opiekę lekarską. Nic nowego pod słońcem. W naszych dyskusjach redakcyjnych w których występowali lekarze, również padły takie propozycje. Chodzi o to, aby podstawowa opieka lekarska dysponowała najlepiej przygotowanymi kadrami, wyposażeniem i płacami. Żeby lekarzowi opłacało się okazywać choremu serce i leczyć skutecznie. Chory pragnie tego, aby lekarz chciał poświęcić jemu i tylko jemu jak najwięcej swego czasu, aby okazał mu zainteresowanie, aby był dla niego miły i wyrozumiały. Dla chorego jego zdrowie jest sprawą najważniejszą i nie ma sprawy od tego ważniejszej. Ale...

W tym miejscu posłużę się słowami Antoniego Kępińskiego:

„Lekarz uwolniwszy się od płatnej służby u chorego, staje się z kolei płatnym sługą społeczeństwa, ściślej mówiąc, jego politycznej organizacji, tj. państwa. Grozi mu niebezpieczeństwo zamienienia się w urzędnika, pociągające za sobą traktowanie chorego w sposób biurokratyczny, tak jak traktuje się „stronę" w urzędzie. Sam, czując się kółkiem w wielkiej machinie społecznej, może też uważać swego chorego za takie „kółko", zarówno więc „unaukowienie" medycyny, jak i jej uspołecznienie noszą w sobie groźne możliwości odhumanizowania stosunku lekarza do chorego."

5.

Pogotowie ratunkowe — powiadają ankietowani mieszkańcy śródmieścia Łodzi — pracuje mało sprawnie. Zbyt długo czeka się na karetkę. Nie ma właściwego sprzętu. Lekarze są przypadkowi, bo im akurat taki wypadł dyżur. Nie bardzo wiedzą jak sobie poradzić z chorym. Z drugiej strony — niektórzy chorzy zamiast długo czekać w kolejce na wizytę wolą wzywać pogotowie. Czy tak musi być?

Proponuje się więc, aby lekarze wizyty domowe w pobliżu miejsca zamieszkania mieli wyłączone z etatu i byli opłacani od ilości takich wizyt. Lekarz po godzinach pracy mógłby na telefoniczne wezwanie odwiedzać chorych — często sąsiadów. Taki system udzielania porad nie absorbuje pogotowia ratunkowego, nie wymaga wyjazdu karetki pogotowia, opłacania kierowcy i pielęgniarzy oraz zużycia benzyny. Nawet gdyby lekarz otrzymał za taką wizytę 500 zł, co nie jest znów taką wysoką sumą, to i tak byłoby to taniej niż koszt wyjazdu karetki pogotowia do chorego, który nie uległ wypadkowi, a tylko źle się czuje.

Na posiedzeniu, o którym wspomniałam, zaproponowano, że taki system będzie wprowadzony w Łodzi... na zasadzie eksperymentu.

A tymczasem...

6.

We Wrocławiu wymyślono już lekarzówki. Co to jest lekarzówka? Jest to lokal dla lekarza z przylegającym doń gabinetem lekarskim. Zaczęło się to w Kozanowie. Najpierw było tam 100 tysięcy mieszkańców, teraz jest 200 tysięcy. W Kozanowie jest 15 lekarzówek, w tym 5 gabinetów pediatrycznych, 4 internistyczne, 2 stomatologiczne, po jednym laryngologicznym, okulistycznym i ginekologicznym oraz laboratorium diagnostyczne. Każdy lekarz ma pod swoją opieką 3 tysiące osób. Na wizytę domową wzywa się go telefonicznie. Roku czasu potrzeba na poznanie ludzi znajdujących się pod opieką lekarską. Później już idzie jak z płatka. Tworzy się wzajemne zaufanie, nawet sympatia. Lekarz jest na miejscu i — co jest najważniejsze — ma czas dla chorego.

W ślady Wrocławia idzie Lublin.

Dlaczego coś, co funkcjonuje we Wrocławiu, w Łodzi ma być dopiero eksperymentem? Czyż nie można pojechać do Wrocławia i zbadać rzecz na miejscu? Czy każde z 49 województw musi wszystko odkrywać od nowa? W Łodzi robiono różne eksperymenty i nic jakoś z tego nie wyszło. Czy zapowiedziany eksperyment z lekarzem-sąsiadem spotka los poprzednich? Jeśli miałoby tak być, to nie ma po co zaczynać.

7.

Ja też mam swoje życzenia i uwagi. Niech nawet będzie, że jestem babą i przychodzę do lekarza. Wprawdzie złośliwi koledzy życzliwie mnie przestrzegają, żebym do lekarzy nie chodziła, bo każdy z nich u mnie coś znajdzie, ale taki jest już ich zawód. Ale każdy z nas może zachorować, czego ani sobie, ani innym nie życzę. I musi wtedy pójść do lekarza. A oni twierdzą, że im wcześniej człowiek zdecyduje się na taką wizytę, tym większe ma szanse na wyleczenie. I niewątpliwie mają rację.

Kiedy jednak już pójdę do tego lekarza, to chciałabym aby było z sercem i skutecznie. Nie chciałabym natomiast być dzielona na części jak maszyna. Doktor A jest od tego, doktor B od tamtego, doktor C od innego. Najpierw długa statystyka. — Gdzie pani pracuje i jaki to numer? — Potem numer choroby, numer w kolejce, numer w statystyce. Numer recepty, numer lekarstwa, numer...

Chcę być traktowana jak człowiek, chory człowiek, któremu należy się uwaga i pomoc. Żeby było z sercem i skutecznie! Żeby każdy chory czuł się u lekarza jako ten najważniejszy, którego choroba znajduje się w centrum medycyny polskiej. Wszystko dla mnie, bo jestem chora! Niech mi nie mówią, że tego nie ma, tamtego nie ma, owo jest niemożliwe. Co mnie to obchodzi, gdy idzie o moje zdrowie i życie? Wiem, że nie ma, wiem, że nasza medycyna nie należy do przodujących na świecie. Ale, czy muszą mi to wszyscy powtarzać? Czy obowiązkiem lekarza nie jest zrobić tego wszystkiego, co tylko leży w jego mocy? I przekonywać mnie, że to robi nieustannie?

I gdy zachoruję — nie życzę sobie żadnych eksperymentów. Bo na kim w końcu dokonuje się tych eksperymentów? Na medycynie? Nie, na nas, na chorych ludziach...

Dlatego głęboko wierzę, że nasze lecznictwo da się zreformować! Musi się dać. Żeby było skutecznie i z sercem.

BOGDA MADEJ

ze str. 1

„M" dla córeczki...

liny. Następnie 24 lutego 1983 wniosła podanie do Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej o przyspieszenie uzasadniając, że z maleńką córką zamieszkuje u rodziców, a mąż gdzie indziej i nie mają absolutnie żadnych możliwości wspólnego życia. W podaniu tym nie wspomniała o warunkach mieszkaniowych rodziców... A były one naprawdę „tragiczne" — co zresztą wynika z cytowanej na wstępie notatki służbowej.

„Rodzice plus wymieniona z dzieckiem zajmowali lokal spółdzielczy, czteroizbowy. Mąż Jolanty L., Sławomir z matką zamieszkiwali (także w tym samym bloku, tyle że w innej klatce) w lokalu typu „M-3".

28 marca 1983 roku Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa przesłała do Zarządu SM „Zarzew" dokumenty Jolanty L. celem przyjęcia jej w poczet członków. Co za tempo?!!! Równocześnie sugerowano możliwość przydziału mieszkania z odzysku. Na piśmie tym znajduje się adnotacja Społecznej Komisji Mieszkaniowej w składzie pięć osób — podpisy nieczytelne, która wnioskuje pozytywne załatwienie sprawy... Młoda matka zaskarbiła sobie widać szczególną przychylność. Cóż było powodem takiego wyróżnienia, skoro powszechnie wiadomo, iż ta sama instytucja jeszcze w roku 1984 do poszczególnych spółdzielni kierowała kandydatów, którzy już w 1975 roku ukończyli 18 lat i posiadali zgromadzony wkład. A więc po dziesięcioletnim wyczekiwaniu!

Stanowisko WSM w odniesieniu do Jolanty L. jest sprzeczne z zasadami kierowania kandydatów w poczet członków spółdzielni. A tym się Zarząd SM „Zarzew" wcale nie przejął. Widać więcej osób chciało „iść na rękę" młodziutkiej córce prezesa.

Na posiedzeniu 12 kwietnia 1983 r. Spółdzielnia zatwierdziła wniosek Działu Członkowsko-Mieszkaniowego. Na protokole widnieją dwa nieczytelne podpisy. Jeden został rozszyfrowany, jest to parafa przewodniczącego Zarządu, ojca Jolanty L., dyrektora spółdzielni.

Ustalono, że posiedzeniu tegoż zarządu przewodniczył osobiście... Zatwierdzenie wniosku o przydział lokalu Jolancie L. zostało przyjęte jednogłośnie. Przewodniczący głosował w swojej sprawie. Przydział mieszkania córce automatycznie wpłynął na poprawę jego własnych warunków lokalowych.

A więc ta część uchwały jest niezgodna z art. 56 paragraf 2 ustawy z dnia 16.09.1982 r. „Prawo Spółdzielcze" Dz. U. nr 30, poz. 210. Przepis ten mówi bowiem, że „członkowie Zarządu i Rady Nadzorczej nie mogą brać udziału w głosowaniu w sprawach wyłącznie ich dotyczących".

W aktach SM „Zarzew" znajdują się długie listy, czekających latami na zamianę, przydział, w ogóle na jakiekolwiek mieszkanie, ludzi żyjących w rzeczywiście ciężkich warunkach. W roku 1983 spółdzielnia „Zarzew" nie zrealizowała planu przydziału osobom zajmującym lokale w budynkach z wadami technologicznymi i zamieszkującym w nadmiernie zagęszczonych pomieszczeniach. Wszyscy byli przesuwani z roku na rok. Oczywiście z przyczyn obiektywnych!

Na uwagę zasługuje również okoliczność, iż na kilka dni przed przydziałem Jolanta L. złożyła drugie podanie do Zarządu SM „Zarzew" z gorącą prośbą o przyspieszenie, a szczęśliwym trafem wpłynęło następnego dnia po przekazaniu kluczy od mieszkania zmarłego Romana K.

26 marca 1984 roku w Sądzie Wojewódzkim znalazł się pozew Prokuratora Wojewódzkiego o uznanie przydziału lokalu mieszkalnego Jolancie L. za nieważny, jako sprzeczny z prawem oraz zasadami współżycia społecznego. W odpowiedzi, już 10 kwietnia 1984 r. również do I Wydziału Cywilnego SW nadeszło pismo Spółdzielni „Zarzew" kategorycznie domagające się uznania powództwa za bezpodstawne i oddalenie go. Sześć bitych stron maszynopisu obliczone jest na „zrobienie wody z mózgu". Z pokrętnej polszczyzny wynika, iż córka dyrektora spółdzielni otrzymała klucze zgodnie z wszelkimi przepisami. Po prostu w całej Łodzi nie było kandydata do tego mieszkania, żyjącego w trudniejszych warunkach, a zarzuty, zresztą wątpliwe, jak napisał radca prawny spółdzielni, przypisywane przewodniczącemu, nie mogą obciążać pozwanej Jolanty L. W ogóle Prokurator Wojewódzki ma dziwne pretensje, a nade wszystko nie potrafi właściwie interpretować przepisów. Np. udział w głosowaniu dyrektora, według Spółdzielni „Zarzew" wcale nie narusza art. 56 paragrafu 2, bowiem jest to sprawa córki prezesa, a nie jego osobista, etc... W identycznym tonie występuje pełnomocnik Jolanty L., który w imieniu pozwanej też wnosi o oddalenie powództwa. Mecenas pisze, iż pozew Prokuratora Wojewódzkiego oparty jest na bezsensownej tezie, jakoby pozwana otrzymała mieszkanie nie spełniając wymaganych przez statut i przepisy przesłanek, a doprowadził do tego jej ojciec, będący dyrektorem SM „Zarzew". Twierdzenie to, według pana mecenasa nie znajduje żadnego oparcia merytorycznego, a uchwały przydzielającej mieszkanie, w żadnym razie, nie można uznać za sprzeczną z prawem lub zasadami współżycia społecznego.

Po prostu Jolanta L. „realizowała tylko swoje podmiotowe uprawnienia" — jak ładnie określił pan mecenas.

Zatem wszystkim oczekującym na mieszkanie podaję przepis na szybkie zrealizowanie „swych podmiotowych uprawnień". Trzeba napisać dwa podania: najpierw do Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a później do konkretnej spółdzielni, najlepiej żeby była to SM „Zarzew", ale niekoniecznie! Podania te na pewno zostaną pozytywnie rozpatrzone przez właściwe organy, oczywiście z udziałem czynnika społecznego. Najdalej w przeciągu dwóch tygodni należy zgłosić się po klucze. Żadne znajomości, czy pokrewieństwo z prezesem, członkami Zarządu lub Rady Nadzorczej nie są potrzebne! Najdobitniej potwierdza to przykład opisywanej tu Jolanty L. Stanowisko jej ojca nie miało absolutnie żadnego wpływu na uzyskanie przez nią marnych trzech pokoi z kuchnią. Sugerowanie tego, to wyłącznie insynuacje Prokuratora Wojewódzkiego nie poparte żadnymi dowodami! Mecenas dokonał także „gramatycznej (?) analizy prawa spółdzielczego" i wręcz domaga się wyrazów wdzięczności dla swej klientki od wszystkich oczekujących w kolejce po własne M, bowiem dobrowolnie zrezygnowała z ubiegania się o nowe mieszkanie. Zadowoliła się lokalem niepełnowartościowym, z odzysku! Innymi słowy należy to poczytać za szlachetny gest wobec tej niemałej wcale części społeczeństwa oczekującej na mieszkania...

Faktycznie „gramatyczna analiza prawa" nie jest w stanie wykazać, iż zostało ono złamane. Ale, ale odkąd to prawnik zajmuje się gramatyką i to zawodowo, w sądzie! I orzecznictwo, i nauka mogą na tym ucierpieć, toż to nie uniwersytet i nie czas na zajęcia poświęcone kunsztownej budowie naszego języka!

Na rozprawie w dniu 27 czerwca 1984 roku Sąd przesłuchał świadka Adama W. prezesa Zarządu Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi.

(...) „Spółdzielcze Biuro Mieszkaniowe jest agendą WSM. Rejestruje się w nim osoby zainteresowane otrzymaniem mieszkania. Zasadą jest przydział według kolejności oczekiwania. Od tej zasady są jednak odstępstwa. Chodzi o przyspieszenia. Osoby w szczególnie trudnej sytuacji mogą składać podania o przyspieszenie. Każde takie podanie podlega indywidualnej ocenie. W przypadku uwzględnienia następuje skierowanie tej osoby do konkretnej spółdzielni. Tutaj społeczna komisja opiniuje wniosek.

(...) przed przyjściem do Sądu sprawdziłem dokumenty, dotyczące skierowania Jolanty L. Doszedłem do wniosku, że uwzględnienie podania spowodowane było chęcią pomocy przewodniczącemu Zarządu Spółdzielni „Zarzew" ojcu Jolanty L., posiadającemu złotą honorową odznakę CZBM (!) oraz faktem nie najlepszej sytuacji mieszkaniowej (!). Komisja Społeczna nie sprawdziła warunków lokalowych (...).

Skierowanie przez WSM nie jest wiążące dla spółdzielni. Uważam, że nie zachodzi przypadek wykorzystania pozycji ojca pozwanej, albowiem członek ma prawo przepisać mieszkanie typu własnościowego na najbliższego członka rodziny i wtedy przysługiwałby mu priorytet przy przydziale lokalu (???)".

Podczas drugiej rozprawy, 10 sierpnia 1984 roku przed Sądem zeznaje świadek Zbigniew N.

— Z racji tego, iż jestem członkiem Rady Nadzorczej WSM, działam w Komisji Mieszkaniowej. Pamiętam przypadek Jolanty L., o pozytywnym załatwieniu wniosku zdecydowało to, że nie miała samodzielnego mieszkania, oraz fakt, że ojciec pani Jolanty L. ma złotą odznakę CZSBM, mógł przekazać swoje mieszkanie córce, a sam starać się o nowe. I dostałby je, najpóźniej, w przeciągu roku (!) Niewątpliwe znaczenie miała ta okoliczność, iż była córką dyrektora-działacza...".

(A jednak!!! Jak to dobrze być zasłużonym prezesem, a jeszcze lepiej córką takiegoż, ma się poważanie! Serca czynników administracyjnych i społecznych są bardziej miękkie, wrażliwsze. Złota odznaka CZBM, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej, to zupełnie inaczej brzmi niż zasłużony robotnik, inżynier, nauczyciel itd.).

Z przesłuchania w charakterze pozwanych członków Zarządu SM „Zarzew", w tym dyrektora, a także jego córki wynikało, iż ojciec wcale nie wiedział o złożeniu przez jedynaczkę wniosku o przyspieszenie, nie mógł więc wywierać na nikogo żadnych nacisków. (Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby zupełnie się nie orientował, iż Jolanta L. otrzymała mieszkanie i to jeszcze z jego spółdzielni! — E.B.).

Córka orzekła, że mieli zamiar mieszkać wspólnie i spokojnie czekać na mieszkanie, lecz konfliktowy charakter męża zniweczył wszystko. Rodzina żyła w rozbiciu. Nie miała innego wyjścia, więc napisała o przyspieszenie... Przed Sądem nie potrafiła wyjaśnić z jakiego powodu chciała zostać członkiem SM „Zarzew", chyba dlatego, aby mieszkać na Zarzewie, bliżej rodziców. Nie wiedziała też, jak to się stało, że poroniła samoistnie, zaraz po złożeniu w spółdzielni zaświadczenia potwierdzającego, iż jest w ciąży. (Chodziło o dodatkowy metraż!). Usunięcia dokonał znajomy lekarz z osiedla — „po co zaraz absorbować szpital" — powiedziała. I słusznie. Sąd Wojewódzki w Łodzi I Wydział Cywilny po rozprawie w dniu 10 sierpnia 1984 roku oddalił powództwo i uznał, iż przydział mieszkania Jolancie L. był dokonany z zachowaniem obowiązującego formalnego trybu postępowania. „Udowodnił" to w obszernym uzasadnieniu. Nie miało miejsca naruszenie art. 56, paragraf 2 prawa spółdzielczego ani żadnego innego przepisu.

Drugi zarzut też jest diabła wart. Absolutnie nie można przyjąć, iż w sprawie nastąpiło naruszenie zasad współżycia społecznego. Cytuję zgodnie z oryginałem.

„(...) Pozwana Jolanta L. założyła własną rodzinę, miała męża i maleńkie dziecko, nie miała własnego mieszkania (!). Mieszkała w rozdzielności z mężem, co niewątpliwie dawało jej prawo do działania, aby stworzyć własnej rodzinie warunki przecież tylko normalnego życia. Nie może być tu mowy o naruszeniu zasad współżycia społecznego. Fakt, że rodzice pozwanej mieli małe 3 pokoje z kuchnią oraz teściowa dwa pokoje z kuchnią nie może dyskwalifikować naturalne dążenie pozwanej do własnego mieszkania i własnego życia i stworzenia własnemu dziecku normalnego domu.

(...) nie zostało udowodnione, aby pozwana lub ktokolwiek inny używał wpływów niedozwolonych na Komisję w celu skłonienia jej do uwzględnienia wniosku.

(...) Nie zostało udowodnione również, czy inni kandydaci, których wnioski o przyspieszenie przydziału mieszkania nie uwzględniono, mieli większe uprawnienia czy trudniejsze warunki życiowe niż pozwana, ale w każdym razie uwzględnienie wniosku pozwanej Jolanty L. o przyspieszenie przydzielenia jej mieszkania w jej konkretnych warunkach życiowych zasługiwało na uwzględnienie przynajmniej w takim stopniu, że nie naruszało zwykłych zasad współżycia społecznego w państwie ludowym. Pozwana L. jako córka dyrektora jednej ze spółdzielni działających w Łodzi nie mogła przecież przez to samo być w gorszych warunkach startowych od innych jej podobnych młodych ludzi oczekujących na mieszkanie (...). Dlatego mając na uwadze powyższe Sąd powództwo oddalił jako nieuzasadnione".

Jeśli uparlibyśmy się darować Wysokiemu Sądowi „język urzędowy" — rażące okaleczenia „ojczyzny polszczyzny", to w żadnym wypadku nie możemy mieć wątpliwości, co do wyroku. Jakże odbiegł on od rzeczywistości, w której oczekiwanie na własne „M" ludzi żyjących w rzeczywiście gorszych warunkach niż pozwana ciągnie się latami. Ale Sąd napisał, iż to „nie zostało udowodnione". Dlaczego więc nie pofatygował się sprawdzić, kto z oczekujących na mieszkanie w SM „Zarzew" żyje w gorszych warunkach niż córka prezesa tejże spółdzielni... Czyżby dostępu do potrzebnej dokumentacji odmówiono nawet takiej instytucji?

Postępowanie Spółdzielni „Zarzew" w tym konkretnym przypadku kwestionowała jej jednostka nadrzędna. Pierwszy z-ca Prezesa Zarządu Centralnego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej pisze (GL-3/076/189/153/84).

„Merytoryczne i społeczne wątpliwości budził fakt, iż znaczne przyspieszenie przydziału mieszkania obywatelce Jolancie L. nie było uzasadnione stopniem trudności warunków mieszkaniowych".

Pismo zaleca Radzie Nadzorczej SM „Zarzew" dokonanie oceny powstałej sytuacji i wyciągnięcie wniosków wobec prezesa zarządu. A Sąd, Sąd uważa, że wszystko jest w idealnym porządku! Cóż, widocznie Zarząd Centralnego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej wyznaje zasadę być świętszym bardziej niż sam papież!

Podobnie zresztą jak Prokurator Wojewódzki, który również ma poważne wątpliwości. Założył rewizję, zaskarżając wyrok w całości. Uzasadnienie tym razem jest konkretne, rzeczowe i mimo że pisane rzecz oczywista językiem „prawniczym" nie łamie reguł stylistyki ani gramatyki. Udowadnia, iż nastąpiło naruszenie zasad współżycia społecznego, oraz przepisu art. 56, paragraf 2. Prawa Spółdzielczego.

Oczywiście do Izby Cywilnej Sądu Najwyższego wpłynęła też odpowiedź na rewizję ze SM „Zarzew" w Łodzi i od adwokata pozwanej. Według nich rewizja jest zupełnie nieuzasadniona, a Sąd Wojewódzki prawidłowo ocenił uchwałę Zarządu Spółdzielni, dotyczącą przydziału lokalu mieszkalnego dla córki prezesa.

Kontrola rewizyjna Sądu Najwyższego nie wykazała, aby Sąd Wojewódzki dopuścił się jakichkolwiek sprzeczności ustaleń z materiałem dowodowym. Potwierdza również, że artykuł 56 paragraf 2 prawa spółdzielczego nie został naruszony. Natomiast Sąd Najwyższy ma pewne wątpliwości, czy nie zostały pogwałcone zasady współżycia społecznego, w tym celu zadał Prokuratorowi Wojewódzkiemu pracę.

„Strona powodowa (czyli prokurator przyp. E.B.) *powinna wykazać i udowodnić konkretne przypadki szczególnie znacznie gorszej i wyjątkowo trudniejszej sytuacji mieszkaniowej określonych osób spośród oczekujących przyspieszeń przydziału mieszkania (np. mieszkających w suterenach, na strychach, w rozpadających się lub zagrzybiałych domach, nadmiernie zagęszczonych lokalach, w warunkach szkodliwych dla zdrowia, dorosłych lub dzieci, albo w innych trudnych sytuacjach życiowych), które zostały pominięte przy przydziale Jolancie L. w sposób kolidujący z zasadami moralnymi.*

(...) uzupełnienia materiału dowodowego w celu wskazania konkretnych przypadków podważających prawidłowość decyzji pozwanej spółdzielni (...) czy była ona kwestionowana przez konkretnych członków spółdzielni, których warunki życiowe byłyby gorsze niż pozwanej Jolanty L. i czy był kwestionowany przydział lokalu pozwanej (...). Czy na taki rodzaj mieszkania oczekiwali inni kandydaci na przykład z jednoczesnym zadeklarowaniem przyjęcia gorszego mieszkania niż w nowym budownictwie (...)".

Siedzi zatem w Prokuraturze zespół ludzi i głowi się, wyszukuje tych w gorszych warunkach. Cóż, skoro tacy w ogóle nie istnieją (?). Najlepszy dowód, że nikt z członków spółdzielni oczekujących na swoje „M" nie kwestionował przydziału córce dyrektora, choć pewnie wszyscy wiedzieli? I zupełnie słusznie! Na co komu stare trzy pokoje z kuchnią w blokach z odzysku, nawet po kapitalnym remoncie i to jeszcze tańsze niż nowe! Każdy członek Spółdzielni „Zarzew" oczekuje na mieszkanie pełnowartościowe, nie ważne za ile lat i za jaką cenę. Mieć lokal lepszy od córki prezesa, która zadowoliła się byle czym, to jest coś! Dlatego, rzecz jasna członkowie spółdzielni milczeli, jest to najlepszym dowodem, że wszystko odbyło się w majestacie prawa.

W roku 1983 w Łodzi wpłynęło około 19 tysięcy wystąpień o przyspieszenie przydziału mieszkania. Uwzględniono jedynie 852! Miała szczęście córka prezesa, że znalazła się wśród szczupłego grona wybrańców!

Ojcu Jolanty L., dyrektorowi SM „Zarzew" już udzielono ...nagany partyjnej z ostrzeżeniem! Myślę, że czas wesprzeć starania Prokuratora Wojewódzkiego. Należy mu pomóc w wyszukiwaniu tych najbardziej uprawnionych z terenu Łodzi do własnego spółdzielczego „M". Zdejmie to różowe okulary Sądowi, także Najwyższemu, przybliży rzeczywistość, w której żyjemy, pozwoli realnie spojrzeć, wyciągnąć właściwe wnioski.

Dlatego przepraszam te dziesiątki ludzi, którzy zgłaszali się do mnie z interwencjami w sprawie mieszkań. Dla nich zrozpaczonych, zdeterminowanych redakcja wydawała się instancją ostateczną, bo chcieli stworzyć nie tyle normalne jak określił Sąd w przypadku Jolanty L., co jakiekolwiek warunki bytowania swoim rodzinom, dzieciom! Nie zajmowałem się tymi szczególnymi, trudnymi, wyjątkowymi sytuacjami. Teraz każdą prośbę, podanie przekażę w odpowiednie ręce.

Sprawa przydziału mieszkania dla Jolanty L. jeszcze nie została zamknięta.

EDWARD BRYL

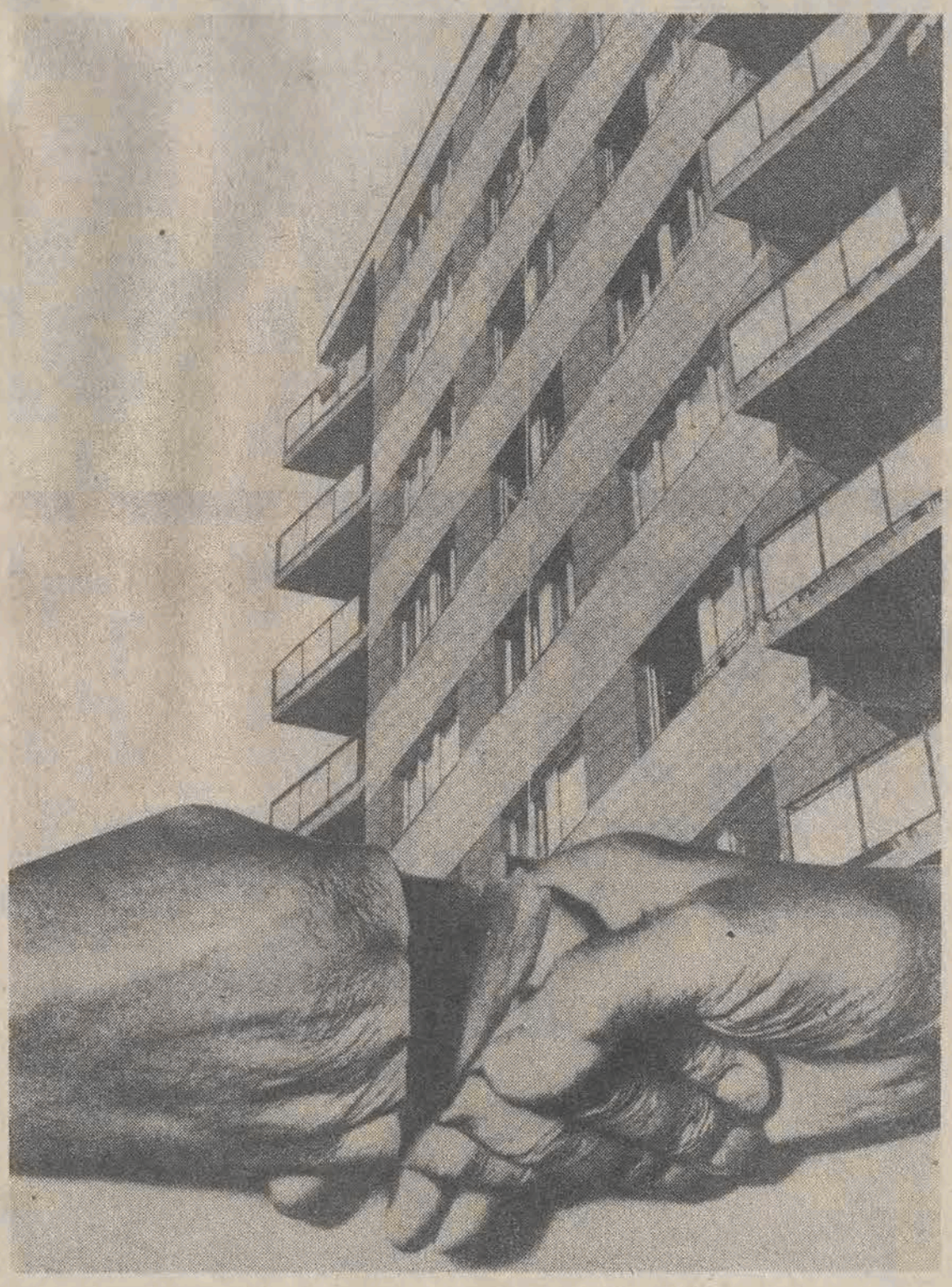

Ta sama „Pro musica" czy taka sama?

Rozmawiamy z prof. ZBIGNIEWEM FRIEMANEM

— Nie wiemy czy społeczeństwo i władze zdają sobie sprawę, że posiadanie orkiestry kameralnej oprócz symfonicznej: filharmonicznej czy operowej wyznacza danemu ośrodkowi wysoką rangę na mapie muzycznej kraju, przykładem rola orkiestr kameralnych Maksymiuka, Teutscha, Gałońskiego i paru innych. Otóż ładnych kilka lat temu powołana i kierowana przez Pana „Pro musica" dawała znać o swoim istnieniu dość częstymi koncertami na miejscu i na wyjeździe, nierzadko też za granicą, a potem nagle o zespole ucichło i można było się obawiać, że umilkł on na zawsze. Aż tu raptem usłyszeliśmy Was znowu i jak dawniej pod Pańską batutą. Co prawda, nie jestem pewien czy to ci sami młodzi ludzie...

— Nasz zespół powstał w 1962 r., liczy więc sobie formalnie 23 lata, ale, rzeczywiście, w dawniejszym składzie przestaliśmy działać w 1974 r., bezpośrednio po bardzo dla nas udanym festiwalu w Barcelonie. Mieliśmy za sobą sporo sukcesów w tym i zagranicznych, dopracowaliśmy się bowiem całkiem niezłego poziomu, a nasze kłopoty zaczęły się wkrótce po zdobyciu przez nas złotego medalu na festiwalu Herberta von Karajana w Berlinie Zachodnim, co przyczyniło się do zaproszenia nas w następnym roku na festiwal „Bratysławskiej Jesieni" i interesujące tournée po Czechosłowacji. Mieliśmy za sobą pierwsze koncerty w CSRS, czekał nas z kolei występ w Pradze — w słynnej „złotej sali", ale część członków naszego zespołu, jeszcze studiujących, musiała bezwzględnie przerwać tournée, żeby wziąć udział w uroczystościach na uczelni.

— Przepraszam, ale cóż to było za niezwykle ważne wydarzenie, że nie mogło się ono obejść bez udziału grupki studentów?

— Była inauguracja roku akademickiego i studenci grający w „Pro musica" uznani zostali za niezbędnych do wykonywania Gaudeamus. Ale wolałbym tego wydarzenia nie komentować, dość, że zerwaliśmy zapowiedziany występ w Pradze, co nam mocno zaszkodziło w przyszłości w Pagarcie jako kontrahentom przy ustalaniu udziału polskich zespołów w zagranicznych imprezach.

— Ktoś was jednak musiał nie kochać w Łodzi i nie odnosił się życzliwie do prawdziwych interesów muzycznej młodzieży.

— Myślę, że wtedy nie po raz pierwszy doszedł w Łodzi do głosu niechętny stosunek do zjawisk wybijających się ponad przeciętność. No, ale wzięliśmy jeszcze w 1974 r. udział w festiwalu w Barcelonie, upamiętniony niezwykle serdecznym podejmowaniem nas przez Henryka Szerynga. Potem jednak nasi młodzi artyści — działający w zespole o nieprofesjonalnym statusie, zniechęceni trudnościami, zaczęli myśleć o ustabilizowaniu swego bytu zawodowego i materialnego, toteż doszło do praktycznego zawieszenia działalności orkiestry.

— Pamiętam doskonale, że udzielając mi w tamtym czasie wywiadu mówił Pan o niebezpieczeństwach zagrażających egzystencji zespołu, o jego niepewnym statusie z braku mecenasa, no i sprawdziło się...

— Ale nie oglądajmy się wstecz. Obecnie zespół działa w całkiem odnowionym personalnie i nieco mniejszym, bo 17-osobowym składzie i, prawdę mówiąc, oprócz mnie nie zostało już nikogo z dawnej „Pro musica". Mamy znów w zespole młodych muzyków, w tym tylko czworo absolwentów wyższej uczelni muzycznej, bo reszta jeszcze studiuje. Nasz status nie uległ co prawda zasadniczej odmianie, ale nie mając mecenasa, który być może stawiałby nam takie czy inne warunki, staramy się korzystać z naszej niezależności i bierzemy na siebie ryzyko eksponowania w partiach solowych ludzi jeszcze nie sprawdzonych publicznie i nieznanych, nieraz zupełnych debiutantów. W naszym dawnym zespole debiutowało też wiele osób o znanych dziś nazwiskach. Jesteśmy zespołem bardzo młodym, intensywniej pracujemy dopiero od lutego br. i dopiero zaczęliśmy występować. Zrozumiałe więc, że jest to orkiestra nieokrzepła, przed którą stoi jeszcze dużo pracy i wspólnego muzykowania nim osiągnie pożądany przez nas poziom.

— Już ten pierwszy koncert przyjęła publiczność łódzka jak najprzychylniej. Ale proszę powiedzieć, jakie Pańskim zdaniem wynikają dla członków zespołu kameralnego specyficzne zadania i problemy.

— Mówiąc pokrótce, orkiestra kameralna jest to jakby zespół solistów, bo też inny jest niż np. w orkiestrze symfonicznej rodzaj wykonawstwa muzycznego. Chodzi tu nie tylko o to, żeby „zgodnie" zagrać co należy, ale jak najlepiej rozumieć się wzajemnie pod względem muzycznym, mieć do siebie wzajemne zaufanie. Jestem obecnie na etapie dochodzenia do wspólnego języka z zespołem, zbliżonego pojmowania zagadnień estetyki muzycznej, w ślad za czym idzie znajdowanie odpowiednich środków wykonawczych. Bo taka jest właśnie kolejność etapów wspólnego doskonalenia się zespołu.

— Czy to wystarcza żeby zespół wybił się ponad przeciętność, znalazł dla siebie własne, rozpoznawalne miejsce wśród innych orkiestr kameralnych?

— Oczywiście dążymy do osiągnięcia własnego stylu wykonawczego, własnego, jak to się mówi, oblicza artystycznego, ale tego nie osiąga się łatwo i nie na drodze manifestowania oryginalności za wszelką cenę, lecz przez znalezienie sposobu wykonawczego umożliwiającego przekazanie słuchaczom naszego rozumienia muzyki. Myślę, że we wzajemnym porozumieniu sporo ułatwia nam, że jestem „smyczkowcem", bo orkiestra opiera się przecież na instrumentach smyczkowych.

— Rozumiem jednak, że rola Pana jest przede wszystkim rolą dyrygenta. Czy jest Pan dyrygentem?

— Interesuję się dyrygenturą, ale rzecz w tym, iż dyrygowania nie można się nauczyć, owszem, pewnej techniki „taktowania" można, i bardzo jest to pomocne, ale istota dyrygowania polega na wrodzonej umiejętności przekazywania zespołowi dowolnym sposobem swoich intencji interpretacyjnych. Rzecz jasna, że każdy muzyk w zespole może rozumieć dany utwór po swojemu, ale musi się wewnętrznie zgodzić na koncepcję dyrygenta i jej podporządkować.

— Czy macie zamiar, jak na ostatnim koncercie, zajmować się muzyką epok dawnych, czy też, wzorem wielu orkiestr kameralnych, będziecie jednocześnie sięgać po rzeczy najbardziej współczesne?

— Powinniśmy i będziemy uprawiać jedno i drugie. Co prawda w wyborze repertuaru orkiestry kameralnej nie ma się takiej nieograniczonej swobody wyboru, jak np. w symfonice. Dominującą część repertuaru kameralistów stanowią dzieła muzyki dawnej i klasycznej, a potem literatura kameralna raptownie kurczy się ilościowo. Musi to wywierać swój wpływ na przekrój repertuarowy.

— Proszę odpowiedzieć szczerze. Czy Pan zawsze, od najmłodszych lat skłaniał się ku kameralnym formom muzykowania, czy uznawał Pan je zawsze za najbliższą własnym predyspozycjom możliwość wypowiedzi?

— Zawsze byłem i stale jestem zafascynowany symfoniką, jej ogromnie urozmaiconą, bogatą paletą instrumentacyjną, kolorystyką, możliwościami dynamicznymi.

— Czyżby uważał Pan również, że kto sobie dobrze radzi z orkiestrą symfoniczną, ten z łatwością poprowadzi zespół kameralny, natomiast odwrotnie nie jest to takie pewne?

— Nie to miałem na myśli. Zadania orkiestry kameralnej koncentrują się na innych wartościach, ale są nie mniej odpowiedzialne artystycznie.

— Jakie są plany i zamierzenia zespołu?

— Szykujemy się do udziału w festiwalu muzyki dawnych mistrzów we Wrocławiu, który bardzo wysoko cenię, zaczynamy współpracę z chórem Uniwersytetu Łódzkiego, i chcielibyśmy zacieśnić współpracę z łódzką Akademią Muzyczną. Mamy zaproszenia na występy w Legnicy i Inowrocławiu.

— Czy nie obawia się Pan, że „Pro musica" może się znaleźć znów w sytuacji, która swego czasu doprowadziła do zaniechania działalności?

— Na razie jestem dobrej myśli. Przede wszystkim młodzi uzdolnieni muzycy garną się do pracy w zespole, ponieważ, jak sami wyznają, są zadowoleni ze stawianych im wysokich wymagań. Nie brak przecież ludzi, którzy chcą robić dobrą robotę i potrafią czerpać z niej satysfakcję. Prawda, że zespół powinien być zarejestrowany przy jakiejś instytucji czy placówce, zachowując artystyczną autonomię. Byłoby najlepiej, żeby naszym patronem i mecenasem mogła być Filharmonia Łódzka. A jeśli nadejdzie znów kiedyś moment zawieszenia działalności, to będziemy mogli sobie powiedzieć, że coś po nas pozostało, jakiś ślad w kulturze muzycznej społeczeństwa, nie mówiąc o tym, że uczestnictwo w orkiestrze przynosi każdemu artystyczne korzyści.

— Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

BRACIA SZEMBEKOWIE

W podręczniku do nauki języków obcych wydanym przez Celestyna Adama Kaliszewskiego (1725—1767) pod kunsztownym tytułem „Nomenclator czterech języków: francuskiego, polskiego, niemieckiego i łacińskiego" (do końca XVIII w. ukazało się 9 wydań)osobna część stanowi „Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów". Spośród licznych a mało znanych anegdot o tematyce polskiej wydobywam dwie poświęcone Szembekom, przedstawicielom szlachty pruskiej pochodzenia niemieckiego (indygenat polski uzyskali za panowania Zygmunta Augusta):

Ponieważ dom Szembeków w wielkim u dworu był kredycie, kanclerz wielki koronny, który tegoż samego był domu, spytał się pewnego czasu Lanckorońskiego, jeżeliby przez niego jakiej od króla nie życzył sobie otrzymać łaski. *„Niczego nie chcę, rzekł mu Lanckoroński, o to tylko Waszmość Pana proszę, ażebyś mi u króla jegomości wyrobić raczył przywilej na szembekostwo".*

Pewny mówca bardzo piękną do Szembeka arcybiskupa gnieźnieńskiego, na pochwałę cnót jego miał mowę, którą gdy skończył, ten mądry pan tak mu rzekł: *„Jeżeli to wszystko, coś na moją pochwałę powiedział, jest prawdziwe, niech będą nieskończone Najwyższemu Bogu dzięki, jeżeli zaś nie, trzeba go mocno o to prosić, ażeby to prawdziwym uczynił".*

Wspomniani w anegdocie Szembekowie to bracia Stanisław, arcybiskup gnieźnieński, Jan, kanclerz wielki koronny — synowie Franciszka, kasztelana kamienieckiego i Barbary Rupniewskiej, kasztelanki sądeckiej. Obaj byli zwolennikami Augusta II Mocnego i odgrywali znaczącą rolę w zwalczaniu Stanisława Leszczyńskiego i umacnianiu stronnictwa saskiego.

ZAWADIAKA CHADZKIEWICZ

Żył na przełomie XVIII i XIX w. szuler i zawadiaka Ignacy Chadzkiewicz, o którym sporo anegdot przekazali do naszych czasów ówcześni pamiętnikarze. Kilka dowcipów tego sympatycznego zresztą kpiarza przypomniał w swoich „Podróżach po Szpargalii" Juliusz W. Gomulicki, noszący się wówczas z zamiarem ogłoszenia drukiem biografii Chadzkiewicza.

Przytoczone tu anegdoty pochodzą z pamiętnika Ksawerego Marszyckiego, a ogłosił je Czesław Jankowski w I tomie monografii „Powiat oszmiański" (Petersburg 1896). W zbiorach Ossolineum (rkps II/12206) znajduje się rękopis wspomnień Marszyckiego z nieco odmiennym tekstem niżej podanych anegdot:

Kiedy raz stary wojewoda (Szczęsny Potocki) w towarzystwie innych magnatów, uskarżał się na straty, na które go upadek Polski naraził, odezwał się Chadzkiewicz, że i on postradał też niemało.

— Przebóg! — spytał wojewoda — a waść co też takiego stracić mogłeś?

— Alboż to ja — Chadzkiewicz na to — *małą poniosłem szkodę, kiedy mi w rewolucji kościuszkowskiej najlepszych do gry w faraona powywieszano poniterów.*

Innym razem, w Berdyczowie, Chadzkiewicz, ciągnąc bank dla licznie zebranych na jarmarku właścicieli ziemskich, odezwał się do nich, że on jest panem z panów, a oni panami z chłopów. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie. Ponamował je Chadzkiewicz jednym słowem:

— A no tak — rzekł — ja ogrywając was, panów, jestem przez to panem z panów, a wy zaś, dochody swoje ciągnąc jeno z chłopów, jesteście oczywiście panami z chłopów.

W „ZIELONE"

Dziewczyno! grajmy w „zielone",
Nad nami słońce i maj!
Lub lepiej.. żarty na stronę,
Z ufnością raczkę swą daj!
Po kwietnym pójdziemy kobiercu
Przez czar, zachwyty i raj...
I, marząc serce przy sercu,
Uświęcim wiosnę i maj!

Kazimierz Laskowski (1901)

WRAŻENIA Z WYSTAWY OBRAZÓW

Do pewnej damy, która wróciła z wystawy obrazów, odezwała się przyjaciółka:
— Jakże ci się podobała wystawa?
— Zawstydziłam się okropnie. Wyobraź sobie, jest tam obraz bosego mężczyzny.
— Cóż w tym okropnego?
— Ależ on był bosy po samą szyję.

Do rozpuku. Dwa tysiące anegdot i dowcipów. Lwów, (przed 1914).

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

...największą wadą człowieka ciągle pozostaje brak poczucia humoru

Dowcip, sentencja, dialog sytuacyjny opierają się o niezmienne reguły gry czytelniczej, w której pozycja odbiorcy jest wyraźnie uprzywilejowana. Wartość wymienionych na wstępie form literackich pozostaje wciąż łatwo wymierna, a decyduje o tym jakość elementów konstytutywnych dla nich, takich jak: zaskakująca pointa, gra słów i znaczeń, zamierzona niewspółmierność treści do formy jej przekazu czy wreszcie umiejętność lapidarnego definiowania powszechnych zjawisk.

W trudnej zatem sytuacji znalazł się Eugeniusz Iwanicki, publikując w Wydawnictwie Łódzkim swój „Klasztor dla ateistów". Na dodatek jego praca nie ma charakteru pionierskiego, bowiem akurat ta literacka ścieżka jest na gruncie łódzkim stosunkowo dobrze przetarta, co więcej, poznaczona nawet licznymi koleinami. Autor podjął jednak ryzyko ponownego jej przebycia, wystawiając się tym samym na przeciwności kapryśnej aury przygotowanych gustów.

Blisko 60 stron tekstu, podanego w silnie zsegmentalizowanej formie, zaznajamia nas z rozważaniami tytułowego bohatera. Pomimo wykorzystania chwytu abstrakcyjnej postaci wypowiadacza, dystans autora do dywagacji „pana T." jest niezbyt duży, czasem wręcz żaden, co dzieje się niejednokrotnie ze szkodą dla ich poziomu. Emocjonalne nastawienie sprawia, że pozbawione ironii konstatacje emanują zwyczajną złością, która zastępuje naturalną, satyryczną złośliwość. Wrogiem numer jeden satyry Iwanickiego jest szeroko rozumiany konkret. Fragmenty oderwane, nie posiadające wyraźnego adresata, są lepsze od osadzonych w tzw. „realiach". Wartość poczucia humoru autora „Klasztoru" tkwi właśnie w odrealnionym widzeniu rzeczywistości, zaprawionym nawet odrobiną absurdu. Fakt ten zdaje się potwierdzać już pierwsza wypowiedź „pana T.", epatująca czytelnika wysublimowanym dowcipem z kręgu poetyki nonsensu:

„W czasie pożaru, który trawił jego dobytek, zdenerwowany T., trzymając papierosa, pytał strażaków: — Który z panów ma ogień?". Parokrotnie również posłużył się Iwanicki kalamburem, zdradzając przy tym dużą wrażliwość językową i talent budowania odległych asocjacji. W pozostałych przypadkach mamy do czynienia z techniką wywiadu: prowokacyjne pytanie i cięta odpowiedź, jaka zwykłemu śmiertelnikowi nasuwa się dopiero wtedy, gdy jest już w drodze do domu. O ile jednak błyskotliwa stychomytia bawi nas z reguły w formie ciągłej, o tyle dozowana traci swoją ekspresję, a poszczególne cząstki nie wytrzymują obciążenia izolacji.

Rozważania „pana T." obejmują swoim zasięgiem szeroki rejestr typów i zachowań ludzkich. Przedmiotem kpin stają się artyści, ze szczególnym uwzględnieniem literatów, naukowcy, politycy, klerycy. Z różnym natężeniem piętnowana jest głupota, obłuda czy fałsz — od pobłażliwego, pełnego wyrozumiałości spojrzenia aż do cierpkiej drwiny, nierzadko nasyconej niebezpiecznie mizantropią. Wyjątkowe miejsce, ze względu na ilość i pikantną realizację, zajmują tematy z „kręgu Wenery" (zwane też przez niektórych rodaków marynistycznymi, od popularnego, skądinąd, imienia Marynia).

Książkę uzupełnia galeria filozofów, estetyków i etyków, zgrabnie skomponowana przez Ibisa-Gratkowskiego. Motyw wszechobecnego człowieczka, asystującego przy wszystkich ważniejszych etapach myśli ludzkiej, dewaluuje pretensjonalny charakter ilustracji oraz sugeruje zarazem konieczność dystansu, niezbędnego do odbioru całości.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

(E. Iwanicki, Klasztor dla ateistów, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984).

Ręce przyjaciół

WŁADIMIR DUDINCEW

W wagonie sanitarki na niższej pryczy leżał podporucznik Misza Nogotow. Ostrzyżony na zero, przeraźliwie chudy. Przypominał raczej wyrostka niż młodzieńca. Leżał bez ruchu, posępnie wpatrując się czarnymi oczyma w sufit.

Sanitariusz stawiał co rano na stoliku przy pryczy talerzyk z białym chlebem i z masłem. Ale Misza zdawał się przebywać daleko stąd i nie widział niczego, toteż po pewnym czasie z leżanki na pięterku wyciągała się czyjaś długa, owłosiona ręka po to jego śniadanie: czy ma się zmarnować?!

Co rano zatrzymywał się przed leżącym szczupły stary lekarz. Twarz miał ciemną — to ślady po ospie — jakby ulepiona z razowca. Na głowie nasunięta głęboko, aż po brwi, biała czapeczka. Lekarz sięgał po rękę Miszy, badał puls, przywierał uchem do piersi tamtego i chrapliwym głosem zapytywał: „Wiek rannego?" Co dzień pytał o to samo i co dzień Misza milczał.

Czasami jednak ożywiał się i patrzał z niejakim zdziwieniem na okno pokryte do połowy szronem, potem powoli opuszczał wzrok i uważnie z napięciem obserwował własne palce, jakby je chciał policzyć. I nagle jego pożółkłe policzki wzbierały szkarłatem, kaszel wewnętrzny zaczynał nim wstrząsać, wydzierał się z płuc. Misza starał się go powstrzymać — nie chciał umierać.

Siostra Ania, wysoka, o bladoniebieskich oczach, smutnych jak ostatni kwiat przedjesienny na łące, w bieli, w nowym, szeleszczącym fartuchu, nachylała się nad nim i dłonią z pierścionkiem gładziła jego suche palce.

— Zuch, Misza — szeptała.

Potem ściągała z niego prześcieradło. Misza leżał bez koszuli i widać było wyraźnie na jego dziecięcej prawie piersi dwa kawałki leukoplastu, jeden od drugiego na odległość dłoni. Ania wycierała mu plecy pod łopatkami watą nasączoną spirytusem. Na plecach widniały podobne dwa plastry, też jeden od drugiego na odległość dłoni.

Nawet i we dnie gorączka nie schodziła poniżej czterdziestu stopni. Tak było przez pięć dni i pięć nocy. Aż raz głęboko w noc tamten zarośnięty żołnierz, co rezydował na górnej leżance, zerknął w dół i spostrzegł, że Misza uniósł głowę. Przyglądał się swemu ciału z wyraźnym niepokojem, zasłonił usta wychudłą ręką, drugą trzymał na piersi i za każdym głębokim oddechem opuszczał i podnosił głowę. Ania wynurzyła się z półmroku jakby na wezwanie i ostrzyżona na zero głowa Miszy opadła na poduszki.

Następnej nocy niespodziewanie zaczął się wiercić i zrzucił ze stolika łyżeczkę.

— Nie mogę zasnąć — wyszeptał jakby się komuś zwierzał, choć w przedziale nie było nikogo, oprócz chorych, a i ci spali.

Nie upłynęła jednak chwila, a już zjawiła się Ania. Bodaj wbiegła. Misza poprosił o morfinę. Ania popatrzyła mu w oczy.

— Morfiny nie mamy, Miszeńko — oznajmiła głośno, jakby mówiła do głuchego.

— Wszy gryzą — Misza monotonnie szeptał nie otwierając oczu. Ania uśmiechnęła się.

— Znowu wszy? To tylko tak się zdaje. Uczucie swędzenia powoduje pot.

— Chciałbym morfinę.

— Wszyscy tylko morfinę i morfinę! Proszę zaczekać, zaraz wrócę.

Rzeczywiście wróciła bardzo szybko. Stąpała bezszelestnie, jak po dywanie.

— Proszę mi podać rękę... i majorowi ani słowa!

Po zastrzyku Misza uspokoił się i czekał na przyjście snu trzymając Anię za rękaw fartucha... Wagon wypełniało monotonne ciche chrapanie rannych. Niektórzy bredzili. Ania wyjęła z kieszeni skrawek gazety, nasypała machorki i zrobiła skręta. Misza wyciągnął słabe palce w tamtym kierunku.

— Wam nie wolno. Ja także nie powinnam. Ale cóż, nałóg. Może to z tęsknoty? A może z nieszczęścia?

— Z jakiego nieszczęścia? — spytał Misza.

— Takiego z rogami. Jota w jotę jak ty.

— Siostro! — Żołnierz na wyższej półce obrócił się na bok i zajęczał. — I mnie by trzeba morfiny.

— Patrzcie go! Ten też to samo. Major nie pozwala.

— Co za sprawiedliwość! Porucznikowi to mogła siostra wstrzyknąć, a mnie, wynika, nie można! Rana!... Rana boli!

— Patrzcie, jak to rozkazuje. — Podniosła się. — O jej, jakiś ty obrośnięty! — przygadywała przyjaźnie wycierając mu rękę jodyną w miejscu zamierzonego ukłucia...

Wkrótce żołnierz uspokoił się.

Kiedy znów usiadła przy nich, Misza spał, marszcząc czarne brwi i wydymając usta. Otworzywszy oczy zaszeptał wyraźnie:

— Gdzie jest sierżant? Nie ma sierżanta!

Ania pokiwała głową, długo patrzała mu w twarz, potem podniosła się, sięgnęła po skręta, odszukała zapałkę i chciała wyjść na korytarz.

— Siostro! — Żołnierz, ten na wyższej półce, ze złości rozpłakał się. — Siostro! Dlaczego ty oszukujesz ludzi? Morfiny daj, słyszysz! Tyś mi wstrzyknęła tylko roztwór fizjologiczny. Znam się na takich sprawkach, nie po raz pierwszy wiozą mnie sanitarką. Morfina nie bywa słona.

— Ci-cho! — zaszeptała Ania. — Spójrz na strzykawkę. Ja mu też tylko roztwór wstrzyknęłam. Nie mamy w pociągu ani odrobiny morfiny. Jasne? A jemu ani słowa! On dziś po raz pierwszy zasnął.

— Nas nie nabierzesz — burknął żołnierz, ale już cicho.

Rano Miszy gorączka spadła do trzydziestu ośmiu stopni. Lekarz przyszedł na obchód. Wysoki, jego biała czapeczka ledwie majaczyła w górze. Ujął Miszę za nadgarstek.

— Wiek rannego? — zachrypiał głośno.

— Osiemnaście lat — wyszeptał Misza.

Lekarz z triumfem rozejrzał się po przedziale i dał znak zmarszczeniem siwych brwi, żeby zachowano cisze.

— Czy masz może jakieś życzenia, bohaterze? — spytał zmierzywszy mu puls.

— Nie... nie mam. — Misza pogładził ogorzałą rękę doktora i zerknął na siostrę stojącą z tyłu. Ale to była jakaś inna siostra. Przysadzista i chłodno oficjalna.

— Musisz przybrać na wadze — orzekł lekarz. — Trzeba jeść, odżywiać się! — dziarsko zawołał. — Dostajecie masło?

— Tak jest, otrzymuje — szybko odezwał się za niego żołnierz z górnej półki.

Do wieczora Misza leżał spokojnie patrząc na ścianę. Ania nie przychodziła. W nocy zrobiło mu się strasznie gorąco. Nie mógł zasnąć. Nie raz unosił głowę i wpatrywał się w rozjarzoną mgłę... ale nikt się nie zjawiał. Rano pochyliły się nad nim obie siostry. Ta przysadzista i Ania.

— Czy długo jeszcze będziemy jechać? — spytał Misza patrząc z uwagą to na jednę, to na drugą.

— A co, tak wam się przykrzy z nami w wagonie?

— Przykrzy.

— Jeszcze trochę cierpliwości, proszę rannego. Jutro dojedziemy na miejsce — powiedziała przysadzista, wysunąwszy się do przodu.

— Chwała Bogu — niezbyt uprzejmie odrzekł Misza spojrzawszy na Anię. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i uśmiech znikł z jej twarzy.

Wieczorem wszyscy posnęli i monotonne chrapanie, jak zwykle, wypełniło przedział. Misza dojrzał w półmroku znajomy biały fartuch.

— Siostro — zaszeptał z cicha, jakby już, już zapadał w sen — czy można by morfiny?

Biały fartuch znikł w mroku. Po chwili Ania siadła obok Miszy. Zastrzyk zrobiła tak delikatnie, że nawet igła nie przebiła skóry. Z góry z tajemniczym uśmieszkiem przyglądał się temu nie ogolony żołnierz.

— A może i ty sobie życzysz? — spytała Ania.

— Jakoś tam zasnę i bez twojej morfiny.

— A może ci jeszcze czego trzeba? — zwróciła się Ania do Miszy.

Misza nie odpowiedział. Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, spostrzegł, że Ania nadal siedzi u jego nóg.

— Wiecie co, siostro. Dajcie mi morfiny prawdziwej. Od tej jakiejś wody chyba dziś nie zasnę.

Ania zmieszana zmierzyła wzrokiem tamtego z góry, ale żołnierz potrząsnął przecząco głową: Nie, on wcale się nie wygadał. Wtedy Ania położyła na czole Miszy dłoń z pierścionkiem na serdecznym palcu.

— Dałam wam zastrzyk najprawdziwszy, a wy irytujecie się na mnie, nie wiedzieć czemu. Ja też chciałabym zasnąć. Od kiedy was dali do naszego pociągu, nie zmrużyłam nawet oka.

— Dokąd jedziemy? — spytał Misza.

— Na Sybir... No to już i wyspałam się! Mogę pożegnać się z nocą. Znaczy, dziękujcie Bogu, że jutro wreszcie dojeżdżamy?

— Tak — zgodził się Misza.

— I to cię tak cieszy?

— Wszystkie koniska... na pastwiska — wyszeptał Misza jakieś niby-przysłowie, patrząc na nią zmętniałymi oczyma. Znów zaczął bredzić. Ania patrzyła nań ze smutkiem.

— Ach, ty konisko! — powiedziała półgłosem. — Jakiś ty chudziutki! Palce takie cieniutkie, cieniutkie. Może bardziej niż moje. Toż mój pierścionek nie utrzymałby się chyba na żadnym. Zsunąłby się najpewniej.

Wkładała swój pierścionek po kolei na jego palce i stwierdziła z przygnębieniem, że istotnie zsuwa się.

— Darowujecie mi go? — spytał nagle Misza.

— Jeśli się podoba, proszę go sobie zatrzymać. Ale pod warunkiem, że szybko przytyjecie. Tak, żeby pierścionek nie spadał... A jeśli zechcesz, żebym się jawiła, to obrócisz go, tak jak w bajce, i przyjdę na pewno — zaśmiała się pogodnie.

Misza patrzał na pierścionek. Potem jego oczy zamgliły się, stały się bez wyrazu. Poruszył językiem, jęknął i zaczął szeptać smutne, a potem niezrozumiałe słowa — jak to w chwilach zasypiania.

Kiedy rano otworzył oczy, Ani w przedziale nie było. Koła pociągu z hukiem i zgrzytem mijały zwrotnice, wbiegały na nowe tory. Dojeżdżali do jakiejś dużej stacji. Targnęło silnie wagonem w tył, potem w przód i pociąg znieruchomiał. Ania przyniosła Miszy pomięty mundur i zaczęła go ubierać. Wkładała kurtkę na poprzestrzeliwaną i wycerowaną podkoszulkę.

— Teraz proszę podać prawą rękę, teraz lewą. O tak. Ubieram was jak dzieciątko.

Trwała nienaturalna cisza. Wszyscy już byli ubrani. Tamten żołnierz z górnej leżanki palił na korytarzu, spluwając i uśmiechając się porozumiewawczo do Miszy i Ani. Jego druga ręka wisiała na temblaku.

Od końca wagonu doszedł nagły stuk ciężkich buciorów, wpadli sanitariusze w szarych kitlach narzuconych na mundury. Odtracili Anię na bok. Ania, przycisnąwszy ręce do piersi, przywarła do półki i dostrzegła Miszę tylko przez ścianę ich pleców.

— Tego na nosze! — rozkazał jeden z sanitariuszy i pozostali, rozłożywszy nosze na podłodze, podjęli Miszę pod pachy i pod kolana.

— Zakręcaj! — zawołał drugi. — Wynoś głową do przodu.

Misza skierował oczy ze smutkiem na miejsce, gdzie spodziewał się ujrzeć Anię... ale w tej samej chwili nakryli go od stóp do głów prześcieradłem.

— Adres twój?! Adres! — zawołał Misza. Chciał odrzucić na bok przykrycie... ale oto już usłyszał pod sobą skrzyp śniegu, a potem spostrzegł, że znajduje się w autobusie i jedzie, nie wiedzieć, w którą stronę.

Misza obrócił pierścionek na palcu i do siódmej salki weszła Zina. Niewysoka dziewczyna, w fartuchu pod samą szyję, wiązanym od tyłu. Jak ptak z rzędu brodzących podbiegła drobnymi kroczkami do stołu, potem do Miszy. Kazała mu wypić jakieś gorzkie lekarstwo ze szklaneczki i postawiła w rubryczce zeszyciku krzyżyk.

— W porządeczku, Nogotow. Poleżysz bez ruchu jeszcze z tydzień — powiedziała szybko biegnąc już do drugiego żołnierza — a potem przyniosą ci co do czytania. Mamy tu takie książki, w których pięknie pisze, jak się chłopcy kochają z dziewczynami... — Już podawała lekarstwo trzeciemu rannemu.

— Co mi tam po książkach o kochaniu! Ja bym chciał trochę się przejść. Choćby i o kulach.

— Nie wygłupiaj się! Skąd masz taki piękny pierścionek?

— Prywatna sprawa.

— Jesteś z dziewczyną po słowie, tak? To dlaczego do niej listu nie napiszesz?

— Nie mam adresu. — Misza obrócił pierścionek kilka razy na palcu.

Oto zaskrzypiały drzwi, usłyszał człapanie pantofli i do sali wszedł żołnierz w pidżamie. To ten sam, który jechał z nim w jednym przedziale, na górce. Był ogolony. Podstrzygł sobie nawet brwi i widać było, że to zupełnie młody chłopiec o pogodnym wejrzeniu. Pod łokciem miał dużą poduszkę, umocowaną do zranionej ręki.

— Wreszcie cię odnalazłem, podporuczniku! — Żołnierz zbliżył się do jego łóżka. — Mianowano mnie tu szpitalnianym listonoszem — Żołnierz lewą ręką pacnął się po swej poduszce i rozsiadł się na łóżku Miszy. Przybywam właśnie do ciebie jako listonosz. Oto liścik od Ani.

— To od tej, co mu dała pierścionek? — zapytała żywo Zina z końca sali.

Misza nie odezwał się.

— Ee! Tylko dwie linijki wszystkiego! — Zina już nachylała się nad czytającym Miszą.

— Jemu — wyjaśnił „poczta polowa" — nawet więcej dziś nie trzeba.

Misza długo czytał tamte dwie linijki.

— Dzięki — powiedział wreszcie w zamyśleniu. — ...Aha, jak ty się właściwie nazywasz?

— Listonosze nazwisk nie mają. Ale mów na mnie: Griszka.

— Muszę wyzdrowieć! — zawołał nagle Misza.

— Tak. Musisz! musisz! — przytaknęła ze współczuciem Zina.

— Proszę cię, Zinoczko, daj mi papier i ołówek.

Misza pisał wpółleżąc, wsparłszy się na łokciu. Ciężko dyszał szeroko otwartymi ustami. Głowa ciągle opadała mu na piersi.

„Cześć, Aniu! — napisał, opadł na poduszkę i długo nie mógł złapać tchu. — Właśnie leżę w szpitalu — zdołał napisać przez następne pół godziny. — Dużo tu kwiatów. Fikusy i inne. Ale ja najbardziej ze wszystkich lubię anine oczka.*) — Znowu położył się, żeby odsapnąć, potem uniósł się i skreślił tę nazwę kwiatu, bo wyglądało to na zbyt już otwarte wyznanie miłosne. — Chłopaki u nas na naszym oddziale dobre. Przyjdzie mi z nimi — napisał — pięć miesięcy razem się kurować. Tak powiedział doktor. — Za czym znowu złapawszy oddech napisał to najważniejsze: — Bardzo często Panią wspominam. Pierścionek nadal obraca się na palcu swobodnie. Obracam go... ale Ty się nie zjawiasz".

Zapalono lampy. Przed kolacją szybko przemknęła przez salkę Zina i podała Miszy lekarstwo w szklaneczce.

— Wciąż jeszcze piszesz?

Misza właśnie już kończył: „Powziąłem niezłomne postanowienie wyleczenia się nie w pięć, lecz w trzy miesiące". Potem — napisał — „odnajdę Panią, bo chciałbym zakończyć tamtą naszą rozmowę, zaczętą wtedy w wagonie". A w ostatnim zdaniu poprosił o szybką odpowiedź.

Minął marzec. Misza czekał na list od Ani a razem z nim Grisza i Zina.

— Bardzo mi żal Nogotowa — wyznała żołnierzowi Zina. — Ja bym już przez ten czas odpisała mu nawet i na trzy listy.

A Misza naprawdę wszystko robił, żeby jak najszybciej wyzdrowieć. Raz nawet założył się z sąsiadem, pożyczył od niego kule i przeszedł się po dywanie aż do stołu. Tyle że z powrotem nie dał już rady i siadł blady jak płótno na podłodze.

Było to w początkach marca. Przy końcu miesiąca Misza zauważył, że pierścionek już nie schodzi mu z palca tak lekko jak dotąd. Wtedy zażyczył sobie kul z magazynu i co dzień odbywał spacery od łóżka do okna. A tam za oknem... sanie i sanie! Suną bez końca wśród zasp, wzdłuż brzózek... A niebo takie błękitne, że niemal letnie. Lekarz pozwolił mu teraz wziąć kąpiel w wannie. Misza owinął się w szlafrok, uwiesił sobie na szyi ręcznik kąpielowy, wsparł się na kulach i poszedł się kąpać... Po dwudziestu minutach wrócił na salę bez kul. Z gołowąsej twarzy promieniała radość. Głowę miał wprawdzie jeszcze spuszczoną, ale czarne oczy błyszczały mu jak podczas wydawania komend. Opierając się o kolejne łóżka doszedł do swojego i położył się, ażeby wytchnąć po trudach „podróży".

— Zinoczka! — powiedział — wyciągnij, proszę cię, kule z wanny. Drugiego dnia Misza wybrał się do wanny już bez kul, tylko trzymając się obu rękoma ściany. Kiedy zamknął za sobą drzwi od łazienki, zjawił się na korytarzu chłopiec z ekspedycji i rzucił na stolik paczkę listów. Zina dopadła do nich, chwyciła jeden trójkątny — z poczty polowej, przycisnęła go do piersi, a potem zatknęła koło szyi za fartuch. Pobiegła do pustej dyżurki. Trójkątnik rozwinął się sam pod jej drżącymi palcami i... oto co przeczytała:

„Miły chłopcze Miszo! Przeczytałam Pana list i stanął mi żywo przed oczyma mój ósmy wagon. Ja, proszę Pana, umiem odczytywać również i poskreślane wyrazy. Nie. Proszę do mnie nie pisać więcej! Teraz jestem już pewna, że Pan powróci do zdrowia. Dobry i miły chłopak z Pana. Będzie Pan miał w życiu dużo przyjaciół. Znajdzie też Pan sobie żonę. Dobrą i lepszą niż ja. Bo ja pod tym względem odpadam. Mam dwadzieścia sześć lat, mam męża i syna. Syna jak raz bardzo podobnego do Pana. Nie widziałam go już dwa lata. Lubiłam patrzeć na Pana, kiedy Pan spał. Wydawało mi się wtedy, że mam przed sobą ukochanego syneczka. A przy tym jeszcze doktor wyrokował o Pana stanie bardzo niedobrze. Bałam się nawet sama pytać go o to. Mówił, że życie gaśnie w Panu z każdą chwilą. Nie mogłam w tej sytuacji nie zajmować się Panem szczególnie troskliwie. Proszę mi wybaczyć ten list.

Niech Pan zatrzyma tę drobnostkę, którą Panu podarowałam. Proszę przybywać na wadze, ale raczej nie nosić go. Żeby Panu rzeczywiście nie wrósł w palec. Całuję Pana serdecznie.

Ania".

Misza już wypoczywał na swoim łóżku, zaróżowiony i nieco osłabiony kąpielą. Grisza za stołem, zacisnąwszy zęby, trenował pisanie lewą ręką. Zina otwarła drzwi i niemal w biegu zawołała:

— Przyszedł list do Nogotowa!

Misza powoli powstał. Jego oczy stały się równie niesamowite jak przed trzema miesiącami. Oboje zauważyli, że na policzkach wystąpiły mu czerwone plamy.

Zina spojrzawszy na Miszę zrozumiała swój fatalny błąd. Co począć? Misza wyciągnął rękę po list. Zina wciąż na niego patrzała bezradnie.

— Ona nie ma żadnego listu — Grisza spojrzał domyślnie na Zinę i odłożył obsadkę. — Przeglądałem pocztę jeszcze przed wszystkimi. — Nogotow... Nogotow... — powiedziała niepewnie Zina, wciąż jeszcze nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji. — Nogotow, to tylko prima aprilis! Dziś jest pierwszego kwietnia i ja sobie taki żarcik umyśliłam!

Wszyscy uświadomili sobie, że dziś jest naprawdę pierwszego kwietnia.

— A niech was!... — Misza usiłował uśmiechnąć się, ale nagle poczuł się nie najlepiej i opadł na łóżko.

Wieczorem usiadł przy stoliku i energicznym charakterem pisma skreślił długi list. Złożył go w trójkąt i przekazał Zinie oraz Griszy, żeby oddali do ekspozycji. Grisza spojrzał zafrasowany na pielęgniarkę i niepewnym ruchem wsunął list za swój bandaż.

W połowie kwietnia Misza zdobył się już na powolne przechadzki po korytarzu szpitalnym. Przesuwał się w szarym wycerowanym szlafroku. Ściany już się nie trzymał. Włosy odrosły mu i sterczały równiutko podstrzyżone jak szczotka. Ręce mu się wzmocniły, twarz zaokrągliła. Zaczął domagać się, żeby mu pozwolono wyjść na prawdziwy spacer po dworze. Pozwolono. Zina przyniosła mu walonki i szynel. Sprowadziła po schodach. Wyszedłszy na światło dzienne, oparł się mocno na kulach. Długo stał, oglądając się niespokojnie i wtulając głowę w ramiona... Sanie, bez końca sanie... Sunęły ze skrzypem po zaspach. Niewidoczne z tego miejsca sikorki odzywały się dźwięcznie hen wysoko, tam, gdzie niebo jest oplecione siatką brązowych witek.

— Zinoczka, gdzie teraz ona przebywa? — spytał.

Zina milczała.

— Co z tobą? Tyś od jakiegoś czasu stała się cichsza niż woda.

— Nie zwracaj na mnie uwagi. Szybko zdrowiej. Może odnajdziesz ją jeszcze.

W maju Miszę wypisano ze szpitala. Dostał skierowanie do sanatorium dla chorych na płuca. Grisza, wciąż jeszcze z ręką w gipsie, ale już bez poduszki, odprowadził go do bramy, serdecznie ucałował i poklepał po plecach.

— Głowa do góry, bracie! Różnie się plecie na tym świecie.

A i Zina opatuliła go w palto przerobione z zielonego szynela i odprowadziła trzymając pod ręką na samą stację.

— Zinoczka! — powiedział, żegnając się z nią w wagonie. — Może jeszcze nadejdzie tamten spóźniający się list. To proszę, przyślij mi go do sanatorium. To samo powiedz ode mnie Griszy.

— Ciągle jeszcze pamiętasz. Dobrze, przyślę, gdy tylko nadejdzie.

W sanatorium leczył się jeszcze przez miesiąc. Listu nie było. I tu znalazła się pielęgniarka, którą zaintrygował pierścionek Griszy. Na odjezdnym Misza opowiedział jej historię pierścionka i też poprosił, żeby odesłała list, gdy tylko przyjdzie, do Nowosybirska: na poste restante.

W Nowosybirsku dali Miszy półroczny urlop: jego lewe płuco nadal było jeszcze mniejsze od prawego. Wyjeżdżając do Moskwy — do siebie — Misza jeszcze raz zaszedł na pocztę. Nie, nie było listu. Mimo to poprosił urzędniczkę z okienka, żeby była uprzejma przesłać ten jeden jedyny list do Moskwy — gdyby przyszedł jeszcze w tym miesiącu, to znaczy w czerwcu. Dziewczyna spojrzała na niego ze współczuciem, westchnęła i zapisała adres.

— Ale gdyby w ciągu czerwca nie nadszedł, to proszę nie przysyłać — dodał po chwili. — I tak pani ma tu dosyć nerwowej pracy. A ja tu jeszcze jakimś listem zaprzątam pani głowę.

W czerwcu list też nie nadszedł. Za to w lipcu, kiedy obładowany podręcznikami, gramolił się po schodach na czwarte piętro, zastąpił mu drogę listonosz i wręczył gruby list w niebieskiej kopercie ze stemplem z Nowosybirska... Miszę ogarnęło znane podniecenie: a więc przyjaciele nie zawiedli! Rozerwał niecierpliwie kopertę... Tkwiła w niej biała, mniejsza. Białą też rozerwał... Znowu koperta. Na niej adres wypisany charakterem pisma Ziny. W tej zaś kopercie leżał jego własny trójkątny liścik do Ani z notatką przez całą szerokość: „Adresat nie znany". Notatka była wyraźnie nabazgrana leworęcznym pismem Griszy i nie było nad nią stempla. Ale tego Misza nie uświadomił sobie.

I tak oto wyleczył się i z ran, i z miłości. Spojrzawszy dużymi oczyma na pierścionek, kilka razy przekręcił go jeszcze na palcu i uśmiechnął się: cuda jakoś nie zdarzają się.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

*) Anine oczka (dosłownie po rosyjsku: aniutine głazki) — bratki. (T.Ch.).

ze str. 1

wypowiedzi. Sądzę, że pierwszorzędny teatr muzyczny jest o wiele bardziej nośny, jak chodzi o treść przekazu, mogę w nim do końca wypowiedzieć swoją myśl, czy stosunek do jakiejś sprawy, co nie zawsze da się osiągnąć jedną piosenką. Myślę, że i piosenka, i teatralna forma, są takim samym komunikatem o ważnych treściach społecznych, tyle że różna jest ich „dystrybucja", przenikanie do obiegu naszego myślenia.

W ogóle teatr jest dla mnie niezwykłym zjawiskiem, gdzie mogą się dziać cudowności, gdzie widz wchodzi w inny świat i ten świat może przemówić, przekonać, wstrząsnąć. Wciąż próbuję zmierzyć się z ideałem, stworzyć kształt teatru muzycznego, jakiego u nas nie ma. W 1981 roku zrobiłem musical pt. „Wesołego powszedniego dnia" — opowieść o miłości, rodzinie, przyjaźni. Całkiem niedawno też byłem tu w Łodzi, na premierze w Teatrze „7.15", gdzie młodzież wystawiła polską wersję amerykańskiego musicalu „HUSTAWKA", do którego napisałem polskie teksty. Całkiem to udatne było. Coś się rusza w tej dziedzinie, choć niestety, nie mamy dobrych tradycji wielkiego teatru muzycznego, ani — kamyczek do ogródka szkolnictwa artystycznego — wszechstronnie wykształconych aktorów, z którymi można byłoby taki teatr robić. Jest trochę zdolnej młodzieży aktorskiej, umiejącej śpiewać i tańczyć, ale brakuje dużych zespołów o mniej więcej wyrównanym poziomie kwalifikacji.

ŻADNYCH ALUZJI, A ŚMICH W NARODZIE — I O TO CHODZI...

— Czy dlatego podupadła piosenka z tekstem?

— Też. Chociaż młodzi zdolni są, znakomici mistrzowie mogący przekazać kunszt — także... a na estradach panuje bełkot, myślowa nicość i chamstwo. Może dlatego, że aby zaśpiewać, zinterpretować piosenkę o czymś — trzeba mieć kwalifikacje? Ja już nie mówię o zwykłej inteligencji, kulturze warsztatowej, no i rozumieniu po co się to robi. Żeby być fachowcem, trzeba myśleć i ciężko pracować. A myślenie — jak dowodzi nauka — męczy, a nawet może być niezdrowe. To po co się fatygować? Można przecież lansować bełkocące panienki, el-leganckie, jak sto pociech, albo panów z czołem myślą nie skalanym, których nijakość skutecznie przytłumi łoskot rockowych decybeli. Ja nie mam nic przeciwko rockowi, czy jakiemukolwiek innemu gatunkowi muzyki, jest przecież pare grup i solistów mających coś do powiedzenia. I na zdrowie. Mam za to wszystko, przeciw bylejakości, prostactwu, bezmyślnej papce zalewającej estrady. Mamy wszak takich znakomitych fachowców, jak Mira Zimińska, Aleksander Bardini, Dziewoński, Kobuszewski, Gołas, Michnikowski. Był „Kabaret Starszych Panów", ze swą cudowną kulturą estradową, z plejadą nazwisk: Kwiatkowska, Jędrusik, Czechowicz. Toż to wszystko aktorzy śpiewający! I mogliby śpiewająco uczyć młode kadry. Nie uczą, bo po co? Teraz są nowi majstrowie, starzy się nie liczą. Kiedyś robiliśmy Radiowe Studio Piosenki, gdzie szlifowało się każdy drobiazg, nim wykonawca trafił na antenę. Teraz? Chałupnictwo, żeby nie powiedzieć wprost — sabotaż wysokogatunkowej sztuki.

Wielu z tych znakomitych artystów tłucze się po Polsce na trasach koncertowych, pracując często w bardzo kiepskich warunkach, gorzknieją, nie mają komu przekazać swego doświadczenia.

Poziom rozrywki „oficjalnej", promowanej w telewizji i przez rozmaite „ESTRADY", ZPR-y, czy inne przedsiębiorstwa państwowe, w żadnym stopniu nie koresponduje z poziomem umysłowym społeczeństwa, i z tym, co można obejrzeć na scenach kabaretów. Nie tego ludzie oczekują, co im się sprzedaje. Jest przerażające ubóstwo intelektualne w tym, co się produkuje za wolą i zgodą instytucji obowiązanych do popierania autentycznych działań artystycznych, ergo — do podnoszenia poziomu kulturalnego narodu.

— Rozrywka gigla widza pod pachami?

— Żeby tylko! Pakuje się straszne pieniądze właściwie w co? W zamulanie umysłów paskudnym wzorcem tandety, brakoróbstwa, drobnomieszczaństwa, konsumowanych bezmyślnie, bez wysiłku.

— Ubolewam nad poziomem umysłowym ludzi decydujących o rozrywce masowej. Sam jestem tradycjonalistą, bliższa jest mi klasyczna konwencja, niż modne eksperymenty, ale nikt nie powiedział, że striptiz w restauracji nie może być wykonany w najwyższym stopniu profesjonalnie. Klasyczna rewie z piórami i schodami także można zrobić na poziomie Folies-Berges. Nie muszą to być nierówno fikające paniusie bez poczucia rytmu.

Potrzeby są różne, jedni szukają wyrafinowanych form artystycznych, inni lubią fachowy cyrk, a jeszcze inni potrzebują piosenki zaśpiewanej do kotleta. No i dobrze. Ale wszystko można robić po prostu profesjonalnie.

Jeśli miałbym powiedzieć, jaka główna zasada w życiu mi przyświeca — to byłaby to: „Cokolwiek robisz — rób dobrze". A jeśli potrafisz — staraj się jeszcze lepiej, mądrzej, doskonalej. I bądź uczciwy w tym, co robisz. Czyż nie na tym właśnie polega tajemnica estrady, by szanując siebie — szanować widza i nie wciskać mu przysłowiowego kitu?

Ten wysoki facet z ruchliwą, nerwową twarzą od tylu lat

WYCIĄGA Z TRUMNY POGLĄD DUMNY,

że człeka stać na śmiech rozumny. Od początków, w kabarecie literackiem w „HYBRYDACH", w roku 1960, pisze swoje piosenki-felietony, z których zwroty, powiedzonka, wchodziły do codziennie używanej polszczyzny. Nazwany został człowiekiem lat sześćdziesiątych, kiedy to osiągnął ogromną popularność i... odtrąbiono jego koniec, z początkiem lat siedemdziesiątych...

Kłócili się o niego krytycy literatury i socjologowie obserwujący zjawisko społeczne, jakim był Młynarski — symbol powojennych przemian obyczajowych i świadomościowych w Polsce. Ludwik Erhardt nazwał go głosicielem folkloru spod budki z piwem, a Stanisław Dygat bronił tej „najlepszej po wojnie literatury obyczajowej", jaką widział piosenki Młynarskiego.

Wzbudzał serdeczną sympatię, był kochany przez młodą inteligencję i równie gorąco niecierpiany przez rozmaite bardzo z siebie zadowolone osoby i ogromnie poważne osobistości. Dla wielu był poetą pochylającym się z sympatią i ciepłą, wyzbytą złośliwości ironią, nad zwyczajnymi ludźmi w ich niespecjalnie udanym życiu. Miał swego bohatera, typa z przedmieścia („Przystanek koło ZOO", „Mam trzydziechę"), śpiewał o „Polskiej miłości", o „Corridzie" życiowej, pytał „W co się bawić". Wielu nie znosiło jego śmieszku w kułak, albo całkiem bezczelnego śmiechu na całe gardło, z przeróżnych idiotyzmów przytrafiających się naszej społecznej egzystencji... „piosenka to jest depesza z nut i słów, która zawiera komunikat, o stanie naszych polskich gęsi z pralni, plakatu i pomnika." Powstawały piosenki etapowe, komentujące kolejne wiraże: „W Polskę idziemy", „Ballada o babci" z 1968 roku („...lecz dokładnie informować babci nikt nie śpieszy, po co babcie denerwować, niech się bacia cieszy..."); „Walec" z 1970, „Układanka" 1976, „Maraton pływacki Sopot-Puck" z 1980.

A potem w latach, kiedy dotkliwie uderzyła weń anatema oficjalna, kiedy ogłoszono jego koniec, pisał libretta do oper („Henryk VI na łowach" — 1972, „Awantura w Recco" — 1976; musical „Cień" — wg. bajki Andersena i dramatu Szwarca — 1973). W 1981 roku odbyła się premiera polskiego musicalu „Wesołego powszedniego dnia"; w telewizji — dwa recitale z cyklu „SZAJBA". I programy autorskie: „Tradycyjna składanka", „Ściany między ludźmi" oraz program poświęcony dopiero co zmarłemu Włodzimierzowi Wysockiemu, gdzie fenomenalnie tłumaczone przez Młynarskiego piosenki Rosjanina, brawurowo wykonali m.in. Piotr Fronczewski i Marek Kondrat. Powstały nowe piosenki własne: „Ballada o strachu na wróble", „Ballada o dwóch koniach", „Diatryba", „Ballada o bezrybiu", „Song szczura", „Ping-pong".

Jest; wcale się nie skończył i dalej jest kochany, podtrzymuje wiarę, że myślenie ma kolosalną przyszłość. Liczni jego zwolennicy sytuują nazwisko Młynarskiego obok Wysockiego, Cohena, Brela, Gilberta Becaud, Brassensa, Freda Buscaglione, Fabrici De Andre. Dodajmy, że Jacquesowi Brelowi złożył Młynarski hołd szczególny. Oto w warszawskim teatrze „ATENEUM", na Małej Scenie, w kwietniu br. miała miejsce premiera przedstawienia opartego na piosenkach poetyckich Brela, przetłumaczonych przez Młynarskiego i wyreżyserowanych przezeń przy współpracy Emiliana Kamińskiego.

— Zdarzały się panu chwile strachu przed wpadnięciem w utartą koleinę?

— No pewnie. Ostatnimi laty nawet jakby częściej. Nie czuję się artystą raz na zawsze ustabilizowanym, bezwzględnie pewnym, czy to, co robię ma sens i wartość. Zmienił się mój stosunek do „publicznego istnienia". Może z wiekiem człowiek wytraca zadziorną waleczność, siłę ataku frontalnego? Większą ma dla mnie wagę fakt, że to, co chcę powiedzieć ludziom, jest przez nich odbierane, że mam możność spotykania się z coraz innymi słuchaczami w różnych zakątkach Polski. Staram się tworzyć dla inteligentnego odbiorcy. Prowokuję go, zaczepiam, prowadzę z nim grę. Moje piosenki coś przekazują, a to jest także wyzwanie intelektualne wobec słuchacza... oczywiście pod warunkiem, że ja sam z wiekiem i z czasem nie zgłupieję, że jeszcze mam co powiedzieć tym, którzy przychodzą mnie słuchać.

NIE ZAWSZE TWÓJ BAS DOCIERA DO MAS —

czasami trzeba piano! Tak to jest, łatwo być prześmiewcą „na fali", bo wolno, bo poluzowało. A wtedy właśnie warto przypomnieć sobie powiedzenie, że lekkie puknięcie się w czoło daje czasem lepsze rezultaty, niż bicie w dzwony.

I wciąż boję się pójścia po najmniejszej linii oporu... koniunkturalizm jest wygodny, łatwo spocząć na laurach i odcinać kupony od własnej „wspaniałości"... zawsze uważałem, że laury

Stańczyk optymista

powinny być kolczaste, żeby, gdy się na nich osiądzie — kłuły gdzie trzeba. Przybywa praktyki, tej rzemieślniczej biegłości posługiwania się warsztatem, ale rosną też wątpliwości, lęk, czy w dobrą stronę maszeruję z tymi moimi piosenkami. Rośnie świadomość siebie, przybywa boleści przy pracy, skreśleń, poprawek, szlifowania. I czasem człowiek się boi, że to tylko próżne mnożenie słów, że nikomu to niepotrzebne, daremne... coraz większy jest koszt psychiczny...

— Koszt własny bycia człowiekiem publicznym...

— To wliczam, jasne. Jeśli czegoś się boję, to maski „etatowego" pocieszyciela strapionych, czy jakiejś innej sztywnej kolczugi, zza której przestanę być słyszany. Publiczność — to ostateczny sędzia każdego artysty, ona osądza surowo, ona wydaje werdykt nieodwołalny, a nasza publiczność nie jest głupia. To co, że podobasz się własnej żonie, że chwalą przyjaciele, dopiero pełna publiczności sala decyduje, czy to, co robisz ma wartość. Bo przecież sztuka zaczyna istnieć dopiero przez odbiór, dopiero, gdy komuś jest potrzebna.

Paru wartości pilnuję: profesjonalizmu, już mówiłem, to najważniejszy wyznacznik pracy; chronienia luksusu niezależnego myślenia, wewnętrznej niezawisłości, bez której nie ma artysty. Chyba najgroźniejszą rzeczą, jaka się może przytrafić, jest polubienie siebie, samouwielbienie. No i prostota, komunikatywność przekazu, klarowność myśli adresowanej do odbiorcy. Chciałbym, żeby ludzie byli ładniejsi, lepsi, to jasne, gdybym nie wierzył, że można coś zdziałać, pewnie uprawiałbym pietruszkę. Jednego nie chciałbym — utrwalania w ludzkich goryczy, beznadziei, niewiary, bezsiły. Staram się moimi piosenkami zaszczepić ludziom, własnym dzieciom także, optymizm.

Ten zaś wiąże się w oczywisty sposób z pewnym zasobem szarych komórek, z poczuciem zdrowego rozsądku, zdrowego instynktu, niezawodnie obnażającego każdą blagę i lipę. Nie chodzi — broń boże — o kretyński optymizm bezkrytycznej afirmacji, lecz o te imponderabilia, pozwalające w życiu zmierzać ku istotnym wartościom. Chciałbym bardzo, by wygrywała filozofia mądrej nadziei, że naprawdę ostaną się tylko te rzeczywiste wartości elementarne: uczciwość wobec siebie, wiara w sens rzetelnej pracy. Że przetrwać mogą tylko ludzie budujący świat na prawdzie, że matactwo i fałsz, i klajster prędzej czy później same się zdemaskują.

Nawet dzisiaj, kiedy na scenach tak wiele jest nadmuchanych idoli, tyle picu z fotomontażem i prostactwa, nie tracę nadziei że wróci czas piosenek opowiadających o zwykłych ludziach, o miłości, starości, przyjaźni śmierci. Zresztą — nawet w apogeum mody na decybele, ludzie potrzebują zwykłej liryki, delikatności, prostoty. Czy nie było takim znamiennym faktem poruszenie jakie wywołał Cohen? Ten gość przebił się ze swoją ściszoną poezją, bo uniwersalne treści będą zawsze aktualne i nawet najbardziej zmasowane wysiłki, by oduczyć ludzi od myślenia, nie mają szans...

Kończy się półtoragodzinny recital w Klubie „77" w Łodzi. Przez cały czas wracała kanwa podstawowa, żeby nie czekać na walec, co przyjdzie i wyrówna... Publiczność dziękuje Wojciechowi Młynarskiemu — i będzie czekała znowu na jego wizytę.

(...) Niemało się nagryzłem warg,
I ciągle się na błędach uczę,
Nieźle już umiem zginać kark
I zdrowo w życiu się nakluczę.
Lecz przecież wierzę — wyznam wam,
Że przeciwnościom losu sprostam,
Że jedną w życiu drogę znam
Jasną i prostą, jak Piotrkowska.
I wiem, nim w życie zacznę grać,
Złorzeczyć, kochać, ufać, wątpić,
Że trzeba jeden adres znać,
Pod który zawsze można wstąpić.
Pod który śmiało można pruć,
Gdzie uśmiech rzucą ci choć jeden.
I ja znam taki adres: Łódź, Piotrkowska 77.

Rozmawiała:
JOLANTA WROŃSKA.

Foto: Grzegorz Galasiński

Polemiki • Listy • Opinie

„MANIFEST ANTY-VIDEO"

Zdaje się, że całkiem przypadkowo znalazłem receptę na to, by zaściankowy felieton w zaściankowym (wybacz Redaktorze Naczelny „Życia Pabianic") tygodniku znalazł „odgłosy" w mieście wojewódzkim. Wystarczy wziąć na felietonowy widelec głośny i modny problem, spojrzeć nań od nieco innej strony, przedstawić w felietonowy, więc przerysowany sposób jego ewentualne następstwa, przyprawić wszystko sceptycyzmem, nadać tytuł rzucający się w oczy i już jest skutek. I to jaki! Redaktor wojewódzkiego tygodnika zaraz felietonistę złaje, wykpi, zapędzi w kozi róg, nazywając go dziwakiem ze wskazaniem: niebezpieczny. Niebezpieczeństwo się omija lub zwalcza, przed niebezpieczeństwem ostrzega się, a wszystko to razem wyraził Redaktor Lucjan Bogusz w swym komentarzu („Odgłosy" nr 15 z 13.04. br.) do felietonu „Manifest anty-video", jaki pomieściłem w lokalnym tygodniku.

Jakież to niebezpieczne poglądy (i dla kogo?) wyraziłem w swym felietonie? Otóż będąc przekonanym o nieuchronności rozwoju i u nas video-kultury, pozwoliłem sobie wyrazić kąśliwe przypuszczenie, że przygwoździ to do telewizorów spore rzesze ludzi, a konkurencji tej nie zdzierżą inne, tradycyjne środki przekazu wartości kulturowych. Tylko tyle i aż tyle. Wyraziłem to — przypominam raz jeszcze — w felietonowy czyli specyficzny sposób. W jubileuszowym „Przekroju" z 14.04. br. Mariusz Walter, dyrektor ITI Video-Service nie felietonowo, a całkiem poważnie snując przypuszczenia jak będzie wyglądało życie za 40 lat, wyraża się tak: „(...)Mnogość wyboru źródeł nadawania kultury obrazkowej sprawi pewnie, iż karłowacieć będą w fotelach nasi prawnukowie, a ze ścian, dziś już z rzadka bibliotekami podpartych, znikną książki. W ich miejsce instalować się będzie domowe centra audio-video nabywane na raty (...)".

Może taka wizja fascynować, a może i dziś, anno 1985, nieco przerażać. Mnie akurat przeraża i dlatego jestem — zdaniem redaktora Bogusza — niebezpieczny. I pomyśleć, że w tej samej publikacji, choć w nieco innym kontekście, ten sam redaktor zadaje pytanie: „(...) czy jesteśmy społeczeństwem kulturalnym, *tolerancyjnym* i nowoczesnym, czy też nadal tkwimy w opłotkach obskurantyzmu, fanatyzmu i ciemnoty?(...)". Ech, tolerancja, tolerancja....

Podejrzewam, że głównym powodem, dla którego Lucjan Bogusz postanowił skomentować mój felieton jest to jego zdanie: „Nie udało mi się, jak dotąd, przeniknąć do żadnej z video-elit i nie wiem, dalipan, *w jakim nastroju odbywają się te seanse*". Pod piórem Szanownego Polemisty owo zdanie przekształciło się w stwierdzenie, że *„nie wiem jak się takie seanse odbywają"*. Utwierdza mnie w tym przekonaniu jeszcze dwukrotnie komentator pisząc „jak można pisać o groźbie video-kaset, przyznając się jednocześnie, że czegoś takiego nie wdziało się" oraz „najbardziej lubię, jak o czymś wypowiadają się ludzie, którzy nie mają o tym zielonego pojęcia".

Swoją drogą, ciekawe jakież to video-kasety oglądał Lucjan Bogusz, że tak zażarcie za nimi optuje i jakiego koloru jest jego o tym pojęcie?

BOGDAN RUTA

PS. Ponieważ publicznie w „Odgłosach" nazwano moje poglądy niebezpiecznymi, nie chcąc uchodzić za wroga publicznego nr 1 postępu, rad byłbym, gdyby ten list również ukazał się na Waszych łamach.

TEGO NIGDY NIE ZAPOMNĘ

Tanneberg, mała wiejska osada, leżąca na trasie Annaberg—Gayer nie przeszła, i zapewne nie przejdzie nigdy do historii II wojny światowej. Kilkanaście zagród chłopskich, napędzany turbiną wodną tartak oraz pracująca wyłącznie dla mieszkańców osady piekarnia, nie były nigdy celem nalotów lotniczych i nie stanowiły żadnego punktu strategicznego w działaniach wojennych.

Mieszkańcy osady to: około trzydziestu kobiet, kilku wyrostków z „hajotu", kilkunastu powyżej sześćdziesiątki mężczyzn, i najbardziej liczna, rzucająca się w oczy gromada dzieci.

Całość uzupełniało dwóch obcokrajowców-robotników. Jeden, to poczciwy, zawsze zamyślony i milczący Francuz Gaston, drugi — to ja.

Życie płynęło tutaj spokojnie, a jak na owe czasy, można by rzec nawet że sielankowo. O wojnie wiedziano tylko z komunikatów radiowych, przychodzącej z opóźnieniem prasy, i zmniejszaniem raz po raz norm przydziałów kartkowych na żywność i opał.

Jednak ilekroć sięgam pamięcią do owych dni, z miejscowością tą zawsze będzie łączyło mnie to, co można nazwać najpiękniejszym i najradośniejszym dniem w życiu. Tu doczekałem się zakończenia wojny, wojny która była jedną z najbardziej krwawych, jakie zna dotychczas historia. Tu poznałem smak tego, co nazywa się wolnością. Byłem wolny!

Na ten dzień czekałem tygodnie i miesiące, czekałem prawie sześć lat. Od wiosny do lata, od lata do jesieni, od jesieni do zimy... Liczyłem każdy dzień niewoli, nie wiedząc ile jeszcze ich pozostało.

Wiosna tego roku pokazała się w całej swej dostojności i krasie. Tylko te noce majowe, które pamiętałem jeszcze z kraju — ciche i spokojne, były inne. Cisza, raz po raz przerywana była złowrogim, poprzedzanym dalekimi błyskami, odgłosem dział artyleryjskich. Kanonada dział grzmiała od wschodu i zachodu, od południa i północy. Co dzień bliższa, donośniejsza, potężniejsza.

Spokojna dotąd osada zaczęła naraz żyć innym rytmem, odmiennym od dotychczasowego szablonu. Wdarł się chaos, przestał istnieć dotychczas sprawnie działający ład i porządek. Wieść o śmierci Hitlera i kapitulacji Berlina przyjęta została z wielką ulgą, może nawet i radością.

Przez osadę przejeżdżają i przechodzą dziesiątki różnych formacji wojskowych. Lawina niedobitków prze naprzód, bez celu, oby tylko jak najdalej od frontu. Na zarośniętych twarzach żołnierzy widać lęk, znęcenie, rezygnację. Niektóre oddziały zatrzymują się na godzinę, najwyżej dwie. Bowiem tyle czasu potrzeba na przeszukanie domostw, rekwizycje żywności i... cywilnych ubrań.

W rowach, na poboczu szosy, dziesiątki porzuconych karabinów, stosy amunicji, całe, nienaruszone skrzynie, pełne osławionych „pancerfaustów".

W osadzie zaczyna panować głód, efekt zarekwirowanej żywności. Kartki żywnościowe stają się bezwartościowym papierem bez pokrycia.

Ktoś przypomniał sobie, iż z pokrzyw, które już w maju tutaj obficie wyrosły, można ugotować zupę. I w ciągu jednego dnia na pobliskich łąkach zniknęły wszystkie pokrzywy.

Ktoś odkrył zakopcowane, przeznaczone na kontyngenty wojskowe, ziemniaki. Wystarczyło kilka godzin, aby z kilkudziesięciu ton ziemniaków nie pozostało śladu.

7 maja 1945 r. Kanonada dział powoli zanika.

8 maja 1945 r. Mimo nieprzespanej nocy, obudziłem się tego dnia dość wcześnie. Leżąc na swym słomianym barłogu, nie wychylając się i nie podnosząc, spojrzałem przez okno. Niebo było czyste i bezchmurne, a słońce całą pełnią swojego blasku i majestatu wdzierało się do mieszkania, prowokując do wstania. Nie miałem jednak żadnego powodu skorzystać z tej nęcącej propozycji. Bo i po co? Do pracy nie chodziłem już od kilku dni, a mój towarzysz pracy Gaston, zniknął gdzieś, nie dając od kilku dni żadnego znaku o sobie. Nie było z kim porozmawiać, a głód skręcał kiszki. Przekręciłem się na drugi bok, nakrywając głowę kocem. Jedno tylko miałem pragnienie, zasnąć na parę godzin, oszukać żołądek, przetrzymać, dożyć, doczekać...

I nagle, kiedy zdawało się, że za chwilę usnę, usłyszałem gdzieś z dala śpiew. Zrywam się z barłogu i podchodzę do okna, chcąc wiedzieć komu dzisiaj tak wesoło i radośnie. Nie rozumiem słów, ale znam melodię. To Marsylianka!

Patrzę i nie wierzę, przecieram oczy... Środkiem szosy maszeruje kolumna żołnierzy, w mundurach całkiem odmiennych jakie do tej pory widziałem. Na czele kolumny chorąży z rozwiniętą, powiewającą prawie nad całą kolumną flagą. Znam te kolory jeszcze z lekcji geografii w szkole podstawowej. To trójkolorowa flaga Francji, pod którą jeńcy francuscy z pobliskiego lagru wracają do swych domów.

Na każdym zabudowaniu powiewa biała flaga, i chociaż nie każda kształtem przypomina flagę, to wszystkie są nieskazitelnie czyste, białe, poddańcze. Jak szalony wybiegam z mieszkania.

Nareszcie! Wolny! Teraz tylko jeden cel — do domu!

Około południa w osadzie pojawił się patrol amerykański, a w odległym o trzy kilometry Annabergu były już wojska radzieckie.

W dwa dni później, w odkrytej węglarce, ale już wolny i najedzony wracałem do Polski.

LESZEK MALAŃSKI

„MAŁOLATY POD BRONIĄ"

Nie prowadzę statystyki, ale chyba już kilkanaście artykułów w swoim życiu przeczytałem na temat szkodliwości zabawek militarnych.

Kiedyś na swój własny użytek zapytałem 43 zawodowych oficerów, czy w dzieciństwie pasjonowali się zabawkami militarnymi: tylko jeden potwierdził, że interesowało go to i wpłynęło na wybór zawodu.

Uważam, że problem ma taką samą wagę, jak ten, czy zabawa lalkami wpływa na zwiększenie ciąż pozamałżeńskich, lub czy kupienie dziecku piłki nożnej stwarza dużą szansę, że wyrośnie z niego piłkarz.

Mnie się wydaje, że rzecz ma się odwrotnie. Zabawa wojskiem czy w wojsko stępia w starszym wieku zainteresowanie militariami. Pamiętam, że w czasie wojny bawiliśmy się namiętnie w wojnę, śmieszne ale prawdziwe. Wycinaliśmy pistolety i szable z dykty i prowadziliśmy podwórkowe wojny, a ta prawdziwa toczyła się obok. Nigdy mnie potem wojsko nie interesowało. Zabawa pistoletami, armatami czy figurkami, jest tak naturalna w wieku dziecięcym, jak w późniejszym czytanie książek. Problem chyba nie w istocie, a w rozmiarze zainteresowań. Naturalnie jeśli dziecko przez cały dzień „strzela" i „zabija" i niczym się innym nie interesuje, to rzecz jest szkodliwa, jak szkodliwe będzie siedzenie przez kilkanaście godzin w kościele. Więc nie przesadzajmy, tylko zwróćmy uwagę na rozmaitość zabaw dziecięcych.

JERZY KACZMAREK
Lublin

DLACZEGO NIE MA W BUSKU?

Przebywałem ostatnio na kuracji w Busku, gdzie znajduje się wielki kombinat leczniczy „Włókniarz", do którego przyjeżdża wielu łodzian. Miejscowe kioski „Ruchu" dysponują tygodnikami z całego kraju (i słusznie, bo Busko odwiedzają przybysze z różnych stron Polski) — z wyjątkiem jednego tygodnika: łódzkich „Odgłosów". Daremnie liczni łodzianie dopytywali się o ten tygodnik. Sądzę, że kielecki „Ruch" powinien w najbliższym czasie wypełnić tę rażącą lukę.

Z wyrazami poważania —

TADEUSZ GICGIER

BŁĄD W CYTACIE

W 16 numerze „Odgłosów" z 20.IV. br. ukazała się recenzja pióra Piotra Łuszczykiewicza ze zbioru mych wierszy wybranych „Przypowieść o podróży". Recenzja rzetelna i wnikliwa, co nie jest dziś zjawiskiem częstym. Dlatego zdumiał mnie passus, stwierdzający, że „z drugiej jednak strony poważnie niepokoi fakt absencji poety w licznych antologiach, w których twórczość „łódzkiego barda" nie znalazła po prostu swojej reprezentacji". Autor stawia przy tym hipotezę, że omawiana książka jest „swego rodzaju rekompensatą" takiego stanu rzeczy. Bardzo dziwne postawienie sprawy, do tego niezgodne z prawdą. Wymienię przykładowo tylko trzy antologie, w których jestem reprezentowany: „Wiersze dla was", zbiór utworów współczesnych poetów polskich, którego drugie wydanie wkrótce się ukaże, „Piąty wiek fraszki polskiej" oraz wydane niedawno „Żądło i miód mądrości" — wybór aforyzmów od Aleksandra Fredry do Sławomira Mrożka. Nie jest, rzecz jasna, tak dobrze, jakbym tego pragnął, ale i nie tak źle, jak to suponuje Piotr Łuszczykiewicz.

I jeszcze jedno: w recenzji został zacytowany wstępny fragment wiersza „Oczekiwanie" — fragment fatalnie zniekształcony. W oryginale brzmi on:

Więc nic się nie spełniło, nic nie dokonało,
choć przekroczyłem właśnie wędrówki połowę.

W tekście recenzji fragment ten przybrał postać następującą:

Więc nic się nie stało, nic nie dokonało,
choć przekroczyłem właśnie półmetka połowę.

Jak to się „stało", jak „dokonało"?. No i ta „połowa półmetka". Brr. Bardzo proszę o sprostowanie cytatu.

TADEUSZ GICGIER

CO SIĘ OPŁACA?

Nie posiadam kalendarzyka wolnych sobót. Wydaje mi się, że jest on zbyteczny. Wystarczy wyjrzeć z okna na tłum ludzi okupujących pobliski sklep spożywczy, sterty paczek z prasą pod kioskami, aby skojarzyć sobie, że dziś właśnie — mamy wolną sobotę....

Poza tym wolna sobota, to braki świeżego pieczywa, nabiału w domu, bowiem komu dziś czasu i sił wystarczy, aby wystawać w tasiemcowych kolejkach do sklepów spożywczych i przemysłowych. Potrzebne są człowiekowi dni wypoczynku, wytchnienia na regenerację sił fizycznych, umysłowych, lecz nie takim kosztem.

Wydaje mi się nieco dziwne i problematyczne w dobie powszechnego kryzysu, w tym i dostępu do dóbr kulturalnych, iż mamy dużą sieć placówek kulturalno-oświatowych, które w wolne soboty są niedostępne dla dzieci i młodzieży. Zamknięte na cztery spusty, chociażby pobliski klub SM — „Chojny". A i w dni powszednie, dzieci jakoś omijają z daleka ten przybytek kulturalny. Co najwyżej mogą popatrzeć przez szybę w oknie na kolorowy telewizor, pianino, inny sprzęt drogocenny, zakupiony za nasze, spółdzielcze pieniądze, służący jako „dekoracja" wnętrza klubu.

Mam pewne uznanie dla pracowników tej placówki za utrzymanie porządku i czystości, ale obowiązkowe wchodzenie w kapciach do klubu, jak do muzeum — wydaje mi się lekką przesadą. Nie może istnieć sztuka dla sztuki. Nie może istnieć klub, który wyłącznie jest nastawiony na „rozdzielnię" wszelkiego rodzaju kursów. Dzieci chodzące „samopas" po osiedlu (mam na myśli te niezorganizowane) ubłocone w błocie i piachu, z powodu braku innej rozrywki, stwarzają pewne utrapienie dla samych rodziców i wychowawców. Wiadomo czym „skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość cuchnie".

Niegdyś mogłem zaopatrzyć się w czasopisma w pobliskim kiosku w czasie wolnych sobót i świąt. Dziś tylko nieliczne są czynne. Pozostała prenumerata czasopism. Albo ekspedycja. Wprawdzie wiążą się z tym uciążliwe dojazdy, ale perspektywa otrzymania czasopism na wolne soboty i niedziele — stała się realniejsza. Sielanka trwała zaledwie kilka tygodni. W ostatnim czasie na półce nr 326 w ekspedycji PUPiK, Oddział Łódź—Śródmieście prawie zawsze czegoś brakuje: a to nie dowieźli na czas, nie rozdzielili itd itp. Odbiór czasopism uzgodniliśmy na sobotę, a ostatnio zaproponowano mi odbiór w poniedziałek... Musztarda po obiedzie. Po co i komu są potrzebne czasopisma tygodniowe w poniedziałki? Tego nikt nie mógł mi wytłumaczyć. Ale pieniądze zostały z góry pobrane za dystrybucję czasopism. Jaka z tego korzyść dla czytelnika?

Przechodzę ulicami miasta. Widzę całe sterty makulatury przed sklepami, w punktach skupu surowców wtórnych. Składane na wolnym powietrzu — niszczeją i gniją. Paradoks. Jadę na wycieczkę poza miasto. Niewielki kompleks lasku tuszyńskiego, a ile tam połamanych drzew, wykrotów, pni i gałęzi. Zalegają leśne poszycie, czekają na ukształtowanie torfowiska... Identyczny widok przedstawia się w innych lasach. My natomiast narzekamy na brak surowca do produkcji papieru. Odpady niszczeją. Kto się tym zajmie? Może powołać jeszcze jedną, specjalną komisję. W każdym sklepie na dobrą sprawę mogłaby powstać składnica surowców wtórnych z opakowań tekturowych, worków, innego papieru.

Niegospodarność, marnotrawstwo surowców podstawowych, wtórnych, klęski urodzaju, anomalia występujące tu i ówdzie, spowodowane brakiem operatywności, przedsiębiorczości w naszym handlu, usługach dla ludności — oto są nasze podstawowe plagi.

Wszystko jakoś nam się nie opłaca. O wiele bardziej opłaca się windować ceny w górę, niż w dół. Klient nie wybrzydza i tak musi kupić, co mu handel zaoferuje w dobie kryzysu, ale czy zawsze tak będzie? W końcu trzeba nauczyć się szanować, oszczędzać, kalkulować i liczyć, co się lepiej opłaca. Produkować w dalszym ciągu buble, marnować surowiec, przeceniać i w efekcie dokładać do interesu? Czy też kupić taniej, więcej sprzedać z minimalnym zyskiem, by nie niszczył się surowiec i wyprodukowany gotowy artykuł spożywczy, przemysłowy.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Władcy nafty nie kupią wieży Eiffla

Jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia, aby „Wall Street Journal", bardzo surowy, najlepiej poinformowany na świecie dziennik sfer finansowych, ośmielił się opublikować, i to na pierwszej stronie, artykuł na temat wyskoków, jakich dopuszczali się w czasie wolnym od obrad królowie nafty, którzy zebrali się ostatnio w Genewie. Odrzuciwszy wszelką rewerencję i całą pełną szacunku bojaźń, dziennikarz wykpiwał cenę pancernego, naszpikowanego złotem Rollsa szejka Yamaniego, saudyjskiego ministra do spraw ropy naftowej; pokpiwał sobie na temat apartamentu w hotelu Intercontinental, o który poszła ostra kłótnia z księciem Azizem Al-Thami z Kataru; na temat taryfy (10 tys. franków) stosowanej przez panienki za zabawianie tych panów itp. To było niesłychane! Cały dzień, zapominając o cenie ropy naftowej, uczestnicy konferencji mówili tylko o tej zbrodni obrazy potentatów i darli dziennikarskie akredytacje.

Ale zło w Genewie już się stało i wywołało wielkie zdumienie: „Wall Street Journal" ośmielił się kpić z bogów. Naftowi miliardowi idole utracili swą świętość, skończył się także — i to jest znak nowych czasów — lęk, jaki budzili niegdyś.

Niegdyś — to było jakby wczoraj, czyli na początku lat siedemdziesiątych — nastąpiły wstrząsy dwóch „szoków naftowych", które zachwiały gospodarką całego świata, a szczególnie świata zachodniego. „Arabowie", jak mówiono, odkryli broń absolutną — miliony ton ropy naftowej skryte pod piaskami — przy pomocy której mogli dać mata pysze bogatych krajów. Zawładnęli naszą krwią, naszą „energią" i każąc nam płacić za „transfuzje" ceny, jakie im się podobały, stali się naszymi panami.

Pamiętamy naszą konsternację i ich upojenie, którego olśniewające i połyskliwe aspekty mimo wszystko fascynowały nas. To były baśnie i... rachunki z tysiąca i jednej nocy! Pojawiły się galabije w naszych najświetniejszych salonach jubilerskich, w naszych najpiękniejszych alejach, w naszych najwykwintniejszych pałacach, w naszych kasynach gry. Rollsów było tyle, jakby spadały z deszczem (sam widziałem kiedyś w Szwecji emira, który dysponował innymi na każdą porę dnia: błękitnych używał rano, szarych — po południu, czarnych — wieczorem...), szalone kwoty wydawane na zakupy z powodu kaprysu i pragnienia zbytku. Wszędzie nabywane rezydencje, statki, jak ze snów. I pytano szeptem: „A czy słyszał pan, że „oni" kupili „Ritza"? (w 1979 r.). Że pan Tamraz, libański biznesmen, kupił za jednym zamachem, podpisując czek na 25 milionów dolarów (wciąż w 1979 r.) na rzecz książąt saudyjskich: Grand Hotel, Cafe de la Paix, Meurice i Prince de Galles? Że pan Gaith Pharaon jest właścicielem zamku Monfort, który panuje nad Dordogne koło Bergerac, a emir Kuwejtu posiada zamek Louvois na brzegu Loary? A czy pan wie, że szejk Zajed Ibn Sultan Al Nahyan z rozwianą na wietrze galabiją, na kasztanie, poluje z łukiem w swej posiadłości w Aisses (300 hektarów)? A czy panu wiadomo, że saudyjski książe Turky dał się ograć pewnego wieczoru na 7,5 miliona franków zawodowym szulerom? Że książę Fahd podróżuje pływającym pałacem, „Abdul Aziz", który jest wart 360 milionów franków i posiada łoże ze złota, łazienki z lapis-lazuli, baseny, lądowiska dla helikopterów na pokładzie, supernowoczesną salę szpitalną, sauny i tutti quanti? A te rezydencje o przygniatającym luksusie w Cannes, Paryżu czy Londynie, gdzie w pobliżu Kensington posiada on pałac o dwudziestu jeden salonach, za który zapłacił 50 milionów franków, w którym wykonano prace warte sto milionów, i w którym spędza jeden tydzień w roku! W hiszpańskiej Marbelli — posiadłość o stu pokojach z przylegającym do niej meczetem. W Szwajcarii, w pobliżu Genewy — przytulny domek nabyty za 128 milionów z basenem pokrytym mozaiką, składającą się z 800 tysięcy kafelków, z czego 40 tysięcy ze złota. Itd itd...

Słowem, nie ustawano, z uczuciem fascynacji przemieszanej z dezaprobatą, lękiem i złośliwą zawiścią, otwierać szeroko oczy wobec tego potoku — Amazonki, Niagary — złota, przepływającego przez ręce „Arabów". Cóż można było zrobić? Przyglądano się. Jeśli było możliwe, a zdarzało się to nader często, wyrywano im parę piórek mimochodem, bowiem kupowali wszystko bez targowania się, z zamkniętymi oczami, ale otwartą kiesą. Pewna angielska dziennikarka przebrała się pewnego dnia za żonę szejka, aby stwierdzić, że w boutique'ach przy Regent Street ceny skoczyły o 40 proc., kiedy tylko ją dostrzeżono. W Neuilly, u zbiegu bulwarów du Chateau i d'Argenson za plac o powierzchni 2.600 m kw. zażądano od pewnego „Araba" po 12 tysięcy franków za metr kwadratowy. Przy bulwarze Mounoury inny dał zadatek, bez oglądania, za dom, którego widok, kiedy już wreszcie raczył się tam udać, bardzo go zirytował. „Nie chcę go!" Proszę bardzo. Jednak pieniądze już przepadły. Trudno.

„To były czasy, kiedy Arabowie byli oszukiwani przez prawdziwe zgraje ludzi bez skrupułów, sprzedających im byle co — opowiada znany krawiec — ścierki z Chin stawały się jedwabiem, zwykłe szkło — kryształem, biżuteria czwartego gatunku kosztowała miliony. Ponieważ kupowali wszystko, wszystko przepłacali i nie istniały granice szaleństwa jednych i zachłanności drugich".

W tym samym czasie Zachód dygotał ekonomicznie ze strachu i giął się w ukłonach przed książętami, królami i emirami, dyskutując o interesach z ich przedstawicielami, popijającymi bez przerwy whisky — dla oszukania Koranu w filiżankach — i rozdającymi u wejść do pałaców 500-frankowe banknoty jak konfetti.

I oto wielka nowina. Skończyło się. „Cud rozpłynął się w powietrzu" — mówi pewien znany człowiek biznesu. „OPEC jest zdany na łaskę losu" — piszą ekonomiści. A pan Chalandon, były prezes towarzystwa Elf-Aquitaine, stwierdza: — „Nie należy wykluczać śmierci OPEC". Pan Saeed al Otaiba, minister do spraw ropy naftowej Zjednoczonych Emiratów Arabskich, który zajmuje się również wierszowaniem, napisał w tym roku w poemacie: „Po dniach chwały staliśmy się jagniętami w dżungli. A wilki rynku krążą dokoła nas!". Powtarzam — to wielka nowina. Należy wziąć, oczywiście, poprawkę, jeśliby zbyt głęboka litość kazała wam uwierzyć, że „Arabowie" znaleźli się na ulicy i lada moment zapukają do drzwi przytułków dla ubogich. No nie, to jeszcze nie jest nędza. Krol Fahd może wciąż doposażać swój statek. Książęta wciąż mają za co kupować zegarki i wille. Emirowie mogą sobie pozwolić na konie czystej krwi i piękne drogie kobiety. Kraje arabskie stać było na wyrzucenie w kosmos satelity za 28 milionów dolarów. I jeśli pan Khashoggi sprzedaje swój bajeczny jacht „El Nabila", to nie po to, aby wiosłować w kajaku, ale dlatego, żeby pływać statkiem jeszcze piękniejszym. (To prawda, tyle że miał on sporo kłopotu z pozbyciem się „Nabili", którą nabył ostatecznie sułtan Brunei. Tak, ale taki sułtan jest jeden tylko na świecie i tu pojawi się prawdopodobnie niebawem problem: komu odprzedać te szaleństwa, kupione za ciężkie pieniądze, jeśli zabraknie w końcu klientów wystarczająco bogatych, chętnych do podpisywania czeków). Jak by nie było, uciszmy nasze lamenty. „Arabowie" mają wciąż jeszcze ropę naftową i drobne oszczędności, ale jednak...

Jednak „cud rozpływa się". Pewien jubiler mówił mi: „Często bywam nad Zatoką. Tym, co mnie uderzyło jeszcze kilka lat temu w tamtejszych stolicach, była niezwykła liczba żurawi, dźwigów, jak w Paryżu, jeśli pan pamięta, w latach naszej prosperity. Dziś można by powiedzieć, że stado żurawi odleciało... Tempo prac budowlanych znacznie osłabło". I dodaje: „Jeśli chodzi o naszą branżę, to znów na czoło zakupów wysunęły się Stany Zjednoczone. Jeszcze wczoraj 55 proc. zakupów dokonywali Arabowie, dziś — tylko 30 proc. Inny przykład: uniwersytet w Riadzie, 600 tysięcy metrów kwadratowych. Najrozleglejszy, najpiękniejszy na świecie. Laboratoria wyposażone najlepiej, jak tylko można. Prawdziwa beczka bez dna na dolary — miał przyjmować tysiąc studentów przybywających z całego świata, aby zdobywać najnowocześniejszą wiedzę we wszystkich dyscyplinach. Jeden z budujących go francuskich inżynierów mówi: „Cudowny, ale wkrótce będzie w nim można jeździć na wrotkach. Rządy spostrzegły prędko, że zbyt szybka i zdecydowana modernizacja może spowodować produkcje kontestatorów ich władzy. Pamiętają o losie Szacha...".

I tak we wszystkich dziedzinach era wielkich robót przeminęła, a liczba tych, które są kończone jest niewielka. Nadszedł więc antykryzys naftowy wraz ze swymi wstrząsami, które tym razem powodują chwianie się OPEC. Od tej chwili w nieodwracalny sposób nie kontroluje on już rynku, a jego produkcja spadła z 56 proc. do 35 proc. W 1984 r. na 48 milionów baryłek produkowanych codziennie na świecie, tylko 15 milionów należało do OPEC, a pozostali producenci, tj. Meksyk, ZSRR, kraje Morza Północnego zapełniają rynek w 64 proc. Takie są brutalne fakty, które dzieją się na naszych oczach, niegdyś olśnionych: zyski OPEC, które w 1980 r. wynosiły 281 miliardów dolarów, spadły gwałtownie do 158 mld w 1984 r. Arabia Saudyjska w tym samym roku odnotowała deficyt budżetowy w wysokości 13 miliardów dolarów i Riad był zmuszony po raz pierwszy sięgać do swych zagranicznych zasobów. Abu Dhabi, który wytwarza dwie trzecie budżetu federalnego, stwierdził, że jego produkcja spadła z 800 tysięcy do 600 tysięcy baryłek na dzień, czyli o 25 proc. Stąd deficyt w wysokości 1 miliarda dolarów w 1984 roku. — w tym samym, w którym Emiraty poznały często występujące przerwy w dostawach prądu, zanotowały opóźnienia w zapłatach za dostawy, zadłużenie państwa i 20-procentowe zmniejszenie się importu.

W jaki sposób było to, na Boga, możliwe? Jak się to stało? Przede wszystkim dlatego, że Zachód, wczoraj w ślepej uliczce, podjął wyzwanie, i to tak energicznie, że można się zastanawiać, czy obydwa kryzysy paliwowe nie były dla niego błogosławieństwem. Nie, władcy ropy nie przewidzieli tego fantastycznego skoku, który ma nawet swoją nazwę „szturm na postęp techniczny". Tak więc — wierci się. Na Alasce, w Morzu Północnym, w Meksyku, w Norwegii. Owoce przynoszą badania nuklearne — mnożą się elektrownie atomowe. Taka Francja na przykład w 1973 r. skonsumowała 111 milionów ton ropy naftowej, a w 1984 r. — 77 milionów ton, w tym energetyka zużyła w 1973 r. — 14 milionów ton, a dziś — 1 milion ton! Na całym świecie, wciąż dzięki postępowi technicznemu, spożycie benzyny przez pojazdy kołowe spadło o 30 proc. Udział kosztów produktów naftowych w przemyśle chemicznym w ciągu dziesięciu lat spadł z 10,3 proc. do 3,5 proc.; w hutnictwie — z 10 proc. do 2 proc. Nastąpił znaczny postęp w rafinacji tańszej ciężkiej ropy naftowej. Narodziły się nowe sektory produkcyjne nieenergochłonne. Można w nieskończoność mnożyć przykłady genialnej zaradności świata zachodniego, pozwalającej mu wydobyć się z pułapki. I co lepsze — lub co gorsze — w pułapkę tę wpada sam OPEC. I tu jest druga przyczyna odmiany sytuacji. Na ogół zapomina się, że wśród trzynastu członków OPEC, poza „Arabami" znajdują się również Gabon, Ekwador, Wenezuela, Indonezja i Nikaragua. Pierwszym dramatem jest więc (oczywiście, dla OPEC, nie dla nas) to, że kraje zwane arabskimi (Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Algeria, Iran, Irak, Libia, Kuwejt) są okropnie skłócone, aż w stopniu powodującym wojny — otwarte, jak ta pomiędzy Irakiem i Iranem, bądź ukryte, jak ta, która stawia naprzeciw siebie Libię i Państwa Zatoki. Następnym dramatem jest to, że nikt właściwie, poza zachowaniem pozorów i chęcią ocalenia twarzy w czasie rytualnych konferencji, nie respektuje ustalonej ceny, przyznając różne zakamuflowane rabaty odbiorcom czarnego złota; ponadto nikt nie respektuje limitów wydobycia, ustalanych w celu utrzymania ceny. Kontrole szybów, portów i zapasów okazują się bezskuteczne, a ten, który łamie ustalenie, nie spotyka się ze specjalnymi restrykcjami. Istnieją także zniecierpliwienia, które gdyby wybuchły, spowodowałyby z pewnością rozpadnięcie się OPEC. Gdyby na przykład nigeryjski gigant, przygnieciony długami (45 mld), zechciał nagle wystąpić i wzmóc wydobycie, aby zdobyć dewizy — to skończyłoby się to katastrofą. Albo gdyby ustała wojna irańsko-iracka i obydwaj przeciwnicy odbudowali swoją produkcję — to też przyniosłoby katastrofę. Oto paradoks tego konfliktu: jeśliby się zakończył, OPEC, którego członkami są obydwa walczące ze sobą kraje, wyleciałby z hukiem w powietrze. A nawet jeśli będzie trwała i gdyby Iran podniósł swą produkcję o milion baryłek dziennie, czyli o 30 procent, aby za wszelką cenę zdobyć pieniądze — to OPEC musiałby od tego umrzeć śmiercią naturalną... po to zresztą, aby ta wojna mogła trwać! Natomiast cena ropy dalej by spadała. No i cud, który się rozpłynął w powietrzu. Ropa, dziś kosztująca 28 dol. za baryłkę (oficjalnie), mogłaby spaść do 22, 20, a czemu nawet nie do 15 dolarów. Można by tu zaoponować, że przecież dolar zdrożał. Jednakże ceny Boeingów, Mirały, pałaców, gigantycznych robót, Rollsów itp. — także poszły w górę. Ci z Zachodu nie są głupi. Nie tylko wymknęli się z zasadzki, ale w dodatku wszystko zrozumieli.

Zresztą, wracam do tego jeszcze raz, „Arabowie" (królowie, książęta, szejkowie, emirowie) nie muszą jeszcze żebrać na naszych ulicach, mają zasoby, mogą się wesprzeć na swych zagranicznych lokatach i jeszcze nie skończyli, na razie, nas zdumiewać. To prawda, ale prawdą jest również fakt, że jest to już tylko ogon cyklonu i że „bogate kraje" wyszły już z jego oka. W 1974 r. mówiono: „Jeśli to potrwa dłużej, to jeszcze kupią wieżę Eiffla!". W dziesięć lat później oddychamy z ulgą — zagrożenie zostało zażegnane. OPEC stał się kolosem na glinianych nogach.

(JEAN CAU — „PARIS MATCH")
Tłum.: J. G.

Francja: antyrasistowskie akcje młodzieży

W metrze ludzie milczą. Ich spojrzenie krąży bez celu, pustym wzrokiem wpatrują się w przestrzeń, niekiedy spoglądają w twarz współpasażera. Głęboko pod brukiem Paryża, od stacji do stacji, mówi się za pomocą oczu. Nagle w wagonie rozlega się okrzyk: „Ktoś mi ukradł portmonetkę!". Jakaś kobieta nerwowo grzebie w torbie. Nikt się nie ruszył. Ale młody Diego poczuł nagle, że przewierca go sto spojrzeń. Zauważył, że wszyscy gapią się na niego ukradkiem lub z jawną wrogością. Milcząca nadal większość na niego skierowała spojrzenie. Diego jest ciemnoskóry.

Napięcie rośnie, potem nagle opada. Dwie stacje dalej kobieta znajduje skradzioną rzekomo portmonetkę. Zawstydzone twarze odwracają się od Diega. Diego wysiada i idzie poszukać swoich przyjaciół, z którymi umówił się w pizzerii. Diego i jego koledzy nie wiedzieli wówczas, że był to ważny dzień w ich życiu. Wtedy, wczesną jesienią 1984 r., nie podejrzewali, że w pół roku później cały kraj będzie się nimi interesować: nimi i prowadzoną przez nich kampanią przeciwko szerzącemu się we Francji rasizmowi. Ich motto w potocznej mowie brzmi: „Touche pas a'mon pote", „nie ruszaj mojego kumpla".

Ten kumpel, to obcy, kolorowy, inny. Kto mu zrobi krzywdę, będzie miał z nami do czynienia, ostrzega tych 150.000 Francuzów, którzy noszą małą, kolorową odznakę w kształcie podniesionej obronnym gestem dłoni. Kampania toczy się na pełnych obrotach, od czasu, kiedy znany tygodnik LE NOUVEL OBSERVATEUR wydrukował ten znak na okładce i w 100.000 egzemplarzy rozkolportował wśród ludzi. Wielkoduszna Francja daje się poznać, ograniczona czuje się sprowokowana. Wrogi cudzoziemcom Front Narodowy prawicowego radykała Jean-Marie Le Pena czuł się zmuszony wprowadzić do obiegu inną wersję odznaki — napis na niej brzmi: „Nie ruszaj mojego narodu", a zamiast otwartej dłoni grozi zaciśnięta pięść.

Towarzystwo w pizzerii dostrzegło wówczas niebezpieczeństwo. Wszyscy, nie tylko Senegalczyk Diego, czuli się nieswojo. Diana, studentka medycyny, opowiadała, że w szpitalu coraz więcej chorych nie godzi się na to, żeby ich leczył kolorowy lekarz. Said, żonaty z paryżanką, złościł się, że sąsiedzi dokuczają jego dzieciom. Francuzka Fatima opisywała obawy swoich rodziców, przybyłych z Algierii: ostatnio odczuwają wrogość swojego otoczenia i po dwudziestu latach pobytu we Francji zastanawiają się, czy by z niej nie wyjechać. I kiedy tak po kolei opowiadali, zdecydowali nagle, że trzeba „coś" zrobić. Wynikła z tego, dzięki 25-letniemu studentowi filozofii i historii Harlemowi Desirowi, największa kampania w obronie praw człowieka w ojczyźnie tych praw.

Harlem Désir: nazwisko jest równie niezwykłe, jak jego właściciel, który od samego początku jest duszą akcji „touche pas a'mon pote" i przewodniczącym prowadzącej ją organizacji „SOS Racisme". Jego matka pochodzi z Alzacji, ojciec z Antylów. Po nim odziedziczył kręcone włosy i kolor skóry, który w tak wielu wypadkach określa ludzi jako Francuzów drugiej klasy, utrudnia im znalezienie mieszkania czy pracy. Harlem wzrastał tam, gdzie Paryż cechuje brzydota, na jednym z owych nieforemnych przedmieść, obdrapanych i popadających w ruinę, które jak marne opakowanie otaczają stolicę. Podczas gdy prawicowy polityk Le Pen podsyca nienawiść rasową, część młodzieży z przedmieść zlikwidowała bariery rasowe. Od przedszkola do uniwersytetu, od pierwszego do drugiego pokolenia, wszyscy i wszystko przemieszało się: Francuzi, przybysze z Afryki Północnej, Portugalczycy, czarni, Azjaci.

Harlem Désir z dumą przyznaje się do przynależności do pokolenia mieszkańców kulturalnych, które „w szkole czyta Montaigne'a, trzyma z Michaelem Jacksonem, a wieczorem idzie na koncert zespołu Carte de Séjour". „Carte de Séjour" („Zezwolenie na pobyt") to nazwa popularnej grupy rockowej, w której grają razem muzycy arabscy i francuscy, a oprócz nich perkusista z Gwadelupy.

Czy ten tygiel zostanie teraz rozbity? Czy cudzoziemcy, przyjaciele, będą musieli wyjechać? Czy, jak głosi ulotka Frontu Narodowego, mają „na kolanach dziękować Francji za to, że mogą tu żyć lepiej niż gdzie indziej"?. „Nie ruszaj mojego kumpla", odpowiada na to Harlem Desir, a wraz z nim większość francuskiej młodzieży.

Pokolenie ruchu „touche pas a'mon pote" jest inne niż dwa poprzednie. W przeciwieństwie do buntowników z roku 1968 wcale nie ma zamiaru gruntownie przekształcać społeczeństwa. Równie dalekie jest od melancholijnych nastrojów „no future" młodzieży z początku lat osiemdziesiątych. Dziś pojawiają się młodzi ludzie, którzy pokonali rozczarowania i od nowa biorą się do działania w konkretnej sprawie. Będący chyba większymi realistami, a w każdym razie skromniejsi, odsuwają na bok wielkie zasady i moralność. „Nie rusz go": tu nie grozi się palcem, lecz podnosi się całą rękę. Ta młodzież nie chce nic zmieniać, lecz zapobiegać. Sukces jest dla niej ważniejszy niż słuszny wizerunek wroga.

Rasizmu we Francji nie można bowiem ograniczać do Jean-Marie Le Pena i jego Frontu Narodowego. Tabu upadło. W niektórych paryskich salonach należy już niemal do dobrego tonu nieukrywanie swoich rasistowskich postaw. W „Théatre des Deux-Anes", jednej z bogatych w tradycje scen paryskich, artyści kabaretu biorą na cel nie tylko liberalną politykę, lecz także wyznanie żydowskiego ministra sprawiedliwości, Roberta Badintera. Z kolei czołowi socjaliści jako burmistrzowie dbają o to, żeby w ich gminach do tanich mieszkań „socjalnych" wprowadzała się tylko ograniczona liczba kolorowych — nawet kolorowych Francuzów, jak Harlem Désir.

Tak więc idee rasistowskie stopniowo wchodzą do powszechnego obiegu. Wytwarza się coś w rodzaju szacownego rasizmu. Przeraża to Harlema Désira i jego przyjaciół o wiele bardziej niż sensacyjne sukcesy wyborcze Frontu Narodowego, na który oddaje głos mniej więcej co dziesiąty Francuz. Akcja „touche pas a'mon pote" pojawiła się dlatego, że milczeli wszyscy — a zwłaszcza tak niegdyś bojowi intelektualiści francuscy. Przez całe lata nadawali ton, a teraz nagle do głosu doszła mała grupa ksenofobijnych krzykaczy. Inteligencja „abdykowała" jak to jej zarzuca Bernard-Henri Levy i pisarz Marek Halter, który założył agencję prasową „SOS Racisme".

Materiału informacyjnego nie będzie im brakować. W ciągu ostatnich trzech lat ofiarą rasistowskich mordów padło około pięćdziesięciu Arabów z Północnej Afryki. Niedawno w Hawrze czterech gimnazjalistów zamordowało Araba ot, tak sobie. Aktor i reżyser Roger Hanin — szwagier Francois Mitterranda — nakręcił przejmujący film o zbrodni kilku młodych żołnierzy, którzy wyrzucili z jadącego pociągu jakiegoś Bogu ducha winnego Algierczyka. Prezydent Mitterrand ze swej strony uczynił dwa ważne gesty. W 1983 r. przyjął w Pałacu Elizejskim, na zakończenie ich 1.200-kilometrowego „marszu przeciwko rasizmowi", grupę młodych północnych Afrykańczyków z lyońskich dzielnic nędzy. A gdy w rok później ich przywódca, Toumi Djaidja, został skazany za — nie wyjaśnioną do końca — próbę rabunku, Mitterrand go ułaskawił.

„W imieniu Boga?" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

(21)

Villot mógł uważać za doskonały pomysł poinformowania świata, że Luciani zmarł przy lekturze bardzo cenionej przez siebie książki. Było to bezczelne, gdyż ani w sypialni papieskiej, ani w którymkolwiek z innych prywatnych pomieszczeń papieża nie było ani jednego egzemplarza tej książki. Własny egzemplarz Lucianiego znajdował się jeszcze w Wenecji i kiedy przed kilku dniami potrzebował on dosłownego cytatu z tej książki, ojciec Lorenzi na jego polecenie pożyczył ją od jego watykańskiego spowiednika. Jeszcze przed śmiercią papieża oddał ją z powrotem. Watykan nie mógł nic przeciwstawić jego skardze, że rozpowszechnia się jawną, fałszywą informację; mimo to trzymano się tego kłamstwa przez cztery dni, do drugiego października. W tym czasie fałszywy opis okoliczności zgonu papieża dawno już przekształcił się w jedną z owych legend, przeciw którym prawda prawdzie nie ma szans.

Nie była to jedyna dezinformacja, lansowana przez Watykan. Opowiadano jeszcze na przykład, że ojciec Magee wieczorem, 28 września, krótko przed 22.00 wszedł jeszcze raz do sypialni papieża i opowiedział mu o zamordowaniu studenta w Rzymie. „Czy ci młodzi ludzie znowu strzelają do siebie? Jest to naprawdę straszne" — te dwa zdania obiegły świat jako ostatnie słowa papieża Jana Pawła I. Zupełnie mimochodem miały one tę zaletę, że dawały wulgarne, psychologiczne wyjaśnienie niespodziewanego zgonu Lucianiego: czyż ta przygnębiająca informacja nie mogła go tak głęboko poruszyć, że zmarł w następstwie śmiertelnego ataku serca? W rzeczywistości taka rozmowa między Magee a Lucianim nie odbyła się.

Był to czysty wymysł, który zrodził się w samym centrum Kurii Rzymskiej.

Wprowadzające w błąd było również wywołane komunikatami watykańskimi wrażenie, że Luciani miał zwyczaj odprawiania mszy z Magee o 5,30 rano. W rzeczywistości porannej mszy papieskiej nie celebrowano przed siódmą. Jak już wspomniano w innym miejscu, Luciani spędzał czas między 5,30 a 7,00 na modlitwie i medytowaniu, przy czym zwykle był sam; czasami Magee i Lorenzi przybywali do niego około wpół do siódmej. Tak więc fikcją made in Watykan było to, że nie przeczuwający niczego złego ojciec Magee wszedł o 5.30 do kaplicy i przerażony stwierdził, iż nie było w niej papieża.

Na świecie rozpowszechniało się głębokie zakłopotanie z powodu tej tragicznej, nieoczekiwanej śmierci. Zamknięto masywne bramy z brązu do bazyliki św. Piotra, flagę Watykanu opuszczono do połowy masztu — były to nieodparte znaki, ale mimo to wiadomość o śmierci Albino Lucianiego była tak szokująca, że miliony zareagowały na nią z niedowierzaniem, podobnie jak jego lekarz domowy. Jak było to możliwe, że ten człowiek, który był kandydatem Boga, który wprawił świat w zachwyt, po tak krótkim czasie został znowu odwołany?

Holenderski kardynał, Willebrands, który wiązał z pontyfikatem Jana Pawła I duże nadzieje, powiedział: „Jest to wielkie nieszczęście. Nie potrafię słowami wyrazić tego, jak szczęśliwi byliśmy owego sierpniowego dnia, kiedy wybraliśmy Jana Pawła I. Było to piękne uczucie, uczucie, jak gdyby coś drgnęło w naszym Kościele".

Kardynał Baggio, jeden z tych, który zgodnie z wolą Lucianiego miał opuścić swoje miejsce w Rzymie, wyraził się bardziej powściągliwie: „Pan wykorzystuje nas, ale nie potrzebuje nas". Wypowiedział to wczesnym rankiem, po tym jak odwiedził zmarłego. Dodał do tego: „Był czymś w rodzaju kapłana parafialnego dla Kościoła". Na pytanie, co teraz będzie, Baggio odparł obojętnie: „Wybierzemy nowego".

Baggio należał jednak do wyjątków. Większość ludzi okazywała szok i nie ukrywała swej miłości do zmarłego. Kiedy kardynał Benelli powrócił o dziewiątej z osamotnienia w swoim pokoju, natychmiast otoczyli go reporterzy. Z ciągle jeszcze mokrym od łez obliczem powiedział: „Kościół utracił przywódcę, który był właściwym człowiekiem we właściwym momencie. Jesteśmy zrozpaczeni. Jesteśmy zatrwożeni. Człowiek nie znajduje dla czegoś takiego żadnego wyjaśnienia. Jest to moment, który cofa nas wstecz i wystawia na próbę".

W Watykanie załamał się tymczasem plan Villota w sprawie niezwłocznego zabalsamowania ciała. Kardynałowie Felici z Padwy i Benelli z Florencji, którzy bardzo dokładnie znali zarządzone przez Lucianiego zmiany personalne, mieli w najwyższym stopniu niepewne uczucia i dali im też wyraz w swoich rozmowach telefonicznych z Villotem. W całych Włoszech podnoszono po cichu żądanie dokonania autopsji. Było to żądanie, którego w istniejących okolicznościach Benelli i Felici nie mogli przynajmniej lekkomyślnie odrzucić. W wypadku zabalsamowania późniejsza autopsja straciłaby swoją wymowę, szczególnie gdyby przyczyną śmierci była trucizna.

Oficjalnie Watykan wywołał wrażenie, że Jan Paweł I został już zabalsamowany, kiedy w piątkowe południe publicznie umieszczono go w Sali Klementyny. W rzeczywistości ludzie pogrążeni w żałobie defilowali w tym dniu przed zupełnie nie ruszonym jeszcze ciałem. Ojciec Diego Lorenzi powiedział im:

„Zmarłego przeniesiono z apartamentów prywatnych do Sali Klementyny na piętrze papieskim. Ojciec Magee, monsignore Noe i ja ubraliśmy papieża Lucianiego. Razem z Magee pozostałem u boku zmarłego do godziny jedenastej. O tej porze przyszli znowu (bracia) Singnoracci i ciało przeniesiono do Sali Klementyny".

Przeciwieństwo wobec nastroju panującego po śmierci papieża Pawła VI było uderzające. Wówczas nie można było prawie dostrzec publicznego poruszenia uczuć; teraz wzbijały się w górę fale emocji. Pierwszego dnia wystawionemu na katafalku zmarłemu złożyło hołd ćwierć miliona ludzi. Z minuty na minutę coraz głośniejsze były pogłoski, że z jego zgonem było coś nie w porządku. Z ust mężczyzn i kobiet, przechodzących przed katafalkiem słychać było głośne okrzyki, jak: „Kto ci to zrobił? Kto cię zabił?".

Tymczasem w małych grupkach przebywających w Rzymie kardynałów debatowano coraz gwałtowniej nad tym, czy należy przeprowadzić autopsję, czy też nie. Gdyby Luciani był jakimś zwykłym obywatelem włoskim, nie byłoby żadnej dyskusji, prawo włoskie zabrania balsamowania zwłok przed upływem 24 godzin od zgonu, chyba że wyrazi na to zgodę sędzia. W przypadku zwykłego obywatela włoskiego, który zmarłby w podobnych okolicznościach, jak Albino Luciani, niezwłocznie dokonano by autopsji.

Jak na ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia, Villot i inni członkowie Kurii Rzymskiej nadal zachowywali się bardzo dziwnie, by nie powiedzieć zupełnie niezrozumiale. Jeden z rezydujących w Rzymie kardynałów powiedział mi w zaufaniu, że na użytek wewnętrzny Villot podał zupełnie inne wyjaśnienie przyczyn zgonu papieża, które było tak samo samowolne, jak i jego uzasadnienie, dlaczego opinia publiczna nie może nic o tym dowiedzieć się:

„On (Villot) powiedział mi, że to, co się wydarzyło, było tragicznym wypadkiem. Papież przez przeoczenie zażył za dużą dawkę swoich leków. Villot oświadczył, że jeżeli przeprowadzi się autopsję, bez wątpienia potwierdziłaby ona to fatalne przedawkowanie. Nikt nie uwierzyłby jednak, że Jego Świątobliwość padł ofiarą własnej nieuwagi. Jedni podejrzewaliby samobójstwo, inni morderstwo. W ten sposób uzgodniono, że nie będzie autopsji".

Dwukrotnie rozmawiałem z profesorem Giovanim Ramą, specjalistą, który przepisał Albino Lucianiemu krople Effortil i zastrzyki (Cortiplex i inne, takie same w działaniu preparaty). Luciani był pacjentem doktora Ramy od 1975 r. Bardzo interesujące jest to, co dr Rama sam ma do powiedzenia na temat możliwości omyłkowego, śmiertelnego przedawkowania leków przez pacjenta:

„Omyłkowe przedawkowanie jest praktycznie wykluczone. Był on bardzo skrupulatnym pacjentem. Był bardzo wrażliwy na leki. Potrzebował tylko bardzo małych dawek. Jeżeli chodzi o Effortil, zażywał rzeczywiście minimalne dawki. Normalna dawka wynosi 60 kropli dziennie, ale jemu wystarczało 20—30. Przy przepisywaniu leków zawsze byśmy bardzo powściągliwi".

Dalsze rozpytywania wśród moich świadków wykazały, że Villot musiał to wszystko rozważyć w papieskiej sypialni w ciągu tego krótkiego czasu, jaki minął od chwili, kiedy schował w kieszeni buteleczki z lekami. Villot musiał być rzeczywiście człowiekiem o niesłychanej umiejętności dokonywania błyskawicznych ocen: oto umiera papież, który na zakończenie dnia, w którym podjął głęboko sięgające decyzje, w pełni zdrowia udał się do swojej sypialni, a będący w podeszłym wieku sekretarz stanu, sam bezpośrednio i negatywnie dotknięty tymi decyzjami, w jednym momencie, bez jakichkolwiek badań lekarskich, bez jakiegokolwiek przekonywającego lub chociażby prawdopodobnego punktu zaczepienia twierdzi, że ta śmierć była samobójstwem przez przeoczenie. Możliwe, że w jedynych w swoim rodzaju warunkach klimatycznych, panujących w wiosce watykańskiej, historia taka może być nawet wiarygodna.

Villot natychmiast usunął kilka rzeczy, które mogłyby odegrać kluczową rolę w poszukiwaniu prawdy — leki i kartki z notatkami Lucianiego. Z faktu zniknięcia testamentu papieskiego można wnioskować, jak bardzo musiał się spieszyć w tych swoich tuszujących działaniach. Dokument ten z pewnością nie zawierał nic, co nasunęłoby jakieś wnioski co do jego zgonu, ale zniknął jednak wraz z innymi dowodami rzeczowymi. Zagadkową sprawą pozostało również to, dlaczego zniknęły także okulary i pantofle domowe papieża.

Po wiosce watykańskiej krążyły różne pogłoski. Mówiono, że przez całą noc paliła się lampka alarmowa w przedpokoju apartamentów papieskich, ale nikt nie zareagował na to bezgłośne wołanie o pomoc. Mówiono, że w sypialni papieskiej odkryto wymioty; pobrudzonych zostało przy tym wiele przedmiotów, co było przyczyną zniknięcia okularów i pantofli domowych. Wymioty są często jednym z pierwszych symptomów wskazujących na zażycie przez kogoś zawyżonej dawki.

Biskupi i księża gromadzili się grupkami na korytarzach, w pokojach i dzielili się nowinkami oraz przypuszczeniami. Przypomnieli sobie na przykład wypadek, jaki zdarzył się 5 września. Rosyjsko-ortodoksyjny arcybiskup Leningradu, Nikodem podczas prywatnej audiencji u Jana Pawła I zupełnie niespodziewanie zawisł na swoim krześle i kilka chwil później zmarł. Teraz krążyło w Watykanie przypuszczenie, że Nikodem pił z filiżanki do kawy, przeznaczonej dla papieża. Mimo swoich 49 lat Nikodem był rzeczywiście chorym człowiekiem i miał już za sobą kilka ataków serca. W atmosferze podniecenia i przerażenia fakty te jednak pominięto i wielu osobom śmierć Nikodema wydawała się teraz złą wróżbą, znakiem ostrzegawczym przed złym losem, jaki tej nocy dokonał się w apartamentach papieskich.

W dalszej części dnia z pomieszczeń papieskich usunięto wszystkie znajdujące się tam rzeczy, które należały do Albino Lucianiego lub miały z nim jakikolwiek związek, na przykład jego listy, książki, notatki i kilka pamiątek osobistych, jak chociażby fotografię pokazującą jego rodziców z nowo narodzoną Pią. Współpracownicy Villota z sekretariatu stanu wynieśli wszystkie poufne dokumenty. Błyskawicznie usunięto wszystkie fizyczne świadectwa tego, że żył tu i pracował niejaki Albino Luciani. O godzinie szóstej wieczorem w żadnym z 19 pomieszczeń mieszkania papieskiego nie było już nic, co chociażby przypadkowo przypominałoby o papieżu Janie Pawle I. Kardynał Villot osobiście zamknął i opieczętował aparatamenty papieskie o godzinie 18.00. Pozostaną one zamknięte aż do wyboru następcy.

Zakonnicy i obaj sekretarze prawie potajemnie opuszczali miejsca ich krótkiej działalności. Magee zachował sobie na pamiątkę kasety, których Luciani używał do doskonalenia swego angielskiego. Lorenzi zabrał ze sobą jedynie garść wspomnień i wrażeń. Unikając świadomie oczekujących reporterów, grupa udała się do domu zarządzanego przez siostry z zakonu Maria Bambina, gdzie znalazła zakwaterowanie.

John Magee, co jest godnym uwagi i chlubnym rekordem, został tymczasem po raz trzeci mianowany przez papieża sekretarzem. Diego Lorenzi, pełen temperamentu, młody Włoch, po śmierci uwielbianego przez siebie człowieka załamał się zupełnie. Powrócił do północnych Włoch, by pracować w małej szkole. Siostrę Vincenzę przeniesiono jeszcze dalej na północ, do sennego klasztoru. Watykański aparat państwowy troszczył się w ten sposób o to, by niełatwo było odszukać najbliższych współtowarzyszy zmarłego papieża.

Kiedy w piątek, 29 września o godzinie 18.00 zamknięto dla publiczności drzwi sali Klementyny, kardynał Villot był tym, który w Watykanie oddychał z największą ulgą. Swoją pracę mogli wreszcie rozpocząć kosmetycy śmierci. Jeżeli ciało zostanie najpierw zabalsamowane, to później nawet podczas autopsji nie byłoby już możliwe ujawnienie w ciele zmarłego śladów trucizny. Gdyby papież rzeczywiście zmarł na skutek zawału mięśnia sercowego, wówczas mimo wpompowania do organizmu chemikaliów, w naczyniach krwionośnych pozostałyby charakterystyczne uszkodzenia.

Dziwny przypadek zrządził, że rzymski związek aptekarzy dokładnie w tym dniu opublikował informację prasową, że „chwilowo brak" wielu leków niezbędnych do leczenia pewnych zatruć i dolegliwości sercowych.

Bardziej istotna była być może wypowiedź, jakiej wreszcie udzielił kardynał Villot, naciskany przez reporterów włoskich: „Kiedy wczoraj wieczorem spotkałem się z Jego Świątobliwością, był on w jak najlepszym zdrowiu, miał całkowicie jasny umysł i udzielił mi wszystkich poleceń na następny dzień".

Za zamkniętymi drzwiami sali Klementyny w ciągu trzech godzin balsamowano zwłoki Jana Pawła I. Za fachowe przeprowadzenie tej operacji odpowiadał profesor Cesare Gerin, ale konkretne prace podjęli jednak profesor Marracio oraz Ernesto i Renato Signoracci.

Bracia Signoracci obejrzeli już raz ciało, zanim przeniesiono je do sali Klementyny; na podstawie jego temperatury oraz braku wszelkich objawów zesztywnienia mięśni doszli do wniosku, że zgon nie nastąpił w czwartek o godzinie 23.00, lecz w piątek rano, między czwartą a piątą. Ich pogląd znalazł gwarantowane potwierdzenie w wypowiedzi monsignore Noego, który oświadczył braciom, że papież zmarł tuż przed piątą rano. Rozmawiałem długo i wyczerpująco z obu braćmi. Są oni stanowczo przekonani, że śmierć nastąpić musiała między czwartą a piątą, że ciało odkryto więc w ciągu godziny po zgonie papieża. Jeżeli mają rację, to Luciani nie żył zaledwie od kilku minut, kiedy siostra Vincenza po raz pierwszy zastukała do drzwi jego sypialni. Tylko gruntowna autopsja mogłaby tu wszystko wyjaśnić.

Na wyraźne polecenie Watykanu z ciała nie pobrano ani krwi, ani tkanki. Do systemu naczyniowego martwego organizmu (żył i tętnic) wstrzyknięto formalinę i inne środki konserwujące. Główną przyczyną tego, że cała operacja trwała trzy godziny, było kategoryczne żądanie przedstawicieli Watykanu, by z ciała nie upuszczano w ogóle krwi — normalnie upuszcza się ją i zastępuje wpompowanym do naczyń roztworem soli kuchennej. Być może nawet kropla krwi zmarłego wystarczyłaby patologowi do ustalenia śladów substancji trujących.

Dzięki umiejętnościom kosmetyków zwłok z twarzy zmarłego znikł wyraz udręczenia. W ręce, które trzymały dokumenty, włożono różaniec. Krótko przed północą kardynał Villot udał się do swojej sypialni.

Po śmierci papieża Pawła VI zgodnie z włoskimi przepisami prawnymi odczekano 24 godziny, zanim rozpoczęto balsamowanie zwłok. Głośna stała się wprawdzie wówczas krytyka braku kompetencji osobistych lekarzy papieskich, ale nikt nawet nie napomknął, że zgon Pawła VI mógłby nastąpić z innych przyczyn, niż naturalne. Teraz, kiedy autopsji domagały się nie tylko powszechna opinia publiczna, lecz także ważne i poważne głosy w prasie, radiu i telewizji, pospieszono się z balsamowaniem ciała, na długo przed upływem ustawowego terminu 24 godzin.

Następnego dnia, 30 września, z przybierającą na sile niecierpliwością stawiano określone pytanie: „Dlaczego nie dokonano autopsji?". Środki masowego przekazu zaczęły poszukiwać wyjaśnienia przyczyn tak nagłego zgonu. Kuria pospieszyła z przypomnieniem ciekawskim reporterom uwagi, jaką Luciani poczynił podczas swojej ostatniej audiencji generalnej w sali Nerviego, 27 września, w środę. Zwracając się do grupy chorych i inwalidów powiedział: „Nie zapominajcie, że wasz papież był osiem razy w szpitalu i ma za sobą cztery operacje".

Wydział prasowy Watykanu wskazywał na tę uwagę zmarłego każdemu, kto chciał dowiedzieć się czegoś bliższego na temat stanu zdrowia Lucianiego. Cytowano ją tak pilnie, że wkrótce sprawiła ona wrażenie odpowiedzi udzielonej przez automat i telefonujący czuli się sfrustrowani.

Większość dzienników i innych środków masowego przekazu przypominała o tym, że w czasie swego krótkiego pontyfikatu Luciani w ogóle nie sprawiał wrażenia chorego człowieka. Wprost przeciwnie, stwierdzano, zewnętrznie był on okazem zdrowia, radości życia i zapału. Coraz częściej przedstawiciele prasy zwracali się o opinię do ludzi, którzy znali Lucianiego od dłuższego czasu.

Żądanie autopsji stało się głośniejsze po tym, jak monsignore Senigaglia, który w Wenecji był sekretarzem Lucianiego, przez sześć lat, powiedział, że krótko przed swoim wyjazdem na konklawe zmarły papież poddał się badaniom lekarskim, które „pod każdym względem wypadły dobrze".

Watykan popadł w panikę, kiedy wielu lekarzy wystąpiło z kategorycznym żądaniem przeprowadzenia autopsji w celu dokładnego ustalenia przyczyny zgonu. Lekarze byli wprawdzie gotowi uznać jako hipotezę możliwość ataku serca i wymienić kilka czynników, które należało być może wziąć pod uwagę jako przyczyny uboczne (szczególnie chętnie wymieniano w związku z tym nagły stres papieża), ale żaden bez autopsji nie chciał zaakceptować jako pewnej diagnozy twierdzenia Watykanu, że Albino Luciani zmarł na zawał mięśnia sercowego.

Watykan zareagował oświadczeniem, że dokonanie autopsji stanowiłoby naruszenie przepisów kościelnych. Było to ponownie jednoznaczne kłamstwo, przedstawione całej opinii publicznej. Po dalszych dociekaniach dziennikarzy włoskich okazało się, że Watykan miał tu na myśli Konstytucję Apostolską, ogłoszoną w 1975 r. przez Pawła VI. Był to dokument, w którym Paweł VI ustalił procedurę wyboru swego następcy — przewidującą na przykład poszukiwania „pluskiew" (chodzi o podsłuch — przyp. red.) i zawierającą polecenia co do wielkości kartek do głosowania. Staranna lektura Konstytucji Apostolskiej wykazuje, że papież Paweł VI zapomniał o przedsięwzięciach na wypadek, gdyby wystąpiły kontrowersje co do przyczyny jego zgonu. Autopsji ani nie zabronił, ani też nie zezwolił na nią; na ten temat nie powiedział po prostu nic.

Okoliczności śmierci Pawła VI stały się przejściowo tematem dyskusji. Nie było żadnej wątpliwości, że życie papieża Pawła VI można było przedłużyć. Zdaniem wielu znanych przedstawicieli medycyny z całego świata, wiele do życzenia pozostawiała opieka lekarska, jaką otaczano go w jego ostatnich dniach. Z Kapsztadu odezwał się dr Christian Barnard i fakt nieprzewiezienia papieża Pawła VI do stacji terapii intensywnej, skomentował następującymi słowami: „Gdyby coś takiego zdarzyło się w Afryce Południowej, odpowiedzialnych za to lekarzy oskarżono by przed Izbą Lekarską o nieumyślne zaniedbanie obowiązków".

Jednym z lekarzy odpowiedzialnych za opiekę nad papieżem Pawłem VI był dr Renato Buzzonetti, zastępca szefa watykańskiej służby zdrowia. Ten sam lekarz, który w opinii doktora Barnarda w sierpniu dopuścił się nieumyślnego zaniedbania obowiązków, popełnił teraz absurd medyczny, wypowiadając się bez autopsji w sposób definitywny na temat przyczyn samotnej śmierci Albino Lucianiego.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

OLGA ŁARIONOWA

Gdzie królewskie łowy (4)

Nie odważyła się jednak powiedzieć o czym marzy, dlatego, że są rzeczy, których język nie ośmieli się wypowiedzieć. Ale on zrozumiał ją, poczuł jak jest śmiertelnie zmęczona, ale wcale nie za sprawą nieprzemijającego południa sprażonej Pollioli tylko wskutek wiecznego przebywania w dwóch postaciach: Gerdy Boskiej i Gerdy Parcianej. Sześć lat temu zmuszona była dokonać tragikomicznego wyboru Kolombiny między nieprzerwaną codziennością i wieczną niedzielą. Wybrała to pierwsze. Ale niedzielne, świąteczne ogniki nie przestawały jej mamić. Eri i nie tylko Eri. On był najwierniejszy, najbardziej zachwycony, najbardziej pełny szacunku. Ale były i setki innych. Ci, którzy co dzień widzieli ją w audycjach „Austrolife". Najbardziej zwariowane listy otrzymywała z podwodnych stacji. Nawet pasterze wielorybów byli dobrzy, i, gdyby nie niezachwiana flegma Henryka, dawno już doszłoby do burzliwych tłumaczeń.

Atmosfera niefrasobliwej egzaltacji, w której poruszają się wszystkie lektorki telewizyjne — niezauważalnie stała się dla Gerdy niezbędna do życia, i wtedy przypadkowo wpadła w oko samemu Kalwarskiemu. I wszystko uległo zmianie. O ile jeszcze w studio telewizyjnym z trudem przechodził on jako „mąż naszej maleńkiej Gerdy", to już w całej pozostałej, zamieszkanej części Galaktyki mówiono o niej „a któż to taki u boku Gienki?" Samo przez się rozumiało się, iż u boku Kalwarskiego mogła znajdować się tylko taka osoba, która wyglądała na kogoś wyższej klasy. Wymóg ten został zachowany i Henryka nic więcej nie niepokoiło: obok niego była Gerda, a na resztę gwizdał.

W przeciągu sześciu lat małżeństwa role nie uległy zmianie, zmienił się co najwyżej sam Kalwarski. Przestał być Gienką, a został Henrykiem. Taką obrośniętą tłuszczykiem duszą kosmicznego społeczeństwa. Wczoraj w nocy ta dobrze wypasiona dusza leżała u jej bosych stóp i Gerda czuła, że bez względu na to co by nie zrobiła, jemu nie sprawi to różnicy. Może ot tak, na bosaka, wspiąć się na Everest, a on jedynie wzruszy ramionami i powie: — No i pospacerowałaś? A teraz chodź tu...

Dziwny półsen w jaki zapadł, każący mu odtwarzać wydarzenia poprzedniej nocy zmusił go do powtórzenia jak wczoraj:

— No i pospacerowałaś? A teraz chodź tu boska i nietykalna. No, chodź, chodź.

I jak wczoraj — wściekły skok z łóżka, poprzez wilgotną, gwiezdną błonę zaciągającą wejście, poprzez stopnie werandy, na poskręcaną wskutek upału trawę, w niepohamowane piekło stojącego słońca.

Zakurzony bezruch zeschniętej trawy, gigantyczne jagodowe pole i — na tle całego tego do obrzydzenia znajomego bajkowego krajobrazu — purpurowy blask świeżego niczym gotowane mięso płótna, z którego hardo i drwiąco spoglądała cudowna kobieta — salamandra, pani jasnego ognia i ciemnych sił. Nie bogini ludzi, tylko bogini bogów.

I bezmyślne oczy Eristawi oszalałego wskutek bezsenności, upału i tego niespodziewanego pojawienia się tej, którą w tajemnicy przed wszystkimi malował podczas umownych, ziemskich nocy. Oczy po raz pierwszy tego lata nie schowane w cieniu rzęs.

— Jak widzę sprzeniewierzyłeś się swej sztuce malowanej godnymi pogardy olejnymi farbami — głos jej był nieprawdopodobnie spokojny — Pochwalam. Wprost zachwycający obraz na ołtarz. Purpura i złoto. Na pół wąż, na pół Wenus. Krótko mówiąc Hieronim Bosch w pomidorowym sosie. No, a teraz ustaw przed tym płótnem ofiarny ołtarz, zastrzel o tę białą bodulę — rogów możesz nie pozłacać — i spal ją jak prawdziwy poganin w oparach duszącego dymu i kadzidła. A my — ja i ona — popatrzymy. No?

Podchodzi do wilgotnego jeszcze płotna i — Henryk widzi to wyraźnie — oto Gerda i jej wyobrażenie wymieniają krótkie i pełne zadowolenia spojrzenia. Tak patrzy się tylko na sojusznika, a nie na portret i nie w lustro.

— Czekamy — przypomina Gerda, a jej świszczący szept słychać pewnie na całej planecie.

— Ja nie żartuję.

Dwie pary znieruchomiałych oczu jednakowo patrzą na Eristawia. Wie że ta kobieta nie żartuje. Wie, że dojdzie do skutku coś niedopuszczalnego i to tylko dlatego, iż tak rozkazała ona.

Po prostu zbyt długo ciągnęło się coś innego, równie niedopuszczalnego. Nie mając do tego żadżadnych praw znajdował się obok tej kobiety. To nie mogło zakończyć się ot tak, po prostu, niczym. Ale przecież potworne postępki nie zawsze rozdzielają ludzi na podobieństwo wybuchu, niekiedy wiążą. Chociażby współudziałem w przestępstwie, ale wiążą... Unosi swój dezintegrator — dwunastomilimetrowy średniodystansowy. Ten potomek dawnych myśliwych był dobrym strzelcem i nigdy nie korzystał z broni o ładunkach rozsadzających. Wie, że nie spudłuje i jeśli marudzi to tylko dlatego, że nie może się zdecydować — czy mimo wszystko spudłować czy też celnym strzałem w oko położyć tego z wyglądu zupełnie ziemskiego jelenia?...

Ale Henryk też wie, że jego żona nie żartuje i ta sekunda wahania wystarczy mu na to, by rzucić ciało do przodu, przez stopnie. Nie spóźnia się, tak jak nie spóźniał się nigdzie i w niczym, i wybity z rąk Eristawi' dezintegrator leci prosto w stronę sztalug. Henrykowi nie przychodzi do głowy prześledzić tor jego lotu i spostrzega się dopiero wtedy, kiedy straszna biała błyskawica bije krótko w stopnie. Henryk nagle pojmuje, że w odróżnieniu do wczorajszej nocy Gerda nie strzela do białej bodulı tylko do niego i wystrzeliwane nieumiejętną ręką ładunki łupią na szczapy drzewo i tną suchą trawę wzbijając białe kłęby cierpko pachnącego dymu. Rzucił się w bok, by krótkimi skokami wyjść ze strefy obstrzału i wreszcie obudził się. Przez wąski prześwit pomiędzy chmurami biły gorące promienie słońca i z polerowanej powierzchni czarnego kamienia kłębami buchała para. Stopnie cyklopowych schodów znikały w nisko płynących obłokach i gdzieś zupełnie niedaleko, w odległości piętnastu metrów nad sobą, ujrzał ogromne zwierzę, na którego jasnozłocistej skórze ledwie już było widać blednące w oczach plamy.

Poderwał się na nogi jakby go podrzuciło. Jak mógł zapomnieć?

Dokuśtykał do pierwszego kamiennego stopnia, oparł się o niego piersiami i nieposłusznymi palcami spróbował namacać kaburę dezintegratora. Kaburę znalazł, ale już dezintegrator... Czyżby wypadł podczas skoku do wody?

Ze wściekłości i bezsilności Henryk aż zawył. Każde nowe niepowodzenie wydawało mu się być ostatnią kroplą, ale upływały kolejne minuty i na głowę waliło się coś jeszcze, coś gorszego. Stracić dezintegrator!

Wielki Kalwarski!

A polliot leżał tuż nad nim, w odległości piętnastu stopni, leżał na boku i machał łapami niczym nowo narodzony berbeć. Agonia? Nie. Uniósł się, popełzł w górę... Plam na powierzchni jego ciała już nie widać i przypomina teraz kangurafę o maści jelenia. A może i nie kangurafę. Oto wpełzł o jeden stopień wyżej... jeszcze wyżej...

Najbardziej przypomina małpę. To naturalne, przecież to najlepiej dostosowana do wspinania się na skały forma. Z pewnością uszedłby i tym razem, gdyby nie straszny liliowy liszaj na prawym boku. Tak, prawą przednią łapą ledwie rusza. Wyżej... A jeśli tam są pieczary, przesłonięte teraz przez obłoki? Zapełznie czort wie gdzie, a za sprawą swej żywotności będzie zdychać — bez jedzenia i picia — przez wiele, wiele dni.

Brzeg stopnia znajdował się nieco poniżej piersi i Henryk wdrapał się nań nie bez trudu. Pokonał jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Upał i duszno. Wściekły stukot krwi w skroniach. I tępy, jakby zapomniany ból w wywichniętej ręce. Jeszcze tylko kwadrans i będzie tu śmigłowiec. Do tej pory nie można spuszczać polliota z oka. Podniósł oczy. A co to takiego? Płetwy? Gigantyczne rękawice. Czas by było szybciej domyślać się. To nie żadne płetwy, tylko skóra z łap. Zwierzę zdarło ze swych kończyn skórę niczym rękawice. Oto i żabie błony pomiędzy palcami. Pollioty zadziwiająco łatwo rozstają się z tym, co im więcej nie będzie potrzebne — z rogami, sierścią, a nawet skórą. Zresztą ziemskie węże dokonują podobnego zabiegu. Tyle tylko, że pollioty odtwarzają nie to co posiadały do tej pory, a ponadto robią to z niezwykłą szybkością. A niby dlaczego niezwykłą? Raptem pięć, dziesięć czy też sto razy większą od tej z jaką kijanka odtwarza swój ogon. Ale i muchomor rośnie sto razy szybciej niż bukszpan. Dlaczego drugi ogon otrzymuje inny kształt? Prawdopodobnie działa tu mechanizm, jeśli chodzi o stopień komplikacji niewiele przewyższający ten, który steruje zmianami barw flądry. Detale tego mechanizmu są oczywiście arcyciekawe, bo na przykład jak tu na Pollioli rzecz się przedstawia z homeostazą, ale najwłaściwiej będzie mówić o nich wtedy, kiedy wraz z polliotem dotrą do szczytu złożonej ze schodków piramidy.

Tymczasem odległość między nim a jego ofiarą wolno zmniejszała się. Fakt ten cieszył Henryka, ale zwierzę dotarło już do ostatniego stopnia i w gęstej mgle oblepiającej szczyt starał się nie stracić z oczu konturów nieruchomego ciała. Wyglądało na to, że polliot gromadzi siły. Czyżby dalej było zejście? W takim wypadku należy się śpieszyć, starać się schwytać go na grzbiecie szczytu.

A niech to, nie wiadomo skąd pojawił się wiatr, wilgotny, ale nie przynoszący ulgi. Jeszcze sześć stopni. Pięć. Cztery... Nieruchome ciało polliota nagle ożyło. Zwierzę uniosło głowę, która już zdążyła obrosnąć jasną grzywą i ni to ziewnęło, ni to po prostu odwróciło się w stronę swego prześladowcy. Tyle że nagle jego ciałem targnęły konwulsje i zniknęło. W przedzie nie było niczego prócz doskonale prostej linii kamiennego parapetu poprzez, który waliła na Henryka gęsta lepka mgła. Henryk zagryzł zęby, odrzucił do tyłu głowę i ruszył w górę. Ostatnie stopnie pokonał za jednym zamachem, wyrzucił ciało na ostatni i cudem utrzymał się na jego powierzchni: za półmetrowym parapetem, prawie stromo, opadała w dół ściana wąwozu. Jego głębokość trudno było określić; nagromadzenie czarnych odłamków skalnych ledwie odgadywało się pod gęstą, wielowarstwową mgłą.

Henryk popełzł z powrotem, o stopień niżej, zachłysnął się lepką mgłą i stracił przytomność.

Giętkie macki awaryjnych zagarniaków oderwały go od powierzchni skały i wciągnęły do kabiny śmigłowca. Z trudem otworzył oczy.

Idealne, równoległe linie kamiennych brył uchodziły w dół. Wyciągnął się i przejął stery. Śmigłowiec zawisł nieruchomo w powietrzu. Wydobył rinko.

Nie, stąd przyrząd nie pokaże kierunku. Trzeba będzie szukać na oślep. Płynnie zawrócił maszynę, szukając schodów. Odnaleźć je nie było trudno. Wzbił się nad grzbiet, pokonał go i dał nura w wąwóz. Liliowa mgła o konsystencji zsiadłego mleka. Znów trzeba było zaufać autopilotowi. Wreszcie maszyna siadła na jakimś dużym odłamku skalnym i Henryk wydostał się na zewnątrz.

Mgła tajała błyskawicznie i promienie słońca, które się przez nią przebiły unicestwiały jej resztki z mściwą szybkością. Wilgotne bryły o wyraźnie geometrycznych kształtach sprawiały wrażenie przygotowanych na zapas do jakiegoś dzieła, tyle że nie przydały się i zostały za sprawą swej nieprzydatności zwalone na dno wąwozu. W promieniach słońca wszystko wokół przybierało odświętny wygląd — i delikatnie fiołkowe niebo, i błyszczące krople na czarnej jak fortepian gładzi, i łobuzerski stukot spadającego z góry kamyczka...

Machinalnie prześledził trasę lotu owego kamyczka i zobaczył ciało. Polliot leżał morda w dół, a jego szeroko rozrzucone łapy były zbroczone krwią. Najwidoczniej nie leciał w dół, tylko ześlizgiwał po lekko pochylonej ścianie próbując się uczepić jakiejś szczeliny i przez to jego łapy... Tyle że to nie były łapy. To były poranione, zakrwawione ludzkie ręce. A i ciało leżące na czarnej sześciennej płycie było ciałem człowieka, tyle tylko, że tam, gdzie u Henryka było ono przysłonięte polowym kombinezonem skóra polliota miała kolor i fakturę wytłaczanej skóry. Długie ciemnoblond włosy opadały na kark i wiatr wywołany przez wolno obracające się śmigła pojazdu poruszał kosmykami owych niepodrabialnych, ludzkich włosów.

Henryk wolno rozpiął zamek kombinezonu, zdjął koszulę i ostrożnie, starając się nie dotknąć martwego ciała, przykrył głowę i ramiona tego zadziwiającego stworzenia. Następnie powrócił do śmigłowca i pogrzebawszy w bagażniku wyjął mocny wielkokalibrowy dezintegrator, z pomocą którego w warunkach polowych robiono studnie czy też likwidowano zawały. Uginając się pod jego ciężarem przeszedł pomiędzy bazaltowymi bryłami do ściany wąwozu, gdzie przez przypadek czy też celowo pozostawiony występ tworzył coś w rodzaju daszku. Pod tym nawisem wyciął w kamieniu niewielką mogiłę i dziwiąc się temu, iż znajduje w sobie na to siły przetaszczył tam okutane w koszulę ciało polliota. Ledwie mieściło się ono w jamie, ale większa nie była potrzebna. Cofnął się o dziesięć kroków, z wysiłkiem podniósł dezintegrator i przycisnąwszy go do ramienia naprowadził celownik na kamienny występ wiszący nad zaimprowizowaną mogiłą.

Ciągły ładunek uderzył w kamień i drobne czarne kruszywo runęło w dół. I wtedy zdarzyło się coś, czego Henryk pragnął uniknąć. Ostry odłamek ześliznął się po tkaninie kryjącej twarz polliota i rozciął ją. Własnej roboty całun rozpadł się na dwie części i pod gradem czarnych odłamków, miast żabiego pyska polliota, Henryk ujrzał własną twarz.

W niegłębokiej, bazaltowej mogile nie leżał po prostu człowiek, tylko człowiek, który nazywał się Henryk Kalwarski.

Trzeba było przestać, wyłączyć dezintegrator, coś zrobić, ale odrętwienie, które ogarnęło Henryka tępym ciężarem ścisnęło go ze wszystkich stron i nie dało poruszyć się. Dopiero teraz zrozumiał co to prawdziwy strach. Strach, po którym nie ma już niczego. Dezintegrator ściskany skostniałymi palcami bił w górę strumieniem plazmy, a w dół sypał się już nie drobiazg; czarne gruchoczące bryły rozcinały powietrze i wbijały się na dobre w błyskawicznie rosnącą kamienną grzędę. Nad mogiłą wyrosło całe wzgórze, a Henryk nadal nie mógł zmusić się do zrobienia ruchu. Twarz, która ukazała mu się na zaledwie kilka sekund została pogrzebana pod wielotonowym nasypem, a mimo to wciąż miał ją przed oczyma.

Uczynił żałosną próbę wmówienia sobie, iż był to omam wzrokowy, płód chorej wyobraźni powstały za sprawą duszącego piekła nie mającego końca tropikalnego dnia, ale z głębin pamięci wypłynęła mogiła na drugim brzegu jeziora i kamień z liliowym napisem. I tą samą ręką skreślone słowa na pożółkłym pergaminie, ten sam liliowy podpis z zakrętasem! bezsilna próba, jeśli nie naprawienia to przynajmniej uprzedzenia...

Nie poluj. Mówili ci przecież nie poluj! Co, nie polowałeś? Zmusili cię do tego? Też mi usprawiedliwienie... Zabójstwo to zabójstwo. Może powiesz, że rana na ciele to dzieło rąk twojej żony? Ale teraz, podczas tego zachwycającego polowania, zrozumiałeś kto ponosi odpowiedzialność za to, że złapała za dezintegrator. Nie ma się co usprawiedliwiać. Nie ma co wmawiać sobie, że w przepaść go nie spychałeś, że sam się zwalił...

No tak, ale tam pod kamieniami twoja twarz. Twoja.

Nagle złapał się na tym, że rozmawia ze sobą jak ktoś postronny. Ale kto? Obejrzał się niczym człowiek zaszczuty i wydało mu się, że dziwaczne kamienie, na pół ukryte w wirujących oparach, kryją w sobie odbitki różnorodnego świata Pollioli, świata, którego ludzie nie zrozumieli z tępym uporem próbując odnaleźć na niej ziemskie prawa. Zwłaszcza zaś pierwsze: „Strzeż się"!

Pollioty tymczasem nie były podporządkowane temu dziwnemu, dzikiemu prawu. Zdolne przyjąć każdą postać nie nieruchomiały pod postacią drzewa czy też kamienia, nie posiadały bowiem tej umiejętności, umiejętności strzeżenia samych siebie.

Przyjmując wygląd swego zabójcy wypełniały jednak drugie, wyższe prawo: ochraniały całą resztę. Bez względu na to, skąd pojawiły się na tej zagadkowej planecie, bez względu na to, jakby się nie rozwijały, zagrozić im mogło tylko jedno: przybysze z innego świata. I przeciw tym niewątpliwie rozumnym, wysokorozwiniętym wrogom, którzy mogli zagrozić temu zakątkowi, nawet nie ze złej woli, a ot, chociażby tak, za sprawą zachcianki, dla zabawy — przeciw nim pollioty dysponowały tylko jedną bronią — aksjomatem jednakowo brzmiącym w dowolnym języku Wszechświata: „Zabijając mnie — unicestwiasz samego siebie...".

Bateria dezintegratora wyczerpała się i deszcz kamieni ustał. Powłócząc nogami Henryk podszedł do świeżego kurhanu, wepchnął w rękojeść broni nową i przekalibrowawszy broń na promień o minimalnej grubości, na największym odłamku wypalił tekst:

HENRYK KALWARSKI

Nie miał tu nic więcej do roboty.

Dowlókł się do śmigłowca, wrzucił do kabiny dezintegrator i wdrapał się do niej sam.

Nastawił autopilota na program powrotu do bazy i wyciągnął się na podłodze kabiny. Chłód i monotonne brzęczenie zapraszały do snu, ale miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia, ostatnią sprawę na Pollioli i nie pozwalał sobie na zamknięcie oczu, bo wiedział, że nie obudzi się nawet wtedy, kiedy śmigłowiec wyląduje na polanie przed domem.

Kiedy doleciał, polanka umyta przez niedawny deszcz zieleniała radośnie trawą, która jeszcze nie zdążyła zwinąć się wskutek upału. Głupi ufny polliot w skórze jednorożca pasł się tam, gdzie niedawno czerwieniał blejtram ze świeżym płótnem.

W domku nie było nikogo. Na stole żółciała karta pergaminu, na którą dawno już przestali zwracać uwagę. Pod napisem wykonanym liliowym flamastrem wiła się elegancka linijka zrobiona ręką jego żony:

ZAMAWIAJCIE NA NOC GWIAZDY PÓŁNOCNEJ PÓŁKULI

Miejsca pod napisem nie było.

Henryk wrócił do śmigłowca, wydobył dezintegrator i na ścianie, tym samym cienkim promieniem, zaczął pisać:

NIE POLUJ! NIE POLUJ! NIE POLUJ!

I raz jeszcze.

I jeszcze raz.

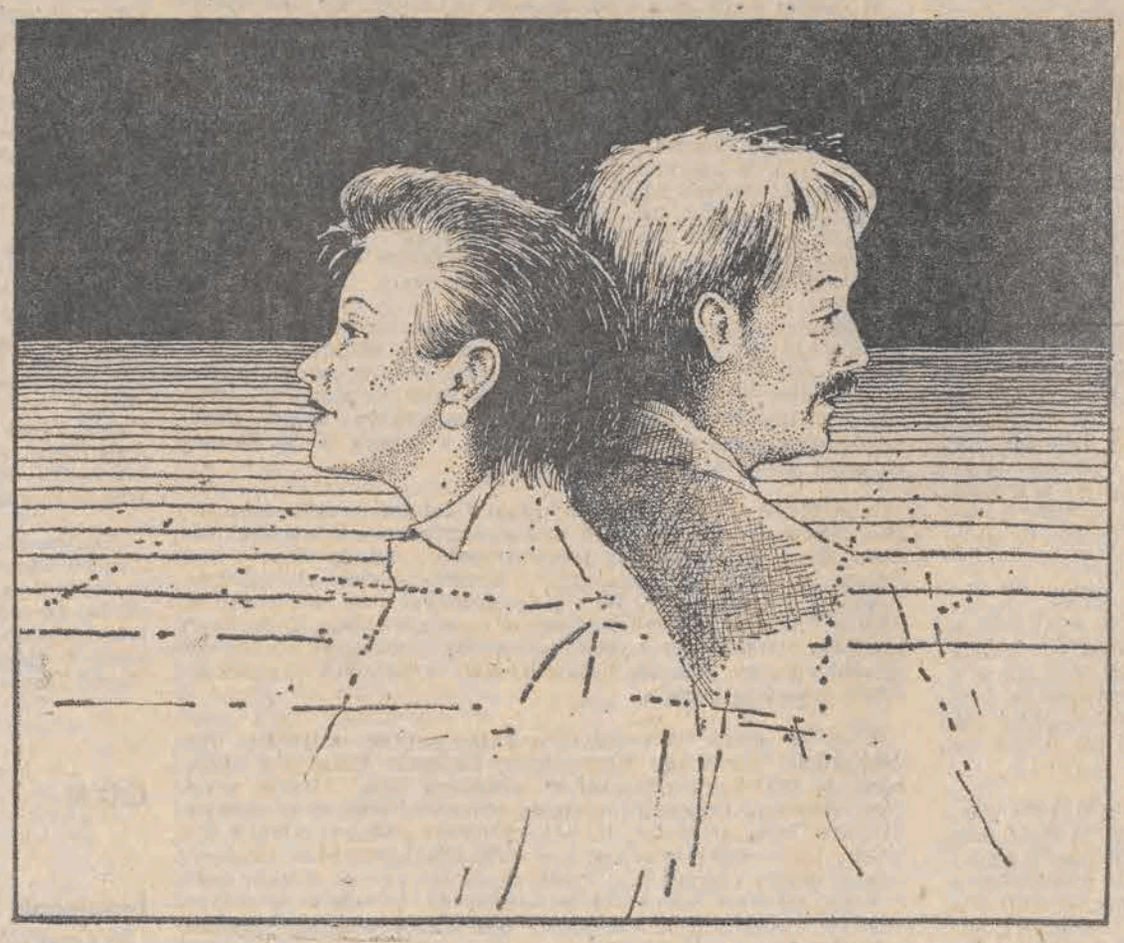

Rys. Janusz Szymański-Glanc

KONIEC

Przekład: MICHAŁ SIWIEC

1

Nagłe zastępstwo

Dźwignia handlu?

Hasło: „Reklama jest dźwignią handlu" jest mniej więcej tak samo aktualne jak „Nasz klient — nasz pan" albo, dajmy na to, „Nie kupuj u Żyda". Żydów już dawno w handlu nie ma, klient nie jest panem, tylko sługą uniżonym pani sprzedawczyni. A czy handel ma jakąś „dźwignię"? Jak się rozejrzeć, to chyba żadnych...

Reklama natomiast istnieje! Co nie znaczy, żeby była jakąkolwiek „dźwignią", czy w ogóle czemukolwiek służyła. Nie. Reklama jest u nas wartością samą w sobie, służy — bo ja wiem — może celom estetycznym?

Na murach w mieście strasza jeszcze gigantyczne plansze z lat siedemdziesiątych, neony itp. ozdoby. Pomijając już fakt, że w neonowych napisach świeci co druga litera i efekty bywają nadzwyczaj zabawne, że kolorowe obrazy na ślepych ścianach budynków straszą szarymi plamami po oblazłej dawno farbie, że wreszcie w swej istocie reklama ta nic nie reklamuje, pare charakterystycznych cech sposobu myślenia onegdajszych speców od reklamy daje się z tych straszydeł odczytać.

Na przykład: niezwykle często przedmiotem tej byłej gigantycznej reklamy jest spółdzielczość mieszkaniowa. Oraz PKO. Ciekawe. Są to dwie rzeczy, których akurat reklamować wcale nie trzeba: spółdzielnie mieszkaniowe nie przyjmują zapisów, a kiedy jeszcze przyjmowały to i tak ich reklama była zbyteczna. Kto nie miał mieszkania, ten prędzej czy później trafił do spółdzielni...

Podobnie z PKO. O istnieniu Powszechnej Kasy Oszczędności wie każde dziecko, każde też, choćby z grubsza, orientuje się co ta instytucja robi. Tymczasem na murze metrowymi literami wypisano: „Oszczędzaj w PKO!". Jakby można było oszczędzać gdzie indziej...

Z czego to wynika? Skąd ta reklamowa ekspansja PKO i spółdzielczości mieszkaniowej? To proste. Akurat w budżecie spółdzielni i PKO były większe niż gdzie indziej fundusze na reklamę. Gdyby MPK miała do obowiązkowego wydawania pieniądze na reklamę, niewątpliwie czytalibyśmy na murach: „Podróżuj tramwajami".

Inny, nader często u nas spotykany rodzaj reklamy to reklama instytucji a nie jakiegoś konkretnego towaru. Pół biedy, kiedy jest to np. reklama domu towarowego, gorzej — a też tak bywa — reklama producenta. Krąży po mieście masa plastykowych toreb z reklamowymi napisami, z których klient (?) może się dowiedzieć, że zakład taki to a taki mieści się tu a tu, ma telefon, kod pocztowy i nawet telex. I tyle... Znów ktoś pozbył się pieniędzy z funduszu na reklamę i ma z głowy...

Ciekawe rzeczy dzieją się z reklamą ostatnio. Przypuszczam, że zasady reformy gospodarczej nie zmuszają już nikogo do wydawania z góry określonej kwoty na reklamę. W związku z tym niektóre zakłady czy organizacje handlowe zaprzestały wszelkiej reklamy. Po co zresztą, kiedy rynek ledwie zipie i klient kupi i tak, nie trzeba go w żaden sposób namawiać. Potrwa to czas jakiś, aż wreszcie jeden i drugi producent połapie się, że może wypchnąć swój towar na rynek przy pomocy reklamy właśnie. Miejmy nadzieję, że powstanie wtedy nowa reklama, dowcipna, zabawna i sugestywna. Pierwsze jaskółki już są. Pojawiły się mianowicie w TV króciutkie filmiki reklamowe firm polonijnych. Zgrabne, choć kuda im do zachodnich. (Jak wyglądają zachodnie można sobie wyrobić pojęcie na niektórych filmach oraz na pokazywanych w TV teledyskach).

Równie uboga jest u nas reklama prasowa. Komunikat, suchy, bezbarwny, w czarnej ramce jak nekrolog. Rysunek czy zdjęcie reklamowe jest u nas ewenementem. A przecież mogłoby być inaczej. Kilka lat temu, chyba w tygodniku „Panorama" widziałem bardzo zgrabną reklamę Zakładów Przemysłu Odzieżowego w Bytomiu. Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętego faceta w wannie. Napis głosił, że czuje on się znakomicie, tak jak w garniturze z Bytomia... To jest reklama! Jak się okazuje, Polak potrafi!

Trzeba tylko trochę wyobraźni. Pamiętam, z drugiej połowy lat siedemdziesiątych, przykład zgoła odwrotny. Otóż zakłady przemysłu bawełnianego rozpoczęły produkcję tkanin bawełnianych z domieszką włókna sztucznego. Zjednoczenie rozpoczęło kampanię reklamową. W pewnej instytucji wydawniczej zamówiło sobie foldery i plakaty. Tylko z redaktorami tego wydawnictwa nie mogło się dogadać. Redaktorzy wymyślali najprzeróżniejsze hasła na temat elegancji i wygody odzieży bawełnianej. A spec ze Zjednoczenia wciąż kręcił nosem i wymagał, żeby mu te domieszkę ściśle wyspecyfikować. Jak redaktor wymyślił „W bawełnianej koszuli jak w domu" to „spec" kazał dopisać: z pięćnastoprocentowym dodatkiem czegoś tam. I hasło traciło cały wdzięk...

Miejmy nadzieję, że kiedy rynek wróci do normy i będzie co kupować i co reklamować, opisany wyżej „spec" nie będzie pracował w reklamie...

ANDRZEJ KAROL

2

U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Przedziałek

Kiedy w Wielki Piątek wybrałem się do zakładu pana Franciszka, aby — jak nakazuje tradycja — zrobić generalne porządki także i na głowie, zastałem tam już Literata. Działacza oraz Inżyniera, którzy w długiej kolejce czekali na przedświąteczne postrzyżyny, jak zwykle zabijając czas rozmową.

Przysiadłszy się do nich, już po chwili bez trudu odgadłem, iż przedmiotem dyskusji była współczesna muzyka rozrywkowa, a dokładniej — polska piosenka ostatnich lat. Inżynier — szczęśliwy posiadacz sprzętu klasy hi-fi i trochę meloman — mówił, że chociaż muzyka rockowa lat osiemdziesiątych sprawia ogólnie wrażenie raczej prymitywnej, to jednak nie brak też dobrych piosenek. Literat — namiętny słuchacz programu trzeciego — wskazywał na żenująco niski poziom literacki tekstów większości nowych utworów, co od razu powiązał z coraz bardziej upadającą kulturą słowa w naszym społeczeństwie. Działacz zaś twierdził uparcie, że ostatnim wielkim polskim piosenkarzem był Mieczysław Fogg, a tego — jak się wyraził — całego młodzieżowego jazgotu w ogóle nie daje się słuchać, więc go nie słucha.

Panowie! — perorował. — Polska piosenka od dawna przeżywa bardzo poważny kryzys! Może nie jest to obecnie najważniejszy problem w naszym kraju, ale i nim trzeba się będzie wreszcie zająć, zanim nie wypra nas zupełnie na tym polu obce wpływy kulturowe, obce wzory, bezmyślnie powielane na każdym kroku. Moim skromnym zdaniem, należałoby jak najszybciej zwołać ogólnopolską naradę, na której kompetentne osoby omówiłyby dotychczasowy dorobek polskiej piosenki i nakreśliły drogi jej dalszego rozwoju. Pamiętajmy, panowie, że chodzi tu przede wszystkim o naszą młodzież, która ma przecież prawo obcować na co dzień z naprawdę wartościową muzyką!

— Święte słowa — odpowiedział na to przysłuchujący się rozmowie pan Franciszek. — Przypominają mi zresztą pewne zdarzenie sprzed lat... — I nie przerywając ani na chwilę strzyżenia tegawego podrostka, nucącego sobie pod nosem „Jezu, jak się cieszę...", zaczął opowiadać:

— Wyborażcie sobie, było to w czasach, gdy zachodziły u nas wielkie zmiany, mające uregulować całe nasze życie według nowych zasad. Otóż nie wiadomo dlaczego ktoś wpadł na pomysł, że nie tylko słowa i czyny, ale również fryzura może być wyrazem stosunku obywatela do owych przemian i dlatego nie jest wcale obojętne, czy nosi się przedziałek z lewej strony, prawej, na środku, czy też czesze się w ogóle bez przedziałka. Aby rozwiązać ten zawiły wielce problem postanowiono zatem zwołać naradę, na którą i ja zostałem wydelegowany, co pozwoliło mi spędzić na koszt organizatorów trzy piękne majowe dni w stolicy.

Pamiętam, że referat programowy wygłosił jakiś minister. Nie pomnę już jego nazwiska, ale na pewno będziecie wiedzieć o kogo chodzi, jeśli powiem, że był od młodości łysy jak kolano. Potem zabierali głos jeszcze jacyś prawnicy, plastycy, przedstawiciele organizacji młodzieżowej, chyba ktoś ze związków zawodowych i koła gospodyń wiejskich. Powoływano się na przykłady z historii — kto jak chodził ostrzyżony i uczesany — i na tej podstawie próbowano dowodzić słuszności umieszczania przedziałka z tej właśnie, a nie drugiej strony. W zasadzie przeważała opinia, że najlepiej gdyby była to lewa strona, co sugerował już w swoim referacie minister, ale pełnej zgodności nie było. By ją osiągnąć, zdecydowano podzielić wszystkich uczestników narady na komisje robocze, a te z kolei na podkomisje i w toku rzeczowej, roboczej dyskusji uzgodnić, jak mamy czesać klientów.

Obrady ciągnęły się przez kilka godzin dziennie. W końcu wszyscyśmy się jednogłośnie opowiedzieli za przedziałkiem z lewej strony i podjęliśmy nawet w tej sprawie stosowną rezolucję.

— I co?

— Nic. Prawie wszyscy czesali się dokładnie tak samo, jak przedtem. Zresztą niedługo potem pojawili się pierwsi hippisi i problem przedziałka zszedł jakby na dalszy plan. Nie ma o czym mówić. Ale — mówię wam — w jakim hotelu nas zakwaterowali, jakie żarcie było... Do końca życia tego nie zapomnę.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

3

Sport

Nikt nie gryzł trawy

Na zgrupowaniu w Wiśle mówiło się, że nasi dzielni piłkarze będą gryźli trawę, a muszą ten mecz wygrać. Na stadionie w Brukseli nikt nie gryzł trawy. Gorzej, nasi piłkarze ruszali się jak przysłowiowe muchy w smole. Byli powolni, grali bez polotu, bez koncepcji, nie potrafili wykańczać akcji, czyli po prostu strzelać goli. Belgowie byli lepsi i słusznie strzelili Polakom dwa gole. Wynik ten, jak nigdy, oddaje stosunek między poziomem gry obu partnerów. Dwie klasy różnicy dzieli obie drużyny. I trener Antoni Piechniczek musi wreszcie zdać sobie z tego sprawę. A także nowe władze PZPN.

Właściwie na tym mogłabym zakończyć, ale trzeba chyba powtórzyć kolejny raz podstawowe prawdy, gdyż — wydaje się — że ani w PZPN, ani w kierownictwie kadry nie bierze się ich pod uwagę. Antoni Piechniczek powinien z niepokojem myśleć o meczu w Brukseli już po sparingu z sosnowieckim Zagłębiem. Piłkarze Zagłębia mieli — o to ich poproszono — udawać Belgów. Przejęli się swoją rolą i zrobili to tak skutecznie, że w meczu, który trwał dwa razy po 35 minut, zremisowali z kadrą. Gdyby mecz trwał pełne 90 minut mogliby z powodzeniem wygrać.

Drugi raz Antoni Piechniczek powinien poczuć niepokój, gdy zawodnikom poprawiły się humory po obejrzeniu taśm magnetowidowych z meczu Belgia — Grecja. Wszystko co najgorsze może spotkać zespół, który zbytnio uwierzy w swoje siły i zlekceważy przeciwnika. A na dodatek nie ma krytycznej oceny własnych sił. Nasi jakoś nie mają. Wydaje im się, że wszystko za nich załatwi Zbigniew Boniek z Władysławem Żmudą do pomocy. Otóż, nie!

Pisałam już przy innej okazji, że Zbigniew Boniek nie pasuje do tego zespołu, którego to zresztą zespołu nie ma. Było to doprawdy żałosne widowisko, kiedy ten znakomity piłkarz nie potrafił się odnaleźć, z nikim nawiązać gry, wykorzystać swoich możliwości. Pisałam już, że szkoda go angażować do gry tak długo, jak długo nie będziemy posiadali drużyny, która — na dodatek — będzie umiała grać z asami. Ale Antoni Piechniczek z uporem godnym lepszej sprawy bierze Zbigniewa Bońka, chyba tylko po to, aby go kompromitować.

Kierownictwo kadry, z Antonim Piechniczkiem na czele nie może się zdobyć na radykalne posunięcia. Być może wina leżała po stronie byłego kierownictwa PZPN, które w ogóle ostatnio trudno było nazwać kierownictwem, gdyż przestało panować nad tym co się w polskim futbolu działo. Nie można mu odmówić wielu zasług, ale i nie można przymknąć oczu na wiele istotnych błędów. Szamotanina Antoniego Piechniczka jest tego najlepszym dowodem.

Starsi zawodnicy często do gry już się nie nadają. A młodych po prostu nie widać. PZPN wycofał się pochopnie z mistrzostw świata juniorów do lat dwudziestu, co tylko dowodzi, że nie przywiązywano wagi do koniecznej i naturalnej pokoleniowej wymiany sportowców. Starsi muszą odchodzić, najlepsi wyjeżdżają za granicę, a na ich miejsce powinni wchodzić młodzi. W kartotece PZPN widnieje 245 tysięcy piłkarzy, ale młodych jest tylko 109 tysięcy. A tu nagle czytam w sportowych gazetach, że teraz wiele klubów bije się o Stanisława Terleckiego. Również i ŁKS, który kiedyś miał kłopoty z tym piłkarzem, chciałby przygarnąć emigranta nawracającego się na ponowną miłość do PRL. Kibice na meczach ŁKS skandują: „Stasiu wróć — czeka Łódź.". Nie wiem, w jakiej teraz formie jest Stanisław Terlecki, jaki poziom wyszkolenia reprezentuje, ale wiem, że jeden Terlecki, jak jeden Boniek wiosny w polskim piłkarstwie nie uczynią. Młodych trzeba szukać — panowie trenerzy. Młodych trzeba uczyć. Dobrze uczyć, aby mogli pokazać, że im belgijskie „czerwone diabły" nie są straszne. A przecież tego nie potrafimy. Że kiedyś wygraliśmy z Belgami? Kiedyś byliśmy trzecią drużyną świata. Ale to już dość odległa historia.

Mecz w Brukseli wykazał jeszcze raz, że nasza jedenastka nie ma drugiej linii. Zbigniew Boniek, który w Juventusie spełnia inną rolę, otrzymał zadanie, które mu wyraźnie nie leżało i z którego nie mógł się dobrze wywiązać. Gdy nie ma dobrej drugiej linii, to napastnicy na darmo tracą energię i czas, nie potrafią sforsować obrony i strzelić gola. I tak dokładnie było w Brukseli.

Przykro było patrzeć jak Polakom zostawiono swobodę jedynie pod własną bramką, gdzie mogli spokojnie podawać sobie piłki i przygotowywać się do słynnych niegdyś kontr. Ale Belgowie znaleźli sposób na te kontry. Byli szybsi i skuteczniejsi. Paszporty do Meksyku znów odpłynęły w siną dal. Niech się nikomu nie zdaje, że tak łatwo będzie pokonać Grecję i Albanię, i że przez te kilkanaście dni polscy piłkarze potrafią nadrobić poważne braki w wyszkoleniu, taktyce, zgraniu, szybkości i skuteczności.

Znów będę słyszeć zapewnienia przed meczami, że jak przyjdzie grać, to nasi będą gryźli trawę. Ale w cuda, to ja już dawno nie wierzę, choć powiadają, że nawraca fala irracjonalizmu. Więc kto chce — niech ma nadzieję.

BOGDA MADEJ

4

Lewym okiem

Odkrycie Ameryki

Całe rozprawy pisano niegdyś o tym, że pierwszym Europejczykiem, który postawił nogę na lądzie amerykańskim, był Polak, Jan z Kolna. Przed nim bywali tam Wikingowie z Islandii, więc w zasadzie też Europejczycy, ale bezimienni i nigdzie nie notowani. O Janie z Kolna wspominano nawet w moim gimnazjum na lekcji geografii. Dużo później czytałem — nie pamiętam gdzie — że Jan Koln to był Norweg, co też brzmi prawdopodobnie. Ale załóżmy, że to jednak Polak. Naszych rodaków wszędzie pełno, więc może i Nowy Świat odkryli właśnie oni? Mogło to się zdarzyć na przykład tak.

Zebrało się kilkunastu chłopaków, wzięli delegacje służbowe, telewizja Szczepańskiego ekwipunek im zafundowała — wszystko krajowej roboty, jak się patrzy. Znaczy się: jak się patrzy, to wszystko fajnie wygląda, ale jak się zacznie używać — to nic do niczego nie pasuje. No i powiadają: odkryjemy Amerykę i już! A co? Polak potrafi!

Najgorzej, że gdzieś pod Zakroczymiem nastąpiła awaria busoli. Właściwie busola była bardzo dobra i działała znakomicie, tylko wskazówka zginęła i nie było zastępczej. Ale co — nasze chłopaki sobie nie poradzą bez głupiej busoli? Stanął niejaki Chudy Mateusz na środku pokładu, a dlatego właśnie on, że był wysoki, taki, że do M-3 w kapeluszu by nie wszedł, stanął i czekał. Jak dawał najkrótszy cień, to znaczy, że było południe, czyli z przeciwnej strony północ, a w lewo zachód. I tak sobie płynęli ciągle na lewo od Mateusza Chudego, mijali różne kraje, porty... Do portów zresztą nie zawijali, bo zamiast paszportów mieli tylko wpisy w dowodach osobistych i te, no... książeczki dewizowe bez dewiz. Dewiz akurat nie można było kupić, coś tam się zablokowało, więc tylko płynęli, płynęli — pasztet z drobiu już się całkiem skończył, sałatka warzywna luksusowa była na ukończeniu, wódka też, jeszcze tylko musztarda została i przyprawa pikantna do baraniny z rożna.

— Wytrzymamy? — mówili sobie nabijając fajki resztkami włosia z materaców. Tytoniu były pełne ładownie, ale słona woda go zalała, bo malarze źle zamalowali dziury w dolnej części kadłuba. Nie takie rzeczy się wytrzymywało w powstaniu grudniowym, styczniowym, lutowym, marcowym i pozostałych.

Góry lodowe też były, owszem. Parę razy takie dwie ogromne waliły prosto na statek naszych żeglarzy, no: ciut, ciut i nic nie zostanie. Niektórzy nawet nie wytrzymywali nerwowo i stali z kijami na burcie, żeby te góry odepchnąć, ale cała reszta chłopaków puszczała sobie gramofon i dawaj wymieniać postulaty, dawaj dyskutować, manipulować, apelować — jak to w demokracji. No i po paru latach — dopłynęli.

Amerykę odkryli, zaciągnęli od Indian pożyczkę na kilkaset lat i jak jeden do kraju wrócili. A że tam w gazetach piszą o Kolumbie — kto by tam środkom masowego przekazu wierzył! Polacy byli pierwsi i już!

Jedno mi się tylko w tej całej opowieści może nie zgadzać. Bo jak to tak: pojechała ich cała gromada i wszyscy co do jednego wrócili? Czy widział kto taką wycieczkę, a już specjalnie do Ameryki, żeby nikt nie uznał się za uchodźcę i nie poprosił tamtejszej cioci o azyl?

Pewno nie dopłynęli do żadnej Ameryki. Pewno im delegacje kumpel po znajomości podstemplował!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt"

5

— Strajk — zaczął sekretarz — jest faktem. I faktem jest, że dotąd partia w stoczni nie przeszkadzała ani wam, ani nikomu innemu. Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy rozmawiać. Czas ucieka, rosną straty materialne i moralne. Zwycięstwo strajku może okazać się klęską kraju. Wybrzeże to nie cała Polska. I wreszcie inna jest odpowiedzialność za Waryńskiego, nawet za cały Szczecin, a całkiem inna za kraj. Więc trzeba się decydować. I kończyć sprawę. Płyniemy po tym morzu, a fala jest wysoka. Wiecie, co to jest dziewiąta fala?

— Wiem. Ta najwyższa.

— Jeszcze jest przed nami.

— Zgadzam się, sekretarzu.

— No więc jak, panie Baduga?

Gryń słuchał z najwyższą uwagą. Odechciało mu się spać, czekał w napięciu na słowa przewodniczącego.

— My też nie patrzeliśmy, kto partyjny a kto nie, jeśli był z nami. Sprawa jest jedna, nasza, stoczniowa. Gdańsk rozpoczął. Gdańsk pierwszy zakrwawił. To nasi bracia, tacy jak my. Nie mogliśmy ich zostawić i nie zostawimy samych.

Przerwał, on także utracił wygląd zmęczonego, policzki miał znów zaróżowione, oczy żywe.

— Nikt nie chciał ani pożarów, ani zabitych. Nikt z nas. Od wczoraj żaden człowiek nie wyjdzie z terenu, pilnujemy, nikt też nie wejdzie tu bez naszej zgody.

— Wiem o tym. Nie wypuszczacie nawet tych, którzy chcą wrócić do domu i mają tego dosyć.

— Możliwe — odparł. — Nie o wszystkim wiem. Ale jak jedność, to jedność, mogli nie przychodzić. Teraz niech siedzą razem. — Gryniowi zadrgała grdyka, ledwie przełknął ślinę. Wiedział coś o tym, bo ledwie go tu wpuścili, wtedy wieczorem, dopiero wprowadzali tam porządek, a przy tym stał na bramie ktoś z rurowni i poznał go i poręczył, więc udało się.

— Pilnujemy urządzeń, bo będziemy potem też żyli z pracy, w tych samych halach, przy tych samych maszynach. Nie na rozrób ani pijanych. Na wyposażeniówce stoi statek dla Czechów. Mogą chodzić swobodnie do miasta i wracają bez trudu. Wpuszczamy konsula, ile razy chce przyjść. Nikt nam niczego nie może zarzucić.

— Nie w tej sprawie przyszedłem — sekretarz mówił spokojnie i jakby beznamiętnie, ale akcentując właściwie słowa, sens zdań.

— Przeprowadzicie rozmowy z władzami, stawiacie warunki. To wasza rzecz, komitetu i strajkujących.

— Byłem na Wałach do piątej rano — wyjaśnił Baduga. — A teraz jest siódma.

— My też nie próżnujemy —, wtrącił Gryń. Wójcik powstrzymał go dłonią.

— Rokujecie naprawdę czy czekacie na Gdańsk? — zapytał wprost. Przewodniczący nie odpowiedział. Wyjął papierosy z kieszeni i wyciągnął do Wójcika, do Grynia. Zapalili.

— Te rozmowy nie są łatwe — powiedział. — I nie ma krótkiej drogi do ugody. Tamci muszą uzyskać akcept Warszawy, to jasne. A my, a ja... — przerwał na sekundę. — Każdą propozycję, każde uzgodnienie muszą przedstawić wydział po wydziale, żeby mi potem nie zarzucali, że jestem dyktatorem. Jak większość mnie nie poprze, końca strajku nie będzie. Tylko część by wyszła. Ale reszta zostanie. I wtedy nikt już nie zapanuje nad nimi. Czy o to chodzi?

— Rozumiem — Wójcik wypuszczał kłęby dymu, także zyskując na czasie.

— Dlatego to trwa i będzie trwało długo — dodał Baduga.

— Zanim nie skończy Gdańsk? — zapytał sekretarz.

— Nie będziemy stali ani sekundy dłużej niż oni — odparł Baduga. — A może nawet wyjdziemy wcześniej. Jeśli tylko na Wałach Chrobrego mówią z nami poważnie. Myślę, że tak...

Gryń rozumiał, że nikt tu nie ustąpił drugiemu ani centymetra. Obaj trwali przy swoim, uparcie choć grzecznie, w napięciu, które widać było w błyskach oczu, drżeniu rąk strząsających popiół, czy ruchach ciała, gdyż zmieniali pozycje na krzesłach nerwowo, jakby były twarde, a nie wyściełane, jak przecież widział. Na co czekasz — myślał o Wójciku. — Trzeba zrobić jakiś ruch, wysunąć skoczka albo może hetmana, bo inaczej wyjdzie z tego pat, potracicie wszystkie piony, zostaniecie we dwóch, sami, naprzeciw siebie, bez szans i bez wyjścia.

— Nie chcę was do niczego namawiać — odezwał się sekretarz Wójcik, mówił teraz tak jakby ważył każde słowo. — Ale co by się stało, gdybyśmy poparli te wasze żądania, które są rozsądne? Liczą się przecież z naszym głosem w Komitecie Wojewódzkim. Warszawa też musiałaby go wziąć pod uwagę. Ale jeden warunek. Nie przewlekać, nie gmatwać spraw, nie mataczyć. To samo, odnoszę do tamtych — dodał szybko, widząc złą zmarszczkę na czole Badugi. — I co pan na to?

— Kto wie, co jest rozsądne, a co nie — odparł gospodarz.

— Zobaczymy.

— Gwarancje bezpieczeństwa dla wszystkich strajkujących.

— Mówcie dalej.

— Ukaranie tych, którzy dali rozkaz strzelania lub znęcali się nad aresztowanymi.

— To fakt? — zapytał Wójcik.

— Tego ludzie żądają — wykręcił się Baduga. — A ja nie jestem Panem Bogiem.

— I co jeszcze?

— Pełna zapłata za dni strajku, jak za każdy dzień roboczy. I żeby nie było wolno aresztować żadnego stoczniowca bez naszej zgody.

— Nie rozumiem? — zdziwił się Wójcik.

— To proste. Wiedzą o każdym z nas wszystko. A potem powiedzą, że ten czy tamten był pijany, rozrabiał i dlatego siedzi. Albo ukradł torebkę babie, którą właśnie tam podesłali. Żeby więc nie było takich sztuczek. Żadnych sztuczek.

— A punkt o gwarancjach bezpieczeństwa?

— To prawie to samo, ale nie to samo. Tego ludzie żądają. Wreszcie, rozwiązanie wszystkich rad związków zawodowych i w stoczni i wybory, od dołu, od nowa, żeby wybrać takich, którzy nie będą się bali bronić człowieka w biedzie, przeciwko dyrekcji czy komu tam przyszłoby na myśl puścić bąka w naszą stronę.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— To niemało — powiedział Wójcik. — To nawet sporo, może zbyt wiele, nie sądzi pan?

— Sporo — zgodził się Baduga. — Ale nie możemy ustąpić z żadnego punktu. Dlatego tamci — kiwnął głową w stronę gmachu WRN — mają też niełatwy orzech do zgryzienia.

— Przecież nie wszystko od nich zależy. Na przykład, zgoda na nowe wybory.

— No właśnie, w tym sęk.

— Przedstawię swoje zdanie w komitecie — oświadczył Wójcik. — Tu w zakładowym, myśmy te sprawy już jakby rozważali. Przecież nie ma żadnej tajemnicy, z czym tam poszliście, wszystko słychać, przez radiowęzeł nadawaliście.

— Zgadza się.

— Poprzemy was, w czym się da, nawet w sprawie wyborów. Ale obiecajcie, Baduga, że nie będzie więcej żadnych nowych tarapatów, dodatkowych punktów, przewlekania. No, jak?

— Jest jeszcze Jaszczuk i Gomułka, jest premier. Jak sądzicie, sekretarzu, czy to nie zbyt długo?

— To też wasze żądanie? — zapytał wstając. — O tym dotąd nie mówiliście. To nie strajkami będziecie zrzucać sekretarzy i wybierać nowych. To już pozwólcie, przesada.

— Tak mówicie... — Baduga wstał również. Patrzyli na siebie przez chwilę i żaden nie opuścił oczu.

— Przesada — powtórzył gospodarz. — Cały kraj aż huczy. Jeszcze dzień — dwa, a może już być za późno. Z samym Wybrzeżem, jakoś tam by sobie poradzili. Ale jak ruszą inne wielkie miasta, jak stanie Pafawag, Huta Warszawa, Huta Lenina, jak przestaną kursować pociągi w całej Polsce? I co wtedy? A wy mówicie, przesada.

Gryń ledwie śmiał oddychać; była taka cisza, że aż w uszach dźwięczało i zdawało się, że nic już nie da się więcej zrobić, można tylko wyjść, tylko tyle, nic więcej.

— Tu wśród was — powiedział cicho Wójcik — są także członkowie partii, w waszym komitecie, na wydziałach, w załodze. Może nie zrobimy tego, lecz kto wie... Zawahał się, ale dokończył zdanie. — Może nakażemy im opuścić stocznię, jeśli sprawy potoczą się źle, nie w tę stronę, gdzie wskazuje rozum? Ceny są ważne, bo żyć trzeba, nie ma rady. Zaś strajkowaliśmy, więc czasu nie cofniesz, trudno. I nie wymaże się ani nazwisk zabitych, ani spalonych gmachów, ani rozbojów i rabunków, bo to nie są tylko słowa wypisane kredą na tablicy, ale również fakty. Kto strajkował, temu włos z głowy nie powinien spaść, kto jednak podpalał albo kradł, korzystając z okazji, ten nie może być bezkarny. A także ten, kto bezprawnie bił czy maltretował ludzi. Jeśli dla was, Baduga, państwo i Polska inaczej znaczy, niż to, żeby nikt waszego nazwiska nie szargał za ustępliwość...

— Jestem Polakiem — warknął. — Ale do partii nie należę. I nikt mi tu nie będzie przed nosem! Nikt, ani wy, ani sam Gomułka!...

— Powtarzam więc — Wójcik jakby tego nie słyszał. — Poprzemy te wszystkie punkty, postaramy się wam pomóc. Przemyślcie to, zastanówcie się. Jeśli osiągniecie taką zgodę, wystarczy chwały dla was i radości dla tych, którzy strajkują. Wystarczy. Ale nie przeciągajmy struny. Jak pęknie, wszyscy poranimy sobie ręce do krwi. Baduga bez słowa podszedł do drzwi, otworzył i czekał. Gryń popatrzył na Wójcika, na tamtego, nie wiedząc co uczynić. Sekretarz wsadził dłonie do kieszeni marynarki i lekko skłoniwszy głowę na pożegnanie opuścił pokój. Baduga został sam pełen gniewu i rozterki.

— Czy coś się stało? — zapytał chłopak w kasku.

— Nie, nic takiego — uśmiechnął się Baduga. — Tylko zamknij drzwi. Albo zaczekaj. Przekaż do radiowęzła, żeby członkowie prezydium komitetu strajkowego stoczni przyszli tu na godzinę dziewiątą.

— Rozkaz — chłopak trzasnął kopytami, ale nie uzyskał efektu, bo był w gumiakach.

Nie było to łatwe milczenie

Nie było to łatwe milczenie. Sekretarz zasłonił twarz rękoma, łokcie wsparł o biurko. Gryń trwał nieruchomo na krześle, delikatnie i powolutku przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, gdy czuł, że mu udo drętwieje. Nie chciał przerywać ciszy.

Gdyby to było lato, nawet przelot komara można by usłyszeć. Edek zdawał sobie sprawę z tego, że był świadkiem wydarzenia, które mogło zmienić bieg spraw tu w stoczni i w mieście. Rzecz tylko w tym, w którą stronę? Nie znał Badugi, widział go tylko w przelocie, wiadomo, wśród tylu tysięcy jeden facet i to z cudzego wydziału. A kłopot jest ze zliczeniem dobrych znajomych tych, co to witają cię — cześć stary! — a ty może imię co drugiego pamiętasz, a i to nie zawsze, nie mówiąc już o nazwisku.

Gdy przysłuchiwał się rozmowie tych dwóch, nie widział kto z nich gra silniejszą kartą; żaden nie sprawdził drugiego, ale i nie dołożyli nic do banku. Lecz licytacja szła przecież ostro, to się czuło. Lada moment któremuś mogły puścić nerwy, jednak wytrzymali obydwaj.

Baduga nie musiał wyciągać kolorów z rękawa, on je miał. Był jednakże o ułamek grama zbyt ważny i o łut może za bardzo pewny siebie, aby można było przyjąć za dobrą monetę. Musiał nieraz myśleć o tym, co będzie potem, gdy już skończy się strajk. Wybrali go dzisiaj i słuchają każdego jego słowa, lecz jutro? Któż to wie, jak długo może trwać owo napięcie mięśni gotowych dźwigać wzwyż największe nawet ciężary, albo cierpliwość, która pozwala znosić każdą zniewagę? Gdy któremuś z nas — pomyślał — ktoś kazał spać na betonie, na ławce ze skrzynką pod głową, w zimie i o suchym pysku, w normalnych czasach każdy roześmiałby się prosto w twarz i powiedział bezczelnie, że za bezdurno nawet święty nie idzie na stos: musi dostać nagrodę choć w niebie. A teraz cierpieli w milczeniu, robili co trzeba, słuchali Badugi, bez sprzeciwu. Co za cholera — dziwił się — ile siły musi mieć ten facet w sobie? Albo może to trudny, okrutny czas i gniew sprawił, że będą słuchać każdego, komu ufają, zaś strach przed jutrem, niepewność dręcząca zmusza do zaciskania zębów i czekania na cud? To znaczy na zwycięstwo, na zmuszenie władz do przyjęcia ich żądań. Właściwie — uświadomił sobie Gryń — podpisałbym się pod wszystkim. Bo, jak Boga kocham, niewiele chcą: trochę bezpieczeństwa, nieco forsy, bo muszą przecież żyć, i żeby każdy ponosił odpowiedzialność, kto tknie robotnika. I to trzeba aż strajku? Zrobiło mu się głupio i jakoś dziwnie, gdyż nie byłoby to nic nadzwyczajnego, gdyby te sprawy były w życiu czymś normalnym, jak woda, powietrze i chleb. Zastanowił się: przed strajkiem nigdy dotąd nie spotkał się z tym, żeby milicjanci kogoś bili, w każdym razie o tym nie słyszał; a teraz tak. Właściwie nie znał przypadku, aby ktoś został zamknięty tak sobie, z niedzieli na poniedziałek, jak teraz mówią, że było. Policjant to jest policjant, wszystko jedno jaką nosi nazwę. A w Szczecinie kurwa na kurwie siedzi, cinkciarz cinkciarza pogania, bezczelni, ulice ich są, a wieczorem nie ma miejsca w żadnej restauracji dla porządnego faceta, który po prostu chce wejść, a nie zabawić się z dziewuszką. Temu się nie da zaprzeczyć. Więc wszyscy myślą, że to dlatego, bo kurwa płaci dzielnicowym, a cinkciarz jest na półetacie w bezpiece. A to może być zwyczajnie takie jak u innych lenistwo, bezruch niechęć do roboty, udawanie że się nic nie widzi, bo inaczej trzeba by zadziałać i byłyby kłopoty lub mitręga. Kto ich tam w końcu wie, może są tacy, może owacy. Ale teraz, gdy ludzie padli od kul, nikt nie będzie już o nich mówił inaczej, jak z nienawiścią. I długo tak będzie. Ale czy jest takie państwo na świecie, które nie broni swoich komend policji, swoich siedzib i urzędów przed tymi, którzy chcą palić i niszczyć? A tu nawet KW nie bronili, dopiero kiedy szło o komendę i broń, która tam była — o dokumenty, które na pewno nie są listą podejrzanych stoczniowców, ale mają coś niecoś wspólnego z o wiele ważniejszymi sprawami, z ochroną kraju i państwa, może z czymś tam jeszcze innym, o czym lepiej nie wiedzieć. Dopiero wtedy zaczęli tego bronić. I tak było pod więzieniem. Tam siedzi recydywa, zwyczajne żuliki z wyrokami, złodzieje i bandyci. Takich wypuścić na miasto, choćby na kilka godzin, dopiero by sobie pogospodarowali!

Zamyślił się. Dlaczego jednak zaraz broń? Dlaczego nie mają tych wszystkich sztuczek, które są w użyciu na Zachodzie? Prawdę mówiąc, robotnicza władza nie powinna w ogóle bić się z klasą robotniczą — westchnął ciężko, czuł się przygnieciony. To jest to, czego nie mógł pojąć ani przyjąć. Tego być nie powinno. To się nie powinno nigdy powtórzyć!

Popatrzył na Wójcika. Sekretarz nie zmieniał pozycji. Raz jeszcze przeżuwał, słowo po słowie, zdanie po zdaniu tę rozmowę z Badugą. Trochę przeholował. Nikt go przecież nie upoważnił do stawiania wręcz propozycji ugody, do porozumienia. A jeśli KW nie zechce go wysłuchać i nie przyjmie jego opinii za słuszną? Co będzie, gdy okaże się, że takie poparcie dla listy żądań strajkujących stoczniowców okaże się początkiem końca dla niego samego, dla sekretarza Wójcika, który jest na etacie partyjnym i przestanie go zajmować? No to co — rozgniewał się sam na siebie i własną małoduszność. — Mam zawód, umiem pracować, znajdę zawsze jakąś robotę. Albo to mało miejsca dla techników-mechaników i to takich, co potrafią także spawać i nie boją się czarnej roboty? Zastanowił się, ile też zarobiłby jako spawacz w stoczni, a ile jako technik i był pewny, że przy palniku wyszedłby dużo lepiej. W szkole partyjnej czytał wiele nocami. Potem już tak do tego przywykł, że każdą wolną chwilę, jeśli w ogóle ją miał, spędzał nad dobrą powieścią, a jeszcze chętniej nad pamiętnikiem, nad biografią sławnego człowieka. Żonę denerwowało to ciągłe ślęczenie i psucie oczu, jak mawiała. Wolałaby razem z nim usiąść przy telewizorze, pogadać, gdy obraz jest nieciekawy, być razem. A nie obok, w tym samym pokoju, lub tylko przez ścianę, ale każde sobie, jak obcy. Rozumiał ją, ale nie zmieniał swych nawyków. Czasem ustępował, odkładał czytanie i wchodził do pokoju telewizyjnego, jak go żartobliwie nazywał. Wtedy była szczęśliwa.

Nagle zobaczył twarz Badugi, jak w ostrym świetle reflektora. To nie jest lękliwy człowiek. Musi coś mieć w sobie, że tak niewiele o nim wie. Szczupła twarz, podkrążone oczy o błękitnym odcieniu, włosy czarne, falujące. To fotografia do dowodu osobistego, a nie żywy człowiek — denerwował się na siebie, za swoją niewiedzę i powierzchowny wizerunek Badugi, jaki w myślach odtworzył. To niegłupi facet — pomyślał. — Zrozumiał, że mówię na serio, że to nie żarty. Sam o tym wie, że jest w kotle, a z wszystkich stron czyha na niego niebezpieczeństwo. Musi też troszczyć się o innych, o te tysiące ludzi, którzy tak samo jak on siedzą tu nie wiedząc po co. Powinien myśleć o tym stale, i pewnie tak było przez wiele godzin, od kiedy jest przewodniczącym strajku, jak wyplątać stocznię z tych sieci, których istnienia pewnie nawet nie podejrzewali, gdy rozpoczynali swój bunt. Któż jednak wówczas o tym myślał, kto był w stanie analizować na zimno wszystkie za i przeciw? Poszedł Gdańsk, poszliśmy i my — mówił bezgłośnie do siebie, tylko w myślach, lecz jakby do wszystkich ludzi, którzy mogliby go słyszeć. Gdyby nie było tam rozruchów, zabitych, tego wielkiego nieszczęścia, może Szczecin stałby na boku. Ale to przecież obowiązek wesprzeć kolegów i towarzyszy jednego fachu, codziennie, nieustannie współpracujących ze sobą. I wyjścia innego być chyba nie mogło. Gdybyśmy jednak, my partia, wiedzieli tu więcej, rozumieli głębiej i potrafili szerzej patrzeć? Kto wiedział, że to wybuchnie? Nawet KW w jakimś stopniu było zaskoczone, ewakuowali się niemal w ostatniej chwili. A cóż my, zakładowi działacze? Nam nikt meldunków nie składa, nie informuje o nastrojach. Musimy sami zdobywać tę wiedzę. I chyba niemało wiedziałem o wszystkim, co normalnie, w zwykłych czasach, przeżywa załoga. Dlaczego więc teraz okazałem się głuchy, gdy już grzmiało i nie widziałem światła, chociaż słońce paliło mi twarz? Ludzie nie chcieli rozmawiać z sekretarzem o tym, co myślą naprawdę, nie zdawkowo. Bezpartyjni milczeli przy swoich partyjnych kolegach, bo nie ufali właśnie partii. To tak już jest, że kiedy generałowie robią błędy, to padają w nich zwykli żołnierze — pomyślał z głęboką goryczą. To partia rządzi, więc to partia odpowiada za wszystko. Po cholerę to nam? Dlaczego nie dzielić władzy, na polityczną, tę która mówi wprost z człowiekiem, do niego się zwraca i gospodarczą, rządową, która musi na roboczo rozgryzać sprawy, popychać produkcję, dzielić dochód, płacić, ale i wymagać. I wtedy, gdyby były błędy lub zarzuty ludzi, proszę bardzo, ustępuj człowieku z premierowskiego lub ministerialnego stołka, powiedziałaby partia. Byłaby rozjemcą, sędzią lub ostatnią deską ratunku, ale nikt nie wieszałby na niej psów, że skoro ona to władza, więc jest zła, gdy władza jest zła. Ciąć po łapach tych, którzy wypinają piersi i krzyczą wiwat, a prywatnie rwą kawały sukna dla siebie, byle więcej, zanim inni coś złapią. Kopniakiem spychać w dół takich, co nie umieją pracować, myśleć, przewidywać, gospodarzyć lub słuchać głosu mądrych ludzi, a nie wciąż w kółko, jak na karuzeli: tu zły, to tam będzie dobry!